

STUDIO BHARATI

# Wendeta





**STEVE SHAGAN**

# Wendeta

## *The Vendetta*

Przełożył

Piotr Ciepielak

Rozdział 1

- Ramon?

- Tak.

- Tu Julito.

- Jak leci?

- *Como siempre.*

- Kiedy przywiozłeś?

- Ostatniej nocy.

- Gdzie?

- Skład grubej ryby.

- Zabawne, chyba musisz być *sombra*.

Głosy na taśmie utonęły nagle w burzy trzasków. Porucznik Jack Raines spojrział na kolegę. Agent do zadań specjalnych Silvio Martinez, żylasty, śniady Kubańczyk, wzruszył

ramionami.

- Pepe ich tu zgubił, ale to nie wszystko.

Raines otarł z czoła krople potu i walnął pięścią w rzeżący wentylator.

- Jeszcze trochę i pomyślę, że to świetnie, działa.

Nie zwracając uwagi na narzekania Rainesa, Silvio wcisnął w magnetofonie klawisz szybkiego przewijania.

Tutaj znowu słysząc - powiedział, zatrzymując taśmę.

- Co to znaczy *sombra*? - spytał Jack.

- Cień.  
- To znaczy, że Julito nie widział Ramona w „składzie grubej ryby”?  
- Diabli wiedzą. To są dwaj kolumbijscy *coqueros* gadający ustalonym wcześniej szyfrem.  
Silvio wcisnął guzik „start”, szpule ruszyły i nagrane głosy zabrzmiały czysto.

- Łowiłeś, Ramon?  
- Mówiłem ci.  
- Powiedz jeszcze raz.  
- Ave Maria.  
- P.C.?  
- Santa Rosa.  
- Qué bueno.  
- P.C. pokazał się z tym.  
- W składzie?  
- Użył nowego numeru.  
- Jakiego?  
- *Alfombras*.

Zapadła głucha cisza. Żadnych zakłóceń. Żadnych głosów. Jack zerknął na Silvia, ale Kubańczyk patrzył nieruchomo na kręcące się szpule. Głosy powróciły nagle.

- Gdzie łowił P.C.?  
- Manzanillo.  
- Ile?  
- Ćwiartka, może więcej.  
- Czym?  
- Ave Maria.  
- *Qué bueno*.

- Adios, Julito.

- *Vaya bien*, Ramon.

Rozległo się szcęknięcie. Silvio nacisnął „stop”.

- To wszystko.

- Jak Pepe to zdobył?

- To jego sprawa.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby się z nim spotkać? - zapytał Jack.

- Przykro mi. Nie da rady.

- Ten przydział, to jak patrolowanie dżungli po nocy - westchnął znużony Jack. -

Nigdy nie widać twarzy.

- Wolisz zabójstwa?

- Wolę stare dzieje w Operacyjnym. Zbierać informacje z osiemnastu wydziałów, posyłać dalej i stać sobie z boku. Może się rozklejam na starość, ale ja mam córkę.

- Rozumiem, *amigo*. Rodzina...

Raines otworzył okno wychodzące na zasnute spalinami skrzyżowanie Wilshire Boulevard i Berendo. Do przeszklonego biura wpadł upalny, duszny podmuch.

- Te światła na skrzyżowaniu mają aureole - zauważył Jack.

- To smog.

- Nie, potrzebne mi są okulary.

- Więc załatw je. Ileż to roboty? Za bardzo się przejmujesz swoim wiekiem.

- Dochodzę do miejsca, kiedy nie wiadomo co ma iść w odstawkę: serduszko czy wihajster.

- Widujesz się z jakimiś kobietami?

- Z taką stewardesą, od czasu do czasu. Ostatnim razem byłem skołowany. To znaczy, krew mnie załała. Obudziłem się na kacu w jej sypialni, otoczony plakatami z walki byków.

Czułem się, jakbym zrobił sobie sam trzy numery z manią-franią.

- A gdzie się podziała stewardesa?

- Skrobnęła kartkę, zostawiła dzbanek kawy, której nie dało się pić, i poleciała do Panamy - Jack westchnął. - Rozumiesz coś z tej taśmy?

- Przerzut jest w drodze. „Ave Maria” to jakieś hasło, ale co do cholery ono znaczy?

- Chciałbym jednak pogadać z Pepe.

- Zostaw to mnie - upierał się Silvio. - Gra z *coquero*, który przeszedł na naszą stronę, to jak pozamałżeńska przygoda. Twój związek z informatorem jest intymny, ale kruchy. On chodzi po swym własnym grobie. Mówię tak, bo mam gorzkie doświadczenia, *amigo*. Jeden błąd i po wszystkim.

Jack nie naciskał. Słyszał to i owo o kobiecie, która pracowała dla Silvia w Miami.

Kolumbijscy handlarze zamordowali ją w paskudny sposób.

- Sprawa jest w twoich rękach, stary - uśmiechnął się Jack. - Trzeba spisać tę taśmę dla Nolana.

\*

John Nolan był szefem Wydziału Operacyjnego Policji w Los Angeles. Utrzymywał

się na tym stanowisku od piętnastu lat. Wytrawny politycznie gracz, błyskotliwie torował

sobie drogę przez biurokratyczne zaułki policyjnej struktury Los Angeles. Miał intuicję i potrafił wyczuć, gdzie mieszczą się prawdziwe stery polityki. Mając pracę, która nie przynosiła bogactwa, Nolan doceniał zaletę korzystnego prezentowania się. Jego obszerne biuro mogłoby służyć prezesowi General Motors. Było eleganckie i dostojne, wygodne i zarazem okazałe; każdy szczegół wystroju obliczono na efekt. Niczego nie pominięto. Nic nie zostało użyte niewłaściwie. Dębową boazerię podświetlały lampy, ukryte dyskretnie w suficie. Z wielkiego okna rozciągał się widok na miasto. Jediną niestosowną rzeczą w tym wnętrzu była ryba morska, długości prawie dwóch metrów, przytwierdzona do drewnianej tablicy na ścianie za wypolerowanym biurkiem Nolana. Ryba wyglądała jak żywa, gotowa w każdej chwili zerwać się z uwięzi.

Raines z Martinezem siedzieli w głębokich, obitych skórą fotelach, patrząc na Nolana, który ssał nerwowo wygasłe cygaro i studiował spisany z taśmy tekst. Nolan miał pięćdziesiąt sześć lat, lecz zniszczona twarz i jej szara urzędnicza bladość dodawały mu jeszcze dziesięć.

Niechętnie zgodził się na prośbę dyrektora FBI, aby uczynić z Wydziału Operacyjnego podstawę dla nowo tworzonej komórki do walki z narkotykami, o nazwie

„Narcotics Intelligence Force Tactical”. Ludzie pracujący tam skrócili to pretensjonalne miano do NIFTY. Zespół składał się z personelu sztabowego, śledczych, ekspertów łączności oraz ludzi, którzy koordynowali działania NIFTY z federalną agencją do spraw zwalczania narkotyków DEA. Każde przestępstwo na obszarze wielkiego Los Angeles, związane z pojawieniem się kokainy, było automatycznie notowane w NIFTY. Nolan wybrał na kierownika zespołu długoletniego szefa Operacyjnego, porucznika Jacka Rainesa, Silvia Martineza przydzielił do pracy w NIFTY osobiście dyrektor DEA.

Nolan skończył czytanie tekstu i zamknął tekturową teczkę.

- Cholerna grypsera - wymamrotał, zapalając ponownie cygaro. - A wy chłopaki wzywacie mnie w sobotę w nocy, żebym słuchał tego gówna?

- To unikalna taśma, John - powiedział Silvio.

- To mogłoby być równie dobrze napisane hieroglifami. - Nolan wstał z wysiłkiem, podszedł do okna i spojrzał na wielobarwne światła, rozjaśniające południową część miasta.

- Nigdy nie chciałem tej roboty w narkotykach - mówił do okna. - W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zabito dwóch naszych, a pięciu informatorów posiekano w kawałki. I mimo całej naszej pracy, ciągle jesteśmy w lesie - odwrócił się od okna. - Walczymy miedziakami z przemysłem wartym sto miliardów dolarów.

Podszedł z powrotem do biurka, zapadł ciężko w skórzany fotel z wysokim oparciem i spojrzał na Silvia.

- Kapujesz cokolwiek z tej taśmy?

- Gruba ryba to Rafael Ordonez. „Łowić dla grubej ryby” znaczy organizować przerzut dla Ordoneza. P.C. to Pedro Cisneros, prawa ręka Ordoneza. Zdaje mi się, że gdzieś przy meksykańskim wybrzeżu Pacyfiku szykuje się jakaś grubsza afera.

Nolan ponownie otworzył teczkę.

- A co do diabła znaczy *alfombras*? - zapytał.

- Kobierzec albo dywan.

- Przypuszczam, że nie na miejscu jest pytanie, co oznacza „Ave Maria”?

- Wszystko może oznaczać - Silvio wzruszył ramionami.

Nolan wstał, obszedł biurko i zaczął przechadzać się po grubym, beżowym dywanie.

- Nigdy nie powstrzymamy tych przerzutów. Jedyne, co mogłoby im zaszkodzić, to unieruchomienie ich systemu prania pieniędzy.

- Cholera, ale to prawie niemożliwe - rzucił Silvio.

- Bo co?

- Smurfy.

- Smurfy?

- Tysiące obywateli, którzy w majestacie prawa dorabiają forszę na legalizowaniu zysków ulicznych handlarzy. Wystarczy złożyć w miejscowym banku sumę poniżej dziesięciu tysięcy, bo takiej nie rejestrują, a potem przesłać ją do Panamy, na wyspy Bahama albo do Szwajcarii.

- To są płotki - przerwał mu Nolan. - Prawdziwy pieniądz czyszczony jest przez mafię i towarzystwa bankowe - potrząsnął z rezygnacją głową. - Mafia, to rozumiem. Ale nasze najbardziej prestiżowe banki przepuszczają miliardy nierejestrowanych narkodolarów i dostają za to wyłącznie klapsa od Urzędu Skarbowego.

- Co robimy z tą taśmą? - zapytał Jack.

- Postawcie na nogi meksykańską straż przybrzeżną. I wyślijcie kopię komendantowi Alvarezowi. Może on coś z niej zrozumie.

Kiedy dwaj detektywi wstawali do wyjścia, Nolan dorzucił:

- Dobrze, że mnie ściągnęliście. To sobotni wieczór dla nas wszystkich - westchnął. -

Czasami o tym zapominam. Idźcie do domu trochę się przespać.

## Rozdział 2

Stojąc na tarasie w swym wysoko położonym mieszkaniu, Jack Raines popijał

szkocką i spoglądał na świetliste punkciki rozsiane po wzgórzach Hollywood.

Dzwonił do córki, będącej na letnim obozie. Nie zastawszy jej, zostawił tylko wiadomość o swym telefonie. Po zakończeniu roku szkolnego Jenny zgłosiła się do pracy wakacyjnej jako młodszy wychowawca. Przyjęto ją i objęła opiekę nad ośmiolatkami.

Jackowi wydawało się, że dojrzałość osiągnęła gwałtownie, jakby „mała dziewczynka” nagle została cudownie przemieniona w dorosłą pannę. Jenny obdarzona była urodą swej matki. Przejęła jej wysoką, kształtną figurę, jasne włosy i pałające, szare oczy.

Sposób bycia Laury odcisnął niezatarty ślad w powierzchowności oraz gestach córki. Byli rozwiedzeni od pięciu lat, gdy Laura zmarła i gdy z dnia na dzień, Jack musiał przyjąć podwójną rolę, matki i ojca. Odkąd Jenny zamieszkała z nim, zaczęły ujawniać się pewne problemy - ten rodzaj konfliktów emocjonalnych, z którymi rzadko borykają się inni ojcowie.

Jenny okazała wiele odwagi i zrozumienia wobec nagłej, gwałtownej śmierci matki, miała natomiast głęboko za złe Jackowi jego okazjonalne związki z innymi kobietami. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że własna córka mogłaby być o to zazdrosna. Dopiero z upływem czasu, po wielu szczerych rozmowach, przyjęła do wiadomości fakt, że przygody ojca w żaden sposób nie umniejszają jego miłości dla niej.

Jak na ironię, teraz nadeszła jego kolej, aby martwić się o przypadkowe randki córki.



Normalny niepokój związany z wychowaniem nastolatki potęgowały doświadczenia z pracy.

Widział nieopisane zbrodnie popełniane na dziewczynach w wieku Jenny. Jednak sumienie nie pozwalało mu czynić z niej ofiary swego zawodu. Jego poczucie odpowiedzialności musiało więc być poddane długim i bolesnym próbom tolerancji oraz zaufania. A Jenny tego zaufania nie zawiodła. Łączyły ich teraz stosunki otwarte, szczerze i wypełnione uczuciem.

Łyknął trochę szkockiej, westchnął ciężko i wszedł z powrotem do salonu. Dalekie odgłosy ruchu ulicznego zdawały się podkreślać jego osamotnienie. Włączył kasetę Sinatry i wrócił myślami do taśmy z nagraniem. Krążył wokół nazwisk oraz kryptonimów. Cisneros, Ordonez, Ave Maria, Gruba Ryba. Myślał o kokainowej melasie, która jest teraz rafinowana gdzieś, tam, w laboratoriach, i o tych tysiącach amerykańskich średniaków, którzy stali się czynnymi handlarzami, potęgując falę przyływu narkodolarów do kieszeni speców od prania pieniędzy i ich kolumbijskich zwierzchników. Czysty, biały proszek był czymś więcej niż tylko modnym narkotykiem, stał się bronią polityczną. CIA przechwyciła instrukcje KGB, które podawały szczegóły współpracy Fidela Castro, Vesco, Kadafiego oraz bułgarskiej służby bezpieczeństwa z kolumbijskim królem narkotyków Rafaelem Ordonezem. Radziecka ambasada w Meksyku uruchomiła specjalną sekcję KGB, aby wspierać i ożywiać dystrybucję kokainy w Ameryce Północnej. Znarkotyzowanie Ameryki było znaczącym radzieckim zwycięstwem w toczonym konflikcie Wschód Zachód. NIFTY było beznadziejnie niedoinwestowane, cierpiało na brak ludzi i sprzętu. Przypominało grupkę dzieci, uzbrojonych w łopaty, które próbują opanować śnieżną zamieć.

Telefon zadzwonił przenikliwie.

- Cześć tata! - wykrzyknął lekko gardłowy głos. - Właśnie wróciłam z pieszej wycieczki.

- Jak ci idzie, ślicznotko?

- Jestem opalona, zahartowana i gruba.

- Może zostawić ci reszkę mrożonych kurczaków, które zjadam na kolację?

- Obżeram się samodzielnie, to cała moja praca.

- Jak sobie radzisz z dziećmi?

- Świetnie. Przy okazji, spotkałam kapitalnego chłopaka. Ma dziewiętnaście lat. Jest starszym wychowawcą, wybiera się do Stanford, ma na imię Patrick i bardzo go lubię.

- Temu ma służyć ten obóz. Spotykaniu nowych przyjaciół.

- To coś więcej niż przyjaźń.

Jack poczuł jak zasycha mu w gardle.

- Nie daj się nabrać na żaden wakacyjny romans.

Słowa Jenny poprzedziła krótka pauza:

- Chciałabym, abys go poznał.
- Chętnie. Zamierzam do ciebie wpaść w którąś niedzielę.
- Daj mi znać, okay?
- Jasne. Potrzebujesz pieniędzy?
- Trochę by się przydało.
- Wyślę czek razem z listem.
- Dzięki, tato. - Przerwała na chwilę. - Dobrze się czujesz?
- Nigdy nie było lepiej.
- Masz smutny głos, jesteś przygnębiony.
- To tylko blues sobotniej nocy. Jest dobrze. Trzymaj się, do zobaczenia wkrótce.

Ściskam cię.

- Ja też.
- Cześć, mała.
- Cześć, tato.

Tęsknił za nią, ale zarazem wiedział, że taka czasowa separacja wyjdzie im obojgu na zdrowie. Wziął drinka i wyszedł na taras. Patrząc na ponure, nieforemne wzgórza czuł

przygniatającą samotność, zakorzenioną w bolesnych wspomnieniach, przed którymi nie można było się obronić ani uciec. Podniósł szklankę do ust i znieruchomiał, spostrzegłszy niezwykle jasną łunę po drugiej stronie kanionu.

### Rozdział 3

Pocąc się obficie w gorącym świetle reflektorów. Sherry Nichols skupiała całą uwagę na dwóch aktorkach, leżących nago na czarnych satynowych prześcieradłach. Ściany i sufit pomieszczenia wyłożone były lustrami. Powodowało to rozliczne kłopoty z oświetleniem, lecz jednocześnie dzięki załamaniom i odbiciom, stwarzało niezwykle możliwości kompozycyjne.

Wysoka jasnowłosa Sherry Nichols osiągnęła szczyt sławy jako reżyserka filmów pornograficznych. Jej ostatni obraz „Lukrecja” zwrócił uwagę swoim neoekspresjonistycznym stylem oraz zdumiewającym debiutem Candy Lane, która kręciła się teraz niecierpliwie na łóżku.

Nastoletnia piękność odrzuciła z ramion rękę starszej partnerki, wstała i chroniąc oczy przed blaskiem świateł zaczęła się skarżyć:

- Sherry, siedzimy tutaj jak w kuchence mikrofalowej!

- Candy ma rację. Jedźmy już dalej - wtrąciła starsza. - Ostatecznie to nie ma być scena balowa z „Wojny i pokoju”!

- Karen, proszę, musisz to znieść - uspokajała Sherry. - Te lustra to trudny numer.

- Ja chcę linijkę - jęczała Candy. - Dajcie mi linijkę.

- Utrzymaj swoją pozycję, dziecinko, jeszcze przez minutę, okay? - Sherry zwróciła się do asystenta - Gdzie Lisa Chang?

- Bierze prysznic - odpowiedział wysoki, chudy młodzian.

Sherry przyklękała u stóp okrągłego łoża, którego materace wypełniała woda, i patrząc badawczo w kamerę szukała dla Candy Lane i Karen Dara najlepszego ujęcia. Zmieniała obiektywy, usiłując dostosować je do akcji sceny, rozmieszczenia wszystkich trzech kamer i lustrzanych odbić. Gdy dokonywała tych kalkulacji, po jej policzkach spływały kropelki potu.

Po długiej chwili podniosła się, mówiąc do operatora:

- Użyjemy trzydziestki piątki na głównej, a pięćdziesiątki na ręcznych - przerwała. -

Ręczne kamery będą zdejmowały odbicia w lustrach. Do świateł chcę czerwone filtry.

Operator skinął głową i odszedł do stojącej obok grupki technicznych.

Sherry uśmiechnęła się do Candy:

- Spokojnie, dziecinko, już dochodzimy.

W wieku dziewiętnastu lat Candy Lane była już weteranką. Grała w piętnastu filmach hard-porno. Miała klasyczną figurę, jej urodę wyrażały ciemnoniebieskie oczy, lekko wystające kości policzkowe, prosty, patrycjuszowski nos oraz miękkie, pełne usta. Miała duże, jędrne piersi, płaski brzuch i szczupłą talię. Kształtne nogi zwężały się aż do kostek, delikatnych jak sarnie pęciny. Ale jej majątkiem były oczy. Wyrażały rodzaj bezradnego, zmysłowego oddania. Jakiś rzetelny krytyk filmowy nazwał jej niezwykłą zmysłowość

„zdumiewającym połączeniem niewinności oraz perwersyjnego wyrachowania”.

Sukces „Lukrecji” przyniósł jej kontrowersyjną sławę. Uznana została najlepszą aktorką roku w konkursie Towarzystwa Filmów Erotycznych, występowała w wielu programach telewizyjnych. Z dziecięcą naiwnością broniła tam pornografii jako po prostu jeszcze jednej formy wyrażania zmysłowości w kinie.

Traktowano ją teraz jak gwiazdę: limuzyna na zawołanie, hotelowe apartamenty, osobny człowiek do makijażu oraz roboczy przydział kokainy wysokiej jakości.

Zaczynała karierę od pozowania dla pornograficznych magazynów. Następnie awansowała na pieszczoszkę - tak nazywano dziewczyny, które przy wyłączonych kamerach uprawiały oralny seks z męskim gwiazdorem, podniecając go do granicy orgazmu, podczas gdy główna aktorka czekała na swe wejście. W miarę jak rosła cena i sława Candy, wzrastała też ilość zużywanej przez nią kokainy. Była „królową śniegu” - potrzebowała trzech gramów dziennie.

Główną gwiazdą, we własnym mniemaniu, była kobieta leżąca obok Candy. Kształtna figura i wykwinny sposób bycia Karen Dara dobrze jej służyły. Występowała kiedyś jako modelka w telewizyjnej reklamie mydła, sprzedawanego w całych Stanach. Wytworną wersją urody przeciętnej Amerykanki zainteresował się reżyser porno z San Francisco, proponując jej główną rolę w wysokobudżetowym filmie pod tytułem „Playgirls”. Był to przebój w kinach i bestseller na rynku wideo. Główna scena filmu, ukazująca Karen oraz trzy inne młode dziewczyny w zbiorowym akcie miłosnym zdumiewała autentyzmem. Jednakże jej sceny z mężczyznami były znacznie bardziej powściągliwe. Oczy traciły blask, a ciało, usta i ręce poruszały się mechanicznie.

W jednym z pierwszych filmów Karen John Traynor, gwiazdor królujący wśród aktorów porno, znalazł osobistą przyjemność w ukaraniu jej za to w trakcie kręcenia orgiastycznej sekwencji. Ale odkąd Karen osiągnęła sławę, jej kontrakt zawierał klauzulę, że sceny z mężczyznami będą dublowane.

- Chciałabym jeszcze jedną linijkę - wyszeptała Candy.

- Jasne, dziecinko - Karen uśmiechnęła się i przesunawszy nogi na brzeg łóżka, uformowała starannie, na szklanym blacie stołu cztery linie kokainy. Candy pochyliła się, wciągnęła nosem trzy z nich, a ostatnią nabrała na palec i wtarła sobie w dziąsła.

- Gdzie Sherry? - zapytała.

- Sprawdza stajnię naszego wałacha - odparła z posępną niechęcią Karen.

- Ty rzeczywiście go nienawidzisz, prawda?

- Nigdy się tego nie dowiesz.

\*

Sherry Nichols weszła do salonu, którego sufit tworzyło półkoliste sklepienie, a wewnątrz wypełniały włoskie meble i dywany.

John Traynor leżał nago, rozwalony na sofie. Nogi miał rozwarte, a dwie młode dziewczyny, klęcząc przed nim, pobudzały jego ogromnego członka.

- Jak ci idzie? - zapytała.

- Już kończymy - Traynor uśmiechnął się krzywo.

- Pokryjesz Candy w puencie tej sekwencji lesbijskiej - wyjaśniła Sherry. - Są trzy kamery, tak że nie martw się o ujęcia.

- Kapuję.

- Stella, idziesz ze mną - Sherry kiwnęła na rudowłosą pieszczoszkę.

\*

W kuchni nalany, siwy facet o twarzy emerytowanego boksera pożerał wielką, piętrową kanapkę. Ważył jakieś sto trzydzieści kilo. Na palcu nosił pierścień z diamentem wielkości winogrona. Leo „Wieloryb” Whelan kontrolował produkcję oraz kolportaż czasopism, książek, kaset i filmów porno na całym Zachodnim Wybrzeżu. Dzielił też nieodpłatnie wysokoprocentową kokainę pomiędzy swych aktorów i członków zespołu technicznego.

- Jesteśmy gotowi, Leo - powiedziała Sherry.

Wieloryb skinął głową, czknął i warknął na Stellę:

- Chcesz śniegu?

- Oczywiście, że Stella chce trochę śniegu - odparła Sherry. - Stella nie może grać bez śniegu - i odwróciwszy się do nagiej pieszczoszki, rzuciła drwiąco - prawda, kochanie?

- To pomaga - Stella uśmiechnęła się niewyraźnie.

Opasły król porno wyjął z kieszeni małą, celofanową torebkę i wręczył rudej. Stella usypała z proszku osiem białych linii i jedną po drugiej, chciwie wciągnęła je przez nos.

- Chodźmy - rzuciła Sherry.

W zatłoczonej sypialni panował przygnębiający, smętny nastrój. Dym z papierosów wędrował pod lustrzany sufit i tam, rozrzedzony, wisiał jak zwiotczały baldachim nad nagimi ciałami na okrągłym łożu.

Charakteryzator kończył pogrubiać uda chińskiej aktorce. Candy opierała głowę na poduszce. Spoglądała obojętnie na swe odbicie w lustrach sufitu.

Karen Dara, stojąc na podłodze, zginała i prostowała plecy. Stella, pieszczoszka, podochocona ośmioma linijkami koki, zamasyżowała szczotkowałą długie, rude włosy.

Sherry Nichols zwróciła się do skośnookiej dziewczyny:

- Zajmuj swoje miejsce, Lisa.

Lisa Chang posłusznie zbliżyła się do łóżka, uklękła pomiędzy nogami Candy i podniosła głowę.

- Tak dobrze?

- W porządku - przytaknęła Sherry.

Dwaj dźwiękowcy gawędzili w najlepsze, pstrykając klawiszami magnetofonu.

- Spokój! - wrzasnęła Sherry. - Na miejsca!

Główna kamera została podniesiona na małym dźwigu.

Dwaj operatorzy przysiedli obok łóżka, aby filmować przenośnymi kamerami obraz odbity w lustrach.

Leo Whelan stał z dala i opierając się o ścianę przeżuwał resztki jedzenia.

Głos Sherry, gdy zwracała się do Candy, stawał się miękki i opiekuńczy.

- W porządku, dziecinko?

Candy przytaknęła.

- Karen, gotowa?

- Tak.

- Pamiętajcie - dopowiadała Sherry - tę scenę robi pocałunek.

- No, kręćmy wreszcie - przerwała niecierpliwie Karen.

- Teraz będzie tylko ścieżka robocza - uprzedziła dźwiękowca Sherry. - Dogramy muzykę i łączniki z ekstazą podczas montażu.

Lisa Chang wychyliła się spomiędzy ud Candy.

- Czy moje włosy nie zasłaniają?

- Nie. Grasz do drugiej kamery. - Sherry otarła pot z czoła. - W porządku, Fred, daj filtry.

Elektryk wdusił kilka przycisków i ciemnoczerwone światło odbiło się od luster, kąpiąc nagie ciała kobiet w purpurowej poświacie.

- Pozycje! - komenderowała Sherry.

Karen i Stella zaczęły tulić się do piersi Candy. Lisa Chang schowała głowę pomiędzy jej udami.

- Candy? - spytała miękko Sherry.

- Tak. Można.

- Kamery! - warknęła.

Operatorzy odkrzyknęli pośpiesznie:

- Jest kamera pierwsza.

- Jest kamera druga.

- Jest kamera trzecia.

Asystent zawołał:

- Ścieżka robocza. „Cotton Candy”. Scena dwudziesta trzecia. Ujęcie pierwsze. Klaps!

Sherry mówiła do Candy ze spokojem:

- Akcja zaczyna się bardzo powoli, potem narasta. Będę dawać ci znaki co minutę.

Przyśpieszaj tempo za każdym razem. Po trzech minutach dam sygnał do pocałunku.

W sypialni zapadła cisza.

- Jazda! - wykrzyknęła Sherry.

Candy spojrzała w lustrzany sufit, podczas gdy pozostałe kobiety zaczęły ją nęcić seksualną grą.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu.

Ciszę mącił jedynie szum kamer.

W drugiej minucie Candy zaczęła pojękiwać, jej biodra falowały, napierając na usta Lisy. Głowy Karen i Stelli przyciągnęła ku swym piersiom.

Minęła kolejna minuta.

- Karen - rozległ się szept. - Stella.

Była żywa reklama mydła toaletowego wypuściła z ust sutek Candy, jednocześnie Stella zsunęła się powoli, ku dołowi jej ciała. Karen pieściła szyję, policzki, powieki Candy, po czym uniosła się i na chwilę przed głębokim pocałunkiem, spojrzała z miłością na jej dziecięcą twarz. Kamery, światła i ekipa techniczna przestały istnieć, gdy złane potem dziewczyny połączyły się w odrealnionym związku nagich ciał. Ich piersi, uda, ramiona i usta, załamywane w szklanych pryzmatach, tworzyły nieskończoną ilość olśniewająco zmysłowych obrazów. Ciała pulsowały coraz intensywniej, rozpalane działaniem białego proszku, który przywędrował na wzgórze Hollywood z kolumbijskiej dżungli.

Woniejący czosnkiem Leo Whelan przysunął się do Sherry i zamruczał:

- Ta jedna scena, na żywo, warta jest dziesięć milionów. A szmal za kasetę trudno będzie policzyć.

## Rozdział 4

W jej zamroczonej narkotykiem głowie mijane uliczne światła stawały się ślepiami pełzającego gada. W oddaleniu pozostawały, zamknięte lub na wpół otwarte, by potem olbrzymiejac zajaśnieć i zniknąć ze świstem za plecami.

Dach Mercedesa 450 SL był odsunięty, pęd wicherzył jej jasne włosy. Limuzyna sunęła na północ Autostradą Wybrzeża Pacyfiku. Candy wciąż znajdowała się pod wpływem koki, a napięcie przy filmowaniu dodatkowo wyczerpało jej nerwy. Jechała już od godziny i tęskniła za świeżą dawką śniegu. Usta miała obolałe od pocałunków Karen, nad prawym okiem czuła tępy, pulsujący ból.

Karen Dara opuściła studio po zakończeniu sekwencji lesbijskiej, a Candy pozostała, pracując nad końcową sceną z Johnem Traynorem, Lisą Chang, Stellą oraz jeszcze jedną pieszczoszką. W końcu Sherry Nichols pocałowała ją na dobranoc, a Leo Whelan dał jej trzy gramy koki i pięćdziesiąt studolarowych banknotów.

Melancholijny śpiew Streisand wypełnił samochód, gdy Candy zwolniła przed drugimi światłami na północ od Malibu i zjechała na lewy pas. Zielona strzałka zapaliła się wreszcie i Candy, ostrożnie przecinając szosę, zjechała w stronę plaży, na słabo oświetloną.

prywatną drogę. Przejechała dalszych kilkaset metrów, aby w końcu zaparkować w otwartym garażu, przylegającym do piętrowego domu, w nowoangielskim stylu. Wynajęła ten dom od słynnej aktorki, grającej teraz na Broadwayu.

Salon był obszerny, wygodnie umeblowany. Przesuwane drzwi prowadziły na drewniany taras, skąd rozciągał się widok na ocean. Candy zdjęła kilka rycin należących do właścicielki, zastępując je oprawionymi fotografiami samej siebie. Były to niewinne zdjęcia, artystycznie zakomponowane na efektownym, pustynnym tle. Zapłaciła za nie fotografowi trzy tysiące, mając nadzieję zdobyć jakąś normalną pracę modelki, ale nic z tego nie wyszło.

Rzuciła torebkę na sofę i wkroczyła na taras. Rozkołysany ocean pienił się i grzmiał, uderzając gniewnie o brzeg. Oddychała głęboko w podmuchach morskiego powietrza.

Zwilżając językiem nabrzmiąte usta, Candy myślała o Karen. Kochała ją. Kochała ją beznadziejnie.

Karen nie potrafiła poświęcić się takiemu związkowi. Za jowialną powierzchownością krył się w niej demon, wewnętrzna furia, która wyzwalała nieobliczalne nastroje. Bywała opiekuńczą, wspaniałomyślną, wrażliwą kochanką, lecz zawsze tylko przez chwilę.

Ostatniego lata wyjechała do Hiszpanii, nie mówiąc nawet do widzenia. Ale w szczególności dla siebie sposób, Karen dała Candy taką miłość, jaką tylko zdolna była ofiarować. Karen zapoznała ją z Regułą Sziwy, religią wyznawaną przez Lisę Chang. W medytacjach Candy znalazła pewne ukojenie. W każdym razie, Karen była kimś, komu mogła ufać.



Oddechnęła głęboko morskim powietrzem i weszła do salonu. Przy telefonie migąło czerwone światełko. Zrzuciwszy buty, przeszła przez pokój i włączyła automatycznie nagraną taśmę. Wysłuchiwała dwóch wiadomości od Karen oraz dobiegającego z oddali głosu Pedra Cisnerosa. Nastawiła automat ponownie na nagrywanie i znużona, powlokła się do sypialni.

Baldachimowe łoże przykryte było różowym, kaszmirowym pledem. Taki sam kolor miały satynowe prześcieradła i dwie poduszki, o które opierał się pluszowy miś. Sypialnia była położona od strony oceanu, a rozsuwane drzwi otwierały się na plażowy, drewniany pomost.

Wyjęła z kieszeni małą fiolkę kokainy, dwukrotnie pociągnęła z niej nosem i poszła do łazienki. Rozebrała się, po czym otworzywszy drzwi kabiny prysznic, kręciła kurkami dotąd, aż trysnął ukrop. Weszła do środka i zwróciła twarz ku górze. Po zamknięciu oczu ujrzała natychmiast ogromny członek Johna Traynora, który wsuwał się na przemian w Lisę Chang i w Stellę, rzucając się od jednej do drugiej jak oszalały z podniecenia ogier. Candy uśmiechnęła się ironicznie na myśl o filmowym *image'u* Traynora. Męski król porno nie potrafił osiągnąć orgazmu inaczej, jak tylko z pomocą własnej ręki i jedynie dzięki montażowym trickom Traynor jawił się swoim fanom jako samiec gotowy na każde zawołanie.

Opuściła na powrót głowę i zaczęła się myć. Nagle w jej zmęczonym umyśle zawirowało i błysnęło nazwisko Pedra Cisnerosa. Pół roku temu spędziła z tym kolumbijskim handlarzem długi weekend w wynajętej willi na Key Biscayne. Leo Whelan prosił, aby dostarczyć Cisnerosowi bankowy czek transferowy na sumę pięciu milionów. Były to narkodolary wyprane przez należące do Whelana przedsiębiorstwo dystrybucji filmów.

Zaoferował jej pięć tysięcy dolarów w formie nagrody za „kurierską” przysługę. Zgodziła się dopiero wtedy, gdy Whelan przychylił się do prośby, aby towarzyszyła jej Karen.

Candy słyszała, że Pedro Cisneros nie tylko kierował szmuglerskimi operacjami Ordoneza, lecz także służył królowi narkotyków jako przemyślny i bezlitosny naganiacz.

Te pogłoski przeraziły ją, lecz podczas tamtego weekendu nie dostrzegła żadnych złowrogich cech w elegancko wystawiającym się Kolumbijczyku. Cisneros był w każdym calu dżentelmenem, równie uprzejmym jak troskliwym. Nalegał, aby zerwała z pornobiznesem i odstawiła narkotyki. Wspomnił o możliwości wywarcia na producentów pewnego nacisku, dzięki któremu otworzyłaby się przed nią kariera w normalnych filmach.

Słuchała z napiętą uwagą, lecz w końcu potrząsnęła głową zrezygnowana, mówiąc:

- Nikt jeszcze nie przeszedł z porno do zwykłych filmów.

Tamtej nocy, gdy czas zaczął się dłużyć, Candy zmieniła kokę na trawę i zapadła w głęboki letarg. Niewyraźnie przypominała sobie Cisnerosa, który niósł ją do sypialni, rozbierał, a potem przykrył pledem, szepcząc coś po hiszpańsku przed odejściem.

Obudziła się w południe i przy filiżance kawy Karen zakomunikowała jej, że Cisneros o świcie

opuścił wilgę wodolotem.

Po powrocie do Los Angeles otrzymała fotografię, na której widniała wraz z Cisnerosem i Karen. W ślad za kolorowym zdjęciem, szły sporadyczne telefony z dziwnych miejsc: Panama City, Meksyk, Rio, Lima i przy kilku okazjach Key Biscayne. Idąc za radą Karen uprzejmie dziękowała za wielokrotne zaproszenia Cisnerosa do odwiedzenia go w Kolumbii.

\*

Candy zakręciła kurki prysznica, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zrobiła błędu. Być może Cisneros mógł pomóc jej w karierze?

Wróciwszy do sypialni, włączyła kasetę ze składanką Neila Diamonda. Następnie, wyjęła spod stereofonicznej aparatury plastikową torbę zawierającą pół kilo 70-procentowej kokainy. Karen ostrzegała ją, że wszystko powyżej 50 procent jest niebezpieczne, lecz w miarę jak nałóg Candy pogłębiał się, potrzebowała coraz to mocniejszych urozmaiceń. Na szklanej powierzchni nocnej szafki usypała sześć linii i wchłonęła je szybko. Gdy narkotyk eksplodował w mózgu, poczuła lodowaty błysk, a myśli goniły cofając się w przeszłość, jak przewijane w tył szpule magnetofonu.

Wyprężyła się naga na pościeli, przyciągając do siebie pluszowego misia.

Przypominało jej się pozowanie do pierwszych aktów, potem zdjęcia nazywane żywym mięsem, lesbijskie plakaty, a dalej występy dla podglądaczy i mozolna harówka, dzień po dniu, w pełnometrażowych hard-porno, aż do chwili gdy Sherry Nichols wybrała ją do głównej roli w „Lukrecji”. Ten film uczynił z niej gwiazdę, przyniósł sławę i paranoję.

Codziennie budziła się ze strachem. Dopiero po wchłonięciu, przy porannej kawie, pięciu linijek koki, lęk ustępował.

Desperacko pragnęła uciec. Ale dokąd? W jaki inny sposób mogłaby osiągnąć obecne dochody? Nie potrafiłaby już wrócić do szkoły lub do przyziemnej pracy w biurze. Zarabiała teraz prawie dwieście tysięcy rocznie.

Podniosła się i niosąc ze sobą misia, podeszła do oprawionej w ramki recenzji z

„Lukrecji”, napisanej przez renomowanego krytyka. Z uwagą czytała fragment: „Candy Lane jest najbardziej uwodzicielską nastolatką, jaka kiedykolwiek ozdabiała ekran kina pornograficznego. Panna Lane ucieleśnia zwodnicze połączenie niewinności i przyzwolenia.

Jej początkowa wstrzeźliwość ustępuje miejsca zmysłowemu oddaniu, a odbywa się to z niesamowitym wyrachowaniem”.

- Widzisz, misiu - szepnęła Candy wypchanej maskotce.

Nagle wybuchła płaczem i szlochając wróciła do łóżka.

- Prawdziwy krytyk filmowy tak o mnie napisał...

Siadając wetknęła palec do torby z koką, po czym wcierała biały proszek w dżąsła, aż do ich zdrętwienia.

Obejmując pluszowego misia, uzmysłowiła sobie, że nawet jako dziecko czuła, że jej życie jest spóźnione. Jakby marzenia i czas ich spełnień nigdy nie były ze sobą w zgodzie.

Zawsze pragnęła rzeczy oglądanych w kinie i w telewizji: pięknych strojów, cudownych tropikalnych wysp, eleganckich restauracji, dyskotek i kart kredytowych, którymi wystarczy machnąć, by wszystkie te zaklęte rzeczy należały do niej. A tacy ludzie jak ona nie zdobywają bogactwa poprzez czekanie. Musisz pracować i mieć plan. Musisz wiedzieć, co masz do sprzedania. Gdy miała czternaście lat, Candy wiedziała już, co było jej specjalnym towarem na sprzedaż. Posiadała naturalny dar wywoływania u kobiet i mężczyzn seksualnych fantazji. Zdolność spełniania tej, specyficznej ludzkiej potrzeby przyniosła jej pieniądze i sławę - lecz jej życie było miłą, pełne smutku i lęku. Ludzie w mieście spoglądali na nią bez podziwu, raczej z makabryczną ciekawością, z jaką zwalnia się na autostradzie, aby przyjrzeć się wypadkowi.

Teraz, samotną w pustym nadmorskim domu, uderzyło nagłe przecucie kłęski.

Szybko przygotowała sześć nowych linijek. Przykładając do nosa złotą rurkę, usłyszała dziwny hałas pod oknami, jakby chrzęst butów na zapiaszczonym chodniku.

Wysunęła górną szufladę nocnej szafki i wyjęła automatyczną Berettę 25. Otworzyła bębenek, naładowała i odbezpieczyła broń.

Chrzęst nie ustawał.

Przygarniając maskotkę do piersi, w prawej dłoni kurczowo zacisnęła rewolwer.

Wstała nago z łóżka i zgasiła światło. Z bijącym sercem podeszła do otwartych drzwi na taras. Morski wiatr począł wściekle rozwiewać jej długie włosy, gdy schodziła na drewniany pomost.

Skierowała broń w stronę obcych dźwięków, które dobiegały z wąskiej ścieżki prowadzącej na plażę. Drżąc z zimna, trzymała rewolwer mokrą od potu dłonią. Kroki były coraz wyraźniejsze. Odrzuciła maskotkę i chwyciwszy broń w obie ręce wyciągnęła ramiona, celując w ciemny załom domu. Wydawało się, że minęły wieki, zanim w rozproszonym świetle ukazała się znajoma postać.

Westchnęła z ulgą, powoli opuszczając rewolwer.

## Rozdział 5

Wioska Santa Rosa, leżąca tysiąc kilometrów na północny wschód od Bogoty, ukryta była w podzwrotnikowej dolinie odludnych i niedostępnych gór La Guajira. Ludność Santa Rosy liczyła niecałe dziesięć tysięcy dusz, lecz produkcja miejscowej rafinerii kokainy warta była, według rynkowej ceny śniegu, 25 miliardów dolarów.

Drobny procent tych niesamowitych dochodów podniósł Indian Guajira z przeraźliwego, beznadziejnego ubóstwa do materialnego poziomu życia obywateli takich miast jak Bogota czy Cali.

Indianie od wieków żuli surowe liście koki, aby bronić się przed zimnem, głodem i chorobami, oczyszczoną kokainę uważali jednak za diabła białych ludzi. Wierzyli także, iż ekonomiczne zyski czerpane z liści koki są błogosławieństwem danym od Boga, a przekazicielem tego daru jest Don Rafael Ordonez, wybrany przez ich bóstwo Manco Capac na swego sługę na Ziemi.

Rafael Ordonez był kolumbijskim arystokratą, którego indiańscy przodkowie przemieszali się z hiszpańskimi konkwistadorami, Wykształcony został w Anglii i władał

pięcioma językami. Okazał się świetnym administratorem, wykazując wybitny talent organizatorski.

W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat Ordonez wciąż wyglądał jak gwiazdor filmowy.

Gęste, kędzierzawe włosy miał tak białe, jak oczyszczona kokaina, twarz miał ogorzałą od morskich kąpiei i wędkarskich wypraw na otwarty ocean. Nosił się w sposób wybredny i nieskazitelny, choć jego styl prawie nigdy się nie zmieniał: okulary słoneczne od Cartiera, buty Tanino Crisci, ręcznie szyte białe, lniane marynarki z Mediolanu oraz angielskie bawełniane koszule polo w kolorze niebieskim. Te firmowe ubrania nosił nawet podczas wizyt w rafinerii, usytuowanej w sercu tropikalnej dżungli.

Leśny kompleks zapewniał warunki dla pobytu pięciuset robotników i oddziału uzbrojonej straży. Były tam klimatyzowane mieszkania, jadalnie, a także magazyn, wypełniony od podłogi po sufit workami studolarowych banknotów. Teren rafinerii ograniczały utwardzone pasy gruntu, na których lądowały z balami surowych liści koki małe odrzutowce oraz lśniący, dwusilnikowy Cessnas, i z których potem startowały, mając ładownie wypełnione oczyszczoną kokainą.

Partnerskie stosunki Ordoneza z feudalnymi posiadaczami ziemskimi Boliwii, Peru, Ekwadoru i Brazylii zapewniały mu całoroczną uprawę koki na powierzchni prawie dwóch i pół miliona hektarów.

Przerzuty oczyszczonej kokainy nadzorował kuzyn Ordoneza, Pedro Cisneros, pod którego fachowym kierownictwem narkotyk szmuglowano do Stanów Zjednoczonych poprzez przemyślną sieć kurierów, prywatnych samolotów, ślizgaczy oraz macierzystych statków operujących wśród łańcucha wysp i raf koralowych rozsianych po Morzu Karaibskim.

Odkąd objął kontrolę nad rozdrobnionym kolumbijskim przemysłem narkotykowym, Ordonez zwrócił swą uwagę ku amerykańskiej mafii. U schyłku 1978 roku doborowy oddział

kolumbijskich zamachowców wtargnął na Florydę, dotychczasową jej domenę. W Miami wybuchła trzyletnia, krwawa narkotykowa wojna. W lipcu 1981 roku zawarto rozejm - na warunkach Ordoneza. Mafii nie wolno było dalej handlować kokainą ani jej rozprowadzać.

Miała odtąd poświęcić swą działalność wyłącznie operacjom prania pieniędzy, z czego uzyskiwała 10-procentowy zysk.

\*

Ordonez lubił swe codzienne inspekcje w rafinerii. Dostarczały mu one okazji do podtrzymywania

osobistych kontaktów z pracownikami. Czuł się jak generał rozdzielający awanse wśród oddziałów, w rewanżu za ich dozgonną lojalność. Indiańscy robotnicy, przesypując stosy zielonych liści suszących się w porannym słońcu, pozdrawiali przechodzących - Ordoneza i Cisnerosa. Poza pracą przy transporcie i przeróbce liści koki, Indianie Guajira tworzyli swoistą, żywą sieć radarową: Ordenez był zawsze informowany z wyprzedzeniem o sporadycznych patrolach armii kolumbijskiej.

Ordenez dodatkowo umacniał swe bezpieczeństwo poprzez skwapliwe oferowanie łapówek. Zdeponował dziesięć milionów dolarów w Banku Panamskim, na licznych kontach kolumbijskich agentów narkotykowych, oficerów armii oraz sędziów okręgowych. Credo Ordoneza było proste: „Zaproponuj człowiekowi łapówkę, jeśli odmówi, zaproponuj mu kulę”.

Kuzyni weszli do wielkiego magazynu i stojąc w drzwiach, obserwowali Indian rozsypujących środek toksyczny do worków ze studolarowymi banknotami. Duże, szare szczury, karmiące się pieniędzmi, uciekały beładnie z worka na worek. Ale chemiczna trucizna mogła służyć jedynie jako tymczasowe zabezpieczenie.

- Musimy przebudować ten magazyn - powiedział Ordenez. - Ma być dwa razy większy i ze szklanymi pojemnikami.

- Powiadają, że szczury mogą przeżyć nawet wojnę atomową - zauważył Cisneros.

- Być może, ale nie mogą jeść szkła. Wyjdźmy na świeże powietrze, Pedro.

Przechadzając się w słonecznych smugach, minęli chemików w maskach ochronnych, w chwili, gdy mieszały pastę kokainową z kwasem siarkowym, wapnem i nadmanganianem potasu. Na moment zatrzymali się obok szopy pokrytej blachą, gdzie usypano pryzmy białego proszku - był to kokainowy ekstrakt, narkotyk tak mocny, że przyjęcie jednej linijki powodowało natychmiastowy atak serca i zgon. Przed transportem do Stanów to śmiertelne stężenie zredukowano dodaniem dekstrozy i laktozy, a na miejscu rozrzedzano aż do poziomu poniżej dwudziestu procent.

Ordenez uśmiechnął się na myśl o niesamowitym zysku. Liście koki, warte jednego dolara, przemieniały się w trzystudolarową wartość śniegu sprzedawanego na ulicy.

Kuzyni zatrzymali się na skraju dżungli, obserwując nadjeżdżającego ku nim jeepa z napędem na cztery koła. Pojazd zahamował, wyskoczył zeń indiański kierowca i spieszenie podszedł do Ordoneza.

- *Que pasa*, Manuel?

- *El aleman llega* - Gracias.

- *A su servicio*, patron.

- Ten szkop jest zawsze na czas - rzucił Cisneros.

- Narodowa cecha, Pedro.

- Nie jest jednym z nas.

- Nie możemy być wszystkim naraz, kuzynie. W tej chwili potrzebujemy tego Niemca.

Usłyszeli, jak odległy pomruk silników odrzutowych zbliżał się do lądowiska.

- Zabierz go do willi - powiedział Ordonez.

Cisneros skinął głową i wspiał się na jeepa.

- Pedro!

Kierowca właśnie wrzucał bieg. Cisneros przytrzymał mu rękę i odwrócił się.

- Czy „Ave Maria” jest na miejscu?

- Tak.

- Kiedy wyruszasz?

- Jutro.

- Dobrze. A przy okazji, kuzynie, czy kontaktujesz się jeszcze z tą dziewczyną ze Stanów?

- Jaką dziewczyną?

- No, z tą blondynką, kurierką Whelana. Zdaje mi się, że gra w filmach porno.

- Candy Lane... tak, dzwonię do niej od czasu do czasu.

Ordonez odchylił na czoło okulary słoneczne i spojrzał na swego kuzyna z dziwnym wyrazem rozbawienia pomieszanego z groźbą.

- Byłoby lepiej, gdybyś tego nie robił - oznajmił miękko.

\*

Trzej mężczyźni siedzieli na werandzie mauretańskiego domu Ordoneza. Niebieska, pasiasta markiza chroniła ich przed tropikalnym słońcem, a z ukrytych głośników sączyły się rytmy ludowej muzyki peruwiańskiej. Ordonez uwielbiał w niej zmysłowość bębnow i natarczywy dźwięk piszczałek. Rozległą, ukwieconą posiadłość otaczał wysoki mur, pokryty soczystą purpurą kwitnących tropikalnych pnączy i zakończony odłamkami szkła. Dzikie palmy kokosowe ocieniały teren, dając wytchnienie patrolującym go nieustannie, uzbrojonym strażom.

Kurt Ohlendorf mówił już od pięciu minut. Cisneros i Ordonez przytakiwali z rzadka, nie przerywając finansowemu czarodziejowi.

Sześćdziesięcioośmioletni były dyrektor Reichsbanku, był wysoki i chudy niemal jak kościotrup. Białosc wydatnego nosa podkreślały cienutkie niebieskie żyłki, a jego wodnisto-szare oczy oplatała

siatka czerwonych kresek. Z uszu wyrastały mu kępki siwych kłaczków.

Wąskie usta miał suche i popękane.

Ordenez chętnie odfajkowałby to spotkanie jak najprędzej. Jego hiszpańska żona i starsza córka przebywały na wakacjach w Madrycie, a na górze, w gościnnej sypialni czekała na niego Brazylijka o kawowym odcieniu skóry i niebieskich oczach.

Pedro Cisneros wydawał się skupiać na referacie Niemca o bieżących operacjach prania pieniędzy, lecz jego myśli wracały do bezceremonialnej uwagi Ordoneza o jego kontaktach z Candy Lane. Był w pełni świadom faktu, że Ordenez nigdy nie mówił o prywatnych sprawach bez istotnej przyczyny. Najmniejsze odchylenie od uznanych reguł

zawodu oznaczało śmierć. Bez słów, bez oskarżeń - po prostu krzyżyk. Nawet gdyby jego kuzyn wspomniał o Candy Lane paląc spokojnie hawańskie cygaro, miałyoby to swoje znaczenie.

- W ostatnim kwartale wyczyściliśmy cztery miliardy dolarów - mówił Ohlendorf ale pojawiają się kłopoty. Ludzie z bankowości federalnej wykryli nie rejestrowany transfer dwóch miliardów dolarów z Bank of Boston do Szwajcarii - Ohlendorf zwilżył usta i ciągnął

dalej. - Nasze konta bankowe w Panamie niebezpiecznie sięgają ustalonych limitów. Jeśli nastąpią tam jakiegokolwiek napięcia polityczne, nasze depozyty będą zagrożone. Konta w Lichtensteinie, Szwajcarii, zachodnich Niemczech i we Włoszech szybko zbliżają się do granic limitu. Topimy się w gotówce - zakończył chudzielec, łyknąwszy piwa.

Ordenez spokojnie poprawił się na fotelu i zapalił boliwijską cygaretkę. Poprzez słoneczne okulary nie sposób było czytać w jego wyrazistych, czarnych oczach. Zaległa cisza, przerywana piskliwym *staccato* tropikalnych ptaków, gnieźdzących się w koronach palm.

Po chwili Ordenez przemówił ciepłym, przyjaznym głosem.

- Jesteś jak zwykle bardzo dokładny, Kurt.

- Dziękuję, Don Rafael.

Ordenez podniósł się i odwrócił głowę ku bujnej tropikalnej zieleni.

- Musimy znaleźć nowe dojścia do oczyszczania pieniędzy - powiedział łagodnie.

Ohlendorf przytaknął.

- W przeciwnym razie, będziemy zmuszeni ograniczyć produkcję.

Ordenez obserwował zieloną jaszczurkę, błyskawicznie przemykającą po posadzce z włoskiego marmuru.

- Obaj znacie moje stanowisko. Rozwiązanie tego problemu leży w rękach naszych kolegów z mafii.

- To niebezpieczne - przestrzegł Cisneros. - Mamy z nimi starą umowę.

- Umowy podlegają zmianom - orzekł Ordonez, zwracając się do spoconego Niemca. -

Ile wyczyścili dla nas w zeszłym roku?

- Trochę ponad miliard.

- Chcę, żeby podwoili tę sumę. Jedź do Los Angeles, rozmów się z Davisem.

Powiedz, aby przekazał moje żądania Angelowi Maffatore.

- W porządku, ale...

- Żadnych ale - przerwał Ordonez. - Mafia się rozwała Orły już odeszły: Luciano, Costello, Gambino, a zwłaszcza ten ich żydowski Ojciec Chrzestny, Lansky. Wielki facet, ten Lansky. Młode pokolenie jest przetkane kapusiami FBI. Są nieostrożni. Brakuje im sprytu i odwagi własnych ojców.

- Nie chcemy wojny - wtrącił Ohlendorf.

- Nie będzie żadnej wojny - odparł stanowczo Ordonez. - Powiedz mi, Kurt, jakie są roczne dochody mafii z pornografii?

- Jeśli podliczyć kasety, książki, filmy i czasopisma, to będzie tego razem ze sześć miliardów.

- A jak to jest lokowane?

- Przez sieć legalnych korporacji w Stanach i Kanadzie. Mają jakieś dwieście osobnych kont bankowych.

- Przepuścimy dodatkowy miliard przez te konta i podniesiemy im procent do dwunastu.

- A jeśli odmówią?

- Nie jestem fachowcem od kina - Ordonez uśmiechnął się. - Ale wydaje mi się, że nie można kręcić filmu bez aktorów.

## Rozdział 6

Nagie ciało Candy Lane leżało na drewnianym tarasie, zwrócone twarzą ku dołowi.

Wokół jej nóg, pośladków i pleców roiły się chmary zielonych muszek. Skóra, poddana bezlitosnemu działaniu promieni słonecznych, spurpurowiała i pokryła się pęcherzami.

Mrówki, wspiąwszy się czarnym szeregiem po drewnianych listwach, ucztowały w zakrzepłej krwi i osoczu wyciekającym z otworu w lewej skroni. Automatyczna Beretta połyskiwała w słońcu leżąc o centymetry od zeszytniałych palców martwej dziewczyny. Część prawego uda Candy była



rozszarpana. Z gnijących zwłok wydobywał się mdły, słodkawy odór i przenikając przez drzwi tarasowe, stawał się w parnym powietrzu sypialni nie do zniesienia.

Założywszy chirurgiczne rękawice i maskę, Gabriel Torres - Meksykanin z pochodzenia, główny ekspert w dokonywaniu oględzin zwłok w Los Angeles - przyklęknął

obok wzdętego trupa.

Jack Raines stał na tarasie, obserwując odprawiającego medyczny rytuał Torresa.

Obcowanie z gwałtowną śmiercią nie było dla niego nowością. Służba w Wietnamie i lata spędzone w wydziale zabójstw uodporniły go na widok zbezczeszczonej istoty ludzkiej. Ale tutaj ohydna woń rozkładającego się ciała przekraczała nawet potworność widoku, nasycala mózg i przenikała duszę.

Mrużąc oczy przed słońcem przypatrywał się plaży. Liny wytyczały na niej kwadratowy wycinek, w pół drogi między tarasem a brzegiem oceanu. Czterech policjantów z Malibu, w słonecznych okularach, pocąc się w lipcowym upale, rozpraszało tłum ciekawskich, złożony z amatorów surfingu i joggingu, miłośniczek kąpieli słonecznych w bikini oraz sąsiadów. Miejscowy dziennikarz przeprowadzał wywiad z posiwiąłą starszą panią. Odbywała właśnie codzienną przechadzkę po plaży o wschodzie słońca, gdy dobiegło ją z tarasu Candy ujadanie psa. Podeszła do drewnianego pomostu i zamarła z przerażenia.

Wydawało jej się, że wielki kundel wgryza się w udo nagiej dziewczyny, leżącej bez ruchu na deskach. Kobieta potrzebowała dłuższej chwili, aby uzmysłwić sobie, że ta naga kobieta nie opala się, a pies nie ujada dla zabawy.

Starsza pani pobiegła z powrotem do domu i powiadomiła policję w Malibu. Ekipa detektywów i mundurowych przybyła na miejsce o siódmej piętnaście. Po odkryciu w sypialni Candy torby kokainy, szef detektywów z Malibu zadzwonił do Wydziału Operacyjnego i zaalarmował sekcję NIFTY.

Jack i Silvio przyjechali o ósmej trzydzieści wraz z człowiekiem od oględzin zwłok i małą armią zbieraczy odcisków palców, techników laboratoryjnych, chemików oraz fotografów. Dom wypełniły odgłosy krzątania, typowej dla śledczej procedury. Jack poczuł

na twarzy gorąco promieni słonecznych, Z czoła sączyły mu się krople potu i spływały po policzkach.

Zapalił cygaretkę i spojrział na ocean. Kolorowa flotylla żaglówek kręciła się na wietrze, śmigając tam i z powrotem, jakby brała udział w jakimś żeglarskim balecie.

Torres czknął głośno przez maskę z gazy i chwycił się za brzuch.

- Zapakujcie ją - polecił swoim pracownikom.

Meksykanin podniósł się ciężko, odsunął maskę z ust i posłał Jackowi wątpy uśmiech.

- Będę za chwilę, *amigo*.

Biało odziani ludzie z kostnicy delikatnie przekęcili ciało na wznak. Roje much, brzęcząc zajadle, uniosły się nad nim jak czarna chmura. Twarz Candy miała niebieski kolor, otwarte oczy pokrywała biała błona, a długie jasne włosy były sztywne i poczerniałe od zakrzepłej krwi.

Jack rzucił cygaretkę na taras i wszedł do wnętrza. Tłum facetów zbierających odciski, mundurowych i niemundurowych, kręcił się po schodach tam i z powrotem, z pokoju do pokoju, jakby mieszkali w tym domu przez całe życie.

Silvio stał obok fotografa, który kręcąc obiektywem pstrykał zdjęcia obrazka, naszkicowanego proszkiem kokainy na nocnym stoliku. Strzała przebijała serce z inicjałami P.C.

- Powinno wystarczyć - powiedział fotograf.

- Jak wywołasz - odezwał się Jack - każ przysłać mi do wglądu, do Operacyjnego.

- Dobra, poruczniku - fotograf otarł pot z czoła. - Chryste, ta cipa tak śmierdzi, że się człowiekowi może raz na zawsze odechcieć jedzenia.

Jacka oblała nagła fala gorąca. Odruchowo wyrwał prawą rękę. Zagarnął fotografa, owinał dookoła i rąbnął nim o ścianę.

- Nazwisko ofiary brzmi Candy Lane - zachrypiał.

- Jasne, jasne. Nie ma sprawy, poruczniku.

Spasiony fotograf wybiegł pędem. Jack rozpiął koszulę, ściągnął krawat i marynarkę.

- Tylko spokojnie, Jack - mruknął cicho Silvio.

- Co z tą koką? - Chemicy właśnie to rozpracowują.

Szef detektywów z Malibu, Paul Lescano, klepnął Jacka po ramieniu:

- Mamy odciski, zdjęcia ofiary i ten list miłosny. Przygotowują się, żeby zabrać ją do lodówki. Od tej pory sprawa przechodzi do NIFTY. Myślę, że powinniście pogadać z prasą.

Nie zazdroszczę ci, Raines. Sławna gwiazda porno, kokaina. Pierwszorzędna sprawa.

- Możecie postawić tu na kilka dni człowieka?

- Jasne.

Lescano kiwnął na swoich ludzi. Mundurowi, cywile i technicy z daktyloskopii opuścili sypialnię. Dwóch z kostnicy wprowadziło wózek, na którym spoczywały zwłoki Candy Lane. W czarnym worku z trudem dawał się rozpoznać zarys jej kształtnego ciała.

- Wyjeżdżamy, poruczniku - rzucił jeden z nich.

- Włóżcie ją tylko na samochód - odpowiedział Jack - i nie chrzańcie o tym nikomu.

Silvio zauważył jak mała, półokrągła blizna na prawym policzku Jacka spąsowiała a jego łagodne, brązowe oczy stały się zimne i złowrogie.

- Uważaj z prasą - ostrzegł go Silvio.

Jack skinął głową, odwrócił się i już wychodząc stanął raptownie, gdyż coś na łóżku przyciągnęło jego wzrok. Na jedwabnych, różowych poduszkach leżał sobie uśmiechnięty, pluszowy miś. Oczy nieruchomej zabawki zdawały się wyrażać dziecięcą niewinność.

Przed frontowym wejściem stał rząd beładnie zaparkowanych pojazdów. Ambulans, furgonetka z kostnicy, trzy policyjne wozy z Malibu, stary Pontiac Jacka, czarna Toyota należąca do Gabriela Torresa i wóz transmisyjny telewizji. Szereg samochodów prasowych zaparkowano na skraju wąskiej dróżki, prowadzącej na autostradę. Ekipa TV włączyła kamery a reporterzy zaczęli pstrykać i pobrząkiwać Nikonami w chwili, gdy obsługa przejeżdżała z ciałem Candy Lane do tylnych drzwi furgonu kostnicy.

Nie zwracając uwagi na prasę ludzie w kitlach otworzyli pojazd, wsunęli do środka ciało, złożyli wózek, zatrzasnęli drzwi i szybko wsiedli do szoferki. Kierowca uruchomił

silnik, wykręcił i odjechał.

Gdy Jack wyszedł przed dom, natychmiast został otoczony kłębiącym się tłumem dziennikarzy, którzy zasypali go krzykliwym potokiem nieskładnych pytań.

- Jak długo tam leżała, poruczniku?

- Czy pracowała nad nowym porno?

- Czy to było przedawkowanie?

- Czy została zamordowana?

W tłumie torowała sobie przejście reporterka telewizji z krzywymi zębami, platynową fryzurą i poprawionym przez chirurgów nosem. W ślad za nią przedzierał się operator z przenośną kamerą. Jack znał ją. Każdy ją znał. Gloria Hunnicutt miała reputację mistrzyni minety. Wykorzystywała swój niszczycielski talent z niezawodną, profesjonalną dokładnością. Posłała Jackowi uśmiech.

- Kiedy opędzisz się od tej hołoty, zrobimy sobie prywatny wywiad. Nie będziesz żałował. Powiem coś przychylnego o NIFTY.

- Daj sobie spokój, Gloria.

- Nie mogę, poruczniku. Mam 35 milionów Amerykanów, którzy dyszą z pożądania, aby usłyszeć twój komentarz. Poza wszystkim Candy Lane była dużą gwiazdą.

Zauważył, jak w jej ustach świsnął jaszczurczy język. Legendarna, telewizyjna plotkara uśmiechnęła się powabnie.

- Jak załatwisz z tymi błaznami, będę czekać.

Odeszła beztrąsko w kierunku domu. Jack ponownie znalazł się w krzyżowym ogniu pytań.

- Cisza! Cisza mówię! - krzyknął.

Stado dziennikarzy zamilkło.

- Będę mówił tylko raz

Wokół jego twarzy zaroilo się od reporterskich magnetofonów.

- Jesteście gotowi?

- Dawaj, poruczniku! - zawołał człowiek z Associated Press.

- Nagie ciało Candy Lane odkryła sąsiadka dzisiaj rano, o szóstej pięć. Aktorka została zabita kulą kaliber dwadzieścia pięć, wystrzeloną z bliskiej odległości, w prawą skroń. Pocisk wystrzelono z automatycznego rewolweru Beretta.

- Ma pan na myśli broń mordercy, czy tak, poruczniku?

- W tej chwili nic nie wskazuje na zabójstwo. Wydaje się, że panna Lane sama pozbawiła się życia. - Jack otarł pot z czoła i głęboko zaciągnął się cygaretką. - W sypialni ofiary znaleziono pół kilograma kokainy. - Nie wspomniał o kokainowym rysunku z inicjałami P.C. ani o ukąszeniach psa. - Gabriel Torres przeprowadzi sekcję zwłok. Jej wyniki będą ogłoszone publicznie w ciągu najbliższych trzech dni. Śledztwo w sprawie śmierci panny Lane jest w toku.

Odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę domu. Gdy dochodził do drzwi frontowych, przejście zagroziła mu uśmiechnięta Gloria Hunnicutt.

- Z drogi, Gloria.

- Upieram się na rozmowę z tobą, poruczniku.

- Właśnie dałem wam oficjalne oświadczenie.

- Dałeś IM oświadczenie. Oni nie mają 35 milionów Amerykanów przed oczami, a ja mam.

Jack gwałtownie łapał oddech. Słońce, upał, zapach śmierci, zmalretowane ciało dziewczyny i pluszowy miś - wszystko to przytłoczyło go nagle.

- Zostaw mnie, Gloria.

- Och, nie mogę cię zostawić, serce, to nie ja, ale widzowie domagają się twoich odpowiedzi.

- Powiedz, po prostu, swoim widzom, że porucznik Jack Raines kazał się im wszystkim odpierdolić.

Odepchnął ją na bok i wszedł z powrotem do domu.

\*

W salonie panowała głęboka cisza. Jack przyglądał się pięknie skadrowanym fotografiom Candy. Jej uroda rzeczywiście zapierała dech. Spojrzenie, figura, nawet wysmukłe, delikatne palce były idealne. Zastanawiał się, ile uroku musiała mieć za życia.

Silvio Martinez zszedł po schodach i zbliżył się do niego.

- To była niekiepska dziewczyna, co?

Jack skinął głową.

- Jak Torres skończy, zajrzemy do jej rzeczy. Chcę powiadomić jej rodziców, zanim zaczną o tym paplać w wiadomościach o szóstej.

- Okay. A tak przy okazji, koka miała 70 procent.

- Chryste...

- Prawie śmiertelne stężenie.

- Skąd ona, do cholery, mogła to mieć?

- To rzadkie, ale nie niedostępne. Taki handlarz musi mieć dobre wejścia.

- Cisneros?

- Wątpię, to szmugler a nie detalista.

- Whelan?

- Prawdopodobnie czyści pieniądze dla Cisnerosa. Jeśli to on, to może mieć każdy gatunek, jaki zechce.

Przeszli przez salon do automatu przy telefonie z błyskającym, czerwonym światelkiem. Nagrane informacje obejmowały okres trzech dni. Karen Dara dzwoniła dwukrotnie w sobotę wieczór i potem raz w niedzielę po południu. Wiadomość od Pedra Cisnerosa pochodziła sprzed tygodnia. O godzinie drugiej poprzedniej nocy dzwonił Leo Whelan. Ponadto były telefony od Lisy Chang, Sherry Nichols oraz wzruszające nagranie ojca Candy, który pytał, jak się miewa i czy mogłaby do niego zadzwonić.

- To wszystko - rzekł Silvio.

- Okay. Weź taśmę.

Jack podszedł do wideo połączonego z wielkim telewizorem. Obok, w gablotce, znajdowała się mała kolekcja kaset. Pornograficzne filmy były oddzielone od innych. Jack uważnie przeglądał tytuły: „Mięso i sierść”, „Zakazane owoce”, „Socjeta”, „Playgirls”,

„Słodkie krople”, „Lukrecja”...

\*

W sypialni było dziwnie cicho. Poranną bieganinę zastąpił niemal namacalny spokój.

Świeży powiew, wpadający przez otwarte drzwi na taras, rozproszył fetor gnijących zwłok i do Jacka po raz pierwszy dotarł rytmiczny plusk uderzających o brzeg fal.

Gabriel Torres siedział na wielkim pufie, studiując własne, spięte klamerką notatki.

Na jego kolanie spoczywał włoski rewolwer zaopatrzony w etykietkę z numerem sprawy. Do tego dołączona była wypalona łuska w plastikowej torebce. Po doczytaniu notatek Torres zamyślił się nad cygarem. Po chwili podniósł rewolwer, wstał i czknął głośno, chwytając się z grymasem za swój wydatny brzuch. Spojrzał zakłopotany na detektywów.

- Wybaczcie mi, koledzy, ale jestem bardzo chory.

Raines pracował z Torresem od lat przy wielu sprawach i poznał już jego szczególną wrażliwość. Nigdy go nie popędział, Torres należał do ludzi, którzy długo namyślają się, zanim otworzą usta.

- To gazy. Odbija mi się i puszczam bąki. Nie wiem, do cholery, co jest z tym moim żołądkiem.

- Przestań się obżerać słodyczami - poradził Silvio.

- To nie jedzenie, to moja praca.

- Jesteś jakiś wczorajszy, Gabby - odezwał się Jack.

- Nie spałem w nocy. Spędziłem ją na krojeniu tego, co pozostało z jakiegoś chłopaka, którego znaleźli przy autostradzie do San Diego. - Jego angielszczyzna miała meksykański akcent i melodię. - Z tego co mogłem stwierdzić, wynika, że ofiara miała najwyżej siedemnaście lat. Chłopak był zgwałcony. Ale ktokolwiek to zrobił, ktokolwiek go zabił, sam też umrze.

- Jak to? - zdziwił się Jack.

- Próbkę krwi wykazały zarażenie wirusem AIDS - Torres uśmiechnął się blado. -

Czasami sprawiedliwość ludzka jest wyręczana przez siły natury. Nieczęsto, ale niekiedy.

- No, a co z naszą dziewczyną? - zapytał Silvio.

- Tak. To są oczywiście tylko przymiarki. Na wiele pytań znajdziemy odpowiedź, gdy będę ją miał na stole. - Torres wskazał na stalowoniebieski rewolwer. - To jest Beretta, kaliber 25. Bębenek mieści dziewięć naboí. Jeden wystrzelony, osiem pozostało. Oto łuska dowodowa. - Wręczył Jackowi małą plastikową torebkę. - Ludzie od balistyki zrobią próbę tej broni, żeby się upewnić, czy to właśnie ten rewolwer wystrzelił. Zgon nastąpił nie mniej niż 48 godzin temu.

- Mogła tu leżeć dłużej?

- Niewykluczone. Zmiany pośmiertne są zaawansowane, a słońce i wiatr zwalniają je.

Ale jestem pewien, że nie żyje co najmniej od 48 godzin. - Torres zajrzał do notatek. - Na skroni spalony proch. Zdaje się, boczna trajektoria kuli. Rana wylotowa ma średnicę siedmiu i pół centymetra. Pocisk przeszedł przez mózg i przy wyjściu rozbił kość czaszki. Zęby nienaruszone, szczęka nietknięta. Śmierć była natychmiastowa, mózg został zniszczony wystrzałem. Ślady pokąsania i rozszarpane prawe udo to niewątpliwie dzieło psa.

Prawdopodobnie wściekły, zabłąkany kundel. Ludzie porzucają niechciane zwierzęta na wzgórzach i tam one wariują z głodu.

- Mógłbyś zawiadomić o tym służbę ochrony zwierząt.

- Już się tym zająłem, *amigo*.

- A co z koką? - spytał Silvio.

- Ilość przyjętej kokainy, alkoholu czy innych używek będzie określona w testach laboratoryjnych. Ofiara nie ma nigdzie śladów spermy, ale są oznaki niedawnego współżycia analnego i pochwowego. Dolna warga jest lekko nabrzmiała. - Strzepnął popiół z cygara do kamionkowej popielniczki. - To wszystko, *compadres*. Do jutra po południu będę miał

całościowy raport.

- Co obstawiasz, Gabby? - zapytał Jack.

- Samobójstwo - wzruszył ramionami. - Ale ostatecznie, mogła zostać zmuszona do położenia się. Morderca dokonałby egzekucji, wytarł odciski, a potem mógłby otoczyć dłonią ofiary kolbę rewolweru i umieścić go kilka centymetrów dalej. Ale to hipoteza. Zostawiam te tajemnice dla was.

Torres ruszył ku schodom, zatrzymał się i odwrócił.

- Ona była bardzo piękną dziewczyną. Dziwię się, jak do tego doszła. - Zamilkł, wyjął

cygaro z ust i wzruszył ramionami. - Może to po prostu Ameryka.

\*

Jack podszedł do nocnego stolika i przyjrzał się kokainowej walentynce z inicjałami P.C.

- Pedro Cisneros - podrzucił Silvio.

- Myślisz, że Candy mogła być kurierką?

- Mogła to robić okazjnie.

- Spójrz na to - powiedział Jack, wskazując na oprawną w skórę książkę na biurku. -

„W poszukiwaniu straconego czasu”, Marcel Proust. Co Candy mogła robić z Proustem?

- Rozwijać się umysłowo - rzekł Silvio.

- Pewnie prezent od jakiegoś gościa z Hollywood, który tylko rozglądał się dziarsko, jakby tu ją wypieprzyć w intelektualnym pióropuszu.

- Zobacz, może będzie dedykacja.

Jack przekartkował pierwsze stronicę, zatrzymał się i odczytał głośno:

- Dla Candy, z miłością, tęsknotą i wiecznym pożądaniem. Jeff Kellerman.

- Nie pomyliłeś się - mruknął Silvio.

Jack głośno zatrasnął okładki.

- Ten nadęty skurwiel przyrzekł jej na pewno przyzwoitą rolę w swoim nowym filmie.

Jack obszedł łóżko kierując się ku przeciwległej ścianie i przeczytał oprawioną recenzję z „Lukrecji”.

- Musiała być z tego dumna.

- Ale dlaczego od razu dawać w ramki? - zdziwił się Silvio. Była jeszcze smarkata, niewiele starsza od mojej córki. Takie pochlebne słowa od szanowanego krytyka musiały ją wzruszać. - Jack zerknął na roześmianego misia i westchnął - Chodźmy do roboty.

Czas mijał niezauważenie, gdy przenosili się z pokoju do pokoju, przeglądając szuflady biurka, szafki, torebki, biżuterię, kosmetyki, apteczkę, płyty gramofonowe, lodówkę i zamrażalnik, spody oprawionych fotografii. Zaglądali pod łóżko, do doniczek z roślinami i pod poduszki. Wytrzepywali książki zalegające na półkach w salonie. Przed powrotem do sypialni przeczesali teren wokół i przeszukali Mercedesa Candy. Wszystkie interesujące ich drobiazgi zrzucili na łóżko. Unieważnione czekki, książeczkę czekową, pamiętnik, notes z telefonami, kilkanaście listów oraz fotografię Candy i Karen Dara siedzących po bokach Pedro Cisnerosa nad brzegiem basenu. Fotografię wywołano w ekspresowym zakładzie na Key Biscayne i była datowana na 15 stycznia.

Silvio kartkował spis telefonów Candy, notując wybrane numery. Jack czytał listy.



Jeden napisany był do jej własnej siostry, Joyce, inny do ojca. Treść obu była znacząco podobna i dotyczyła niemal wyłącznie jej planów przejścia z kina porno do normalnego filmu.

Była też kartka urodzinowa od ojca w oryginalnej kopercie. Adres nadawcy brzmiał: William Langley, 10567 Edna Way, Studio City, Kalifornia.

- William Langley to nazwisko jej ojca. Sprawdź w jej notesie.

Silvio przerzucił kartki do „L”.

- Mam telefon domowy i do pracy.

- Jest teraz za piętnaście trzecia. Zadzwoń do pracy.

- Mam mu to powiedzieć przez telefon?

- Lepsze to, niż dowiedzieć się z telewizji o szóstej.

- Nie jestem dobry w takich sprawach - rzucił Silvio.

Jack zabrał notes, powcisnął guziki w różowym telefonie i odczekał.

Zgłosił się kobiecy głos.

- Avionics Industries.

- Proszę z panem Williamem Langleyem.

- Chwileczkę.

Jack rzucił okiem na pluszowego misia. Silvio, siedząc na brzegu łóżka, przeglądał anulowane czeki.

- Biuro pana Langleya - włączył się inny kobiecy głos.

- Tu porucznik Jack Raines z Wydziału Operacyjnego Policji w Los Angeles. Proszę o pilną rozmowę z panem Langleyem.

Po głuchej pauzie, głos odezwał się:

- Czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Jack Raines.

- Chwileczkę - powiedziała sekretarka.

- Halo? - głos brzmiał piskliwie i wyczekująco.

- Czy to pan William Langley.

- Tak.

Jack przedstawił się ponownie, zanim zapytał:

- Czy jest pan ojcem Candy Lane?

- Tak. Co się stało?

Nie istnieje dobry sposób na przekazywanie tragicznych wiadomości, ale trzeba być zwięzłym, oficjalnym i precyzyjnym.

- Panie Langley, dzisiaj rano pańska córka została znaleziona martwa w swym domu, w Malibu. Wydaje się, że popełniła samobójstwo.

Rozległ się świst wciąganego haustami powietrza i głośnego wydechu.

- Mój Boże - wysapał Langley - Jest pan pewien, poruczniku?

- Tak, jestem pewien.

Nastąpiła długa cisza. Jack wiedział, że ten człowiek walczył ze sobą, aby się opanować.

- Gdzie ona jest? - zapytał w końcu Langley.

- Jej ciało zostało przewiezione do kostnicy okręgowej, gdzie będzie dokonana sekcja zwłok.

Silvio nie podnosił głowy, zmuszając się do skupienia uwagi na czekach Candy.

- Kostnicy okręgowej... - wyszeptał Langley.

- Panie Langley, jeżeli zechce pan zadzwonić jutro po południu pod numer 555-6000, to postaram się, aby jakiś oficer towarzyszył panu w kostnicy. Będzie pan poproszony o identyfikację zwłok, podpisanie kilku dokumentów oraz rozporządzenie ciałem córki.

- Ale... jak to się stało?

- Czy zapisał pan telefon?

- Tak. 555-6000.

- Może pan do mnie zadzwonić w środę rano. Umówimy się na spotkanie tak, jak panu najwygodniej. Do tego czasu powinienem znać wszystkie fakty, dotyczące śmierci pańskiej córki.

- Czy to będzie... - zająknął się - będzie w gazetach?

- Obawiam się, że tak. Ale zrobię co można, aby zmniejszyć rozgłos wokół tej sprawy.

- Dziękuję... dziękuję, panie poruczniku. Muszę teraz jechać do domu. Mam młodszą córkę. Jest w szkole. Muszę ją zabrać.

Jack odłożył słuchawkę i wolno wyszedł na drewniany taras.

Zapach śmierci zniknął, ale deski wciąż plamiła rozmazana, ściemniała krew.

Na plaży, kilka metrów od otoczonego żółtą taśmą domu stał samotny policjant.

Poranny tłum ciekawskich podglądaczy już się rozszedł. Fale unosiły ludzi na deskach surfingowych. Kilka osób w koszach czytało i opalało się. Wzdłuż brzegu dreptała para biegaczy. Krzykliwe mewy zataczały kręgi, wypatrując zagrzebanych w piasku krabów.

Popołudniowe słońce malowało na wielkiej połaci morza migotliwe, białe iskierki.

Jack starał się zagłuszyć echo ściśniętego głosu Landleya. Myślał o Jenny. Z tego samego pokolenia co Candy, wobec tych samych pokus, tych samych trudności. Jak można ochronić dzieci przed czymś takim jak tutaj? Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Na taras wszedł Silvio.

- Płaciło jej pięć różnych przedsiębiorstw. Największym wydaje się Galaxy Film Distribution Company. W każdym razie wszystkie czeki podpisywał Leo Whelan.

- Złożymy Wielorybowi wizytę.

- Są tutaj adresy i telefony jej przyjaciół aktorów.

- Skąd wiesz?

- Z jej pamiętnika. Pracowali w jej ostatnim filmie. Zdaje się, że kręcili całą sobotę do późna w nocy.

- Gdzie?

- W domu Johna Traynora przy Sunset Plaza Drive.

- Co jeszcze?

- Kilka interesujących nazwisk w pamiętniku.

- Na przykład?

- Sid Davis, Maffatore i Jeff Kellerman.

- Z komentarzem?

- Pisze o Kellermanie. Wygląda na to, że byli ze sobą dość blisko.

- Marcel Proust - prychnął pogardliwie Jack.

Silvio spojrział na ciemne plamy na pomoście, po czym odwrócił wzrok ku rozkołysanemu morzu.

- Nie wiem, co ją popchnęło tak daleko, ale ta cholerna koka nie robiła jej najlepiej.

Czasami - Silvio zawahał się - czasami mam ochotę przejść się wzdłuż szeregu takich handlarzy z maszynką i po prostu porozwalać skurwysynów. Czasami - zadrżał mu głos.

Jack słyszał podobne komentarze prawie od każdego walczącego z narkotykami gliny, z którym pracował. Stali się również ich ofiarami, dotknięci pożerającą, beznadziejną obsesją.

Silvio wręczył Jackowi kartkę z różowej papeterii.

- Znalazłem to wetknięte między okładki pamiętnika. Słowa pisane były drukowanymi literami:

ROZEŚMIANA NA ROZKAZ - CELULOIDOWA FANTAZJA, ZAGUBIONA W  
ŚWIATŁACH, PODĄŻAJĄCA ZA SNEM, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE SPEŁNI.

C. L. 7/8/86

Rozdział 7

U podnóża Łuku Triumfalnego stała elegancka kobieta w czarnej, wieczorowej sukni.

W tle jaśniały bursztynowe światła Pól Elizejskich. Kobieta, trzymając w dłoni złobiony flakonik perfum w różowym kolorze, uśmiechnęła się powabnie, gdy kamera zaczęła filmować na zbliżeniu. Przytłumionym głosem opiewała zalety perfum.

Było późne popołudnie. W półmroku meksykańskiej restauracji na Figueroa Street leciały telewizyjne reklamówki. Na stołkach przy pokrytym glazurą barze siedziało dwóch młodych Japończyków, Kubańczyk - alfons, nieświeżo wyglądający czarny transwestyta i biały brodac z długimi, zwiewnymi włosami, ubrany w spodnie khaki oraz kurtkę połową ze znaczkami sto pierwszej dywizji powietrzno-desantowej.

Reklama perfum nie miała wiele wspólnego z ich życiem, ale gapili się w ekran jak zahipnotyzowani.

Jack i Silvio siedzieli z boku, tyłem do wejścia. Silvio zaproponował ten lokal z paru powodów. Mieścił się blisko biura Leo Whelana w Chinatown, jedzenie dawali tu strawne, a poza tym, restauracja stanowiła punkt kontaktowy dla ludzi, z którymi pracował główny informator Silvia, Pepe Montoya.

- Co zrobisz z nazwiskami z notesu Candy? - zapytał Silvio.

- Mówisz o ludziach z Hollywood?

- Yhm.

- Powinniśmy pogadać z Jeffem Kellermanem, ale mamy na razie od cholery innych zamiarów.

Jack zapalił cygaretkę i zerknął na ekran. Reklamę perfum zastąpił popołudniowy serial, gdzie właśnie rozgrywała się scena w szpitalu i młoda dziewczyna rodziła w straszliwych bólach.

- Myślisz, że Candy ktoś rąbnął? - spytał Silvio.

Jack wzruszył ramionami.

- Nie ma śladów walki ani włamania, czy nieporządku. W jej wierszyku jest pełno zwątpienia, a w dodatku była prawdopodobnie nagrzana 70-procentowym śniegiem. Zdaje mi się, że będąc w depresji wyszła na taras i strzeliła sobie w łeb.

- To kokainowe wyznanie miłości do P.C. mogło być listem pożegnalnym - zgadywał

Silvio. - Mogło ją coś łączyć z Cisnerosem.

- Odpada - stwierdził Jack. - Jak mogła mieć sprawę z facetem, który musi wślizgiwać się przez granicę tam i z powrotem jak cień? Pedro Cisneros jest na liście gończym u każdego urzędnika paszportowego na lotnisku i na każdym przejściu granicznym w kraju. To tak, jakby chciała utrzymywać związek z duchem przerwał, zaciągając się głęboko. - Ale jest inna rzecz. Na razie zakładamy, że to Candy naszkicowała walentynkę.

- O tym nie pomyślałem - odparł Silvio. - Rany boskie, wolę wierzyć, że nie mamy na głowie zabójstwa. To nam tylko zaciemni sprawę. My przecież tropimy stężoną kokę.

Silvio wlał sobie resztkę piwa.

- Dałeś znać komendantowi Alvarezowi?

Jack przytaknął.

- Nadałem tekst z taśmy od Pepe do meksykańskiego dowództwa w Manzanillo.

- Alvarez rządzi sensownym wydziałem - stwierdził Silvio - Może jego wywiad coś z tego wyciągnie.

Jack wypił kilka łyków piwa i westchnął.

- Nie mogę zapomnieć tego pluszowego miśka. Lata temu, kupiłem podobnego Jenny.

- Nie porównuj tej sprawy z twoją córką. Candy sama wybrała.

- Co wybrała? Posłuchaj, pakujesz w kilkunastoletnią smarkulę trochę szmalu, robisz reklamę, wiążesz narkotykami i nie ma już żadnych wyborów.

- Nikt jej nie pchał w pornografię i narkotyki.

- Bzdura. Nie miała na kim się oprzeć. Była ślicznotką zagubioną w dżungli pełnej drapieżników - czyli po prostu dziwkarzy. Cholera, ostatni kawałek tego jej wierszyka wszystko to mówi: „zagubiona w światłach /podążająca za snem, który/ nigdy się nie spełni”.

Moja własna córka też mogłaby to napisać.

- Jeszcze raz ci powtarzam, nie bierz tej sprawy do siebie. - Silvio zapatrzył się w swoją szklankę. - Zrobiłem kiedyś taki błąd. - Łyknął piwa. - W Miami, w siedemdziesiątym ósmym. Byłem zastępcą w wydziale do zwalczania narkotyków na południu Florydy.

Mieliśmy świetną paczkę Kubańczyków, wszyscy imigranci. Szanowaliśmy ten kraj.

Amerykanie przyjęli nas, kiedy Castro doszedł do władzy. Nie ma bardziej patriotycznych Amerykanów od tej kubańskiej wspólnoty w Miami. Kiedy Kolumbijczycy rozkręcili śniegową zadymę, nasze dzieciaki zaczęły się uzależniać. Pracowałem osiemnaście godzin na dobę, na okrągło, cały tydzień. Ale to było szczanie pod wiatr. Nigdy nie udało nam się złapać większego transportu. Któregoś dnia pewna kobieta, ładna kobieta, Maria Vasconsuelos, z dobrej kubańskiej rodziny, dobrowolnie zgłosiła się do mojego biura, żeby pracować dla nas jako tajna agentka. Miała dwadzieścia osiem lat. Bystra, wykształcona, zdecydowana. Ta dziewczyna zrobiła więcej dla Ameryki, niż cały wydział policji południowej Florydy. Przeniknęła do najwyższych rangą kolumbijskich *coqueros*. Była niesamowicie odważna. Kochałem ją, ale nigdy jej tego nie okazałem. Rozumiesz, co mówię?

Jack w milczeniu skinął głową.

- Za długo ją prowadziłem - ciągnął Silvio. - Stałem się zachłanny. Jej informacje były bezcenne. Wiedziałem, że dużo ryzykuje. Byłem żonaty, z dwójką dzieci. Miałem własne kłopoty. Czułem na sobie odpowiedzialność za cały wydział. Wiedziałem, że Maria posuwa się zbyt daleko, ale pozwalałem na to. Jej wywiad robił opinię nam wszystkim. Osiągaliśmy fantastyczne wyniki. Byliśmy już cholernie blisko, żeby przygwoździć Cisnerosa, Maria doprowadziła nas do samej góry, prosto do Ordoneza. Nie wiem, z kim spała, kim sterowała, skąd miała przecieki, ale w końcu zdecydowałem wyłączyć ją z gry. - Silvio wypił swoje piwo do końca. - To było w nocy, w święto Czwartego Lipca. Poszedłem do niej, do domu przy Calle Ocho, na Małej Hawanie. Noc była upalna i duszna. Wszędzie fajerwerki i świece dymne. Drzwi były otwarte. Wszedłem do salonu. Kawałki jej ciała były wszędzie. Jakby ktoś posmarował ściany truskawkowym dżemem... Odpadłem. Wóda, góry i doły, przeklinanie życia, rodziny... Szef DEA wysłał mnie na rehabilitację do Virginii.

Potrzebowałem dwóch lat, żeby się odgiąć. Winiłem siebie. Traktowałem jej śmierć zbyt osobiście.

- Rozumiem - powiedział Jack. Kiedy moja żona została zabita, czułem to samo.

Byliśmy rozwiedzeni od pięciu lat, ale zawsze winiłem siebie. Musisz starać się zapomnieć i jechać dalej.

- I nigdy nie brać do siebie - zakończył Silvio.

Podnieśli się i ruszyli do wyjścia. Gdy mijali bar, brodacz w wojskowej kurtce zsunął się ze stołka i chwycił Silvia za ramię.

- *Que tal, amigo?* - zagadnął.

- *Como siempre* - uśmiechnął się Silvio.

- *Tiene poco?*

Silvio sięgnął do kieszeni i wręczył mężczyźnie dwudziestodolarowy banknot.

- *Muchisimas gracias.*

- *De nada.*

- *Et dragon de purpureo - a las once.*

- *Muy bien.*

## Rozdział 8

Wyziwy dwustu tysięcy pojazdów, zjeżdżających się na śródmiejskim skrzyżowaniu autostrad, odbarwiały żółtą słoneczną plamę późnego popołudnia.

Chłodne powietrze we wnętrzu Pontiacu cuchnęło czymś przypominającym gaz musztardowy, aż piekły ich oczy.

Jack jechał przez North Broadway na wschód. Znajdowali się w sercu Chinatown.

Mijali stare, dwupiętrowe domy z czerwonej cegły, na których widniały szyldy z chińskimi znakami, reklamujące pralnie, restauracje, towarzystwa handlowe, biura wymiany czeków i agencje turystyczne.

Jack wsunął do magnetofonu kasetę i kwartet Goodmana zaswingował w oryginalnym nagraniu „Here's That Rainy Day”.

- Lubisz te stare numery, co? - zagadnął Silvio.

- Jak kiedy. W każdym razie, zdaje się, że nigdy nie byłem wystarczająco zdołowany, aby zrozumieć rock and rolla.

Zahamował ostro przed wynędzniałym psem, drepczącym przez jezdnię.

- To chyba nie mój interes, ale co ci powiedział ten brodaty facet?

- Pepe chce się zobaczyć ze mną dziś wieczorem.

- Gdzie?

- W chińskiej speluncie przy Sunset i Lescano. Nazywa się „Purpurowy Smok”.

- Chcesz obstawę?

- Nie da rady.

- Pilnuj się - powiedział Jack. - Jeśli kiedyś ci Kolumbijczycy wpadną na to, że Pepe kapuje, rozwalą cię razem z nim.

Skręcili na lewo w Spring Street. Sunęli wolno i sprawdzając numery minęli trzy przecznice.

- To tutaj - stwierdził Silvio, wskazując dwupiętrowy dom z czerwonej cegły.

Słowiały szyld przytwierdzony do dachu oznajmiał: „Galaxy Films Distribution Company”.

Zaparkowali na brudnym placu za budynkiem. Stało tam pięć innych pojazdów, włącznie z wielkim ciężarowym Volvo i najnowszym modelem Jaguara z rejestracją Nevady.

Pod ścianą piętrzyła się sterta sprasowanych kartonów, zacinając okna pierwszego piętra.

Z podwórzowych drzwi wyszedł wielki Azjata z samurajskim wąsem, niosąc w obydwu rękach stalowe pojemniki na taśmę filmową. Miał na sobie bawełniane portki i koszulkę z obciętymi rękawami. Muskwały na jego ramionach przypominały wielkością grejpfruty. Przechodząc do ciężarówki wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jack odpowiedział tym samym i zapytał o drogę do biura Leo Whelana.

- Od frontu i nacisnąć guzik.

- A dlaczego nie tędy, skąd właśnie wyszedłeś? - zagadnął Silvio.

- Nie można. Zamknięte.

Jack wyjął skórzaną pochewkę i pokazał mu złoty znaczek.

- Jesteśmy z policji. Czy mógłbyś otworzyć dla nas tylne drzwi?

- Od frontu i nacisnąć guzik.

Odsunął Jacka na bok i nieśpiesznie podszedł do furgonu. Rzucił pojemniki na tylne siedzenie szoferki, wsiadł, zapuścił silnik i wzbijając tumany kurzu wypadł z podwórka, posyłając im wcześniej drwiący uśmiech.

\*



Przeszli wąskim przejazdem do frontowego wejścia. Jack nacisnął guzik domofonu.

- Czym mogę służyć? - dobiegł z głośnika stłumiony kobiecy głos.

- Porucznik Raines i detektyw Martinez chcą widzieć się z panem Whelanem.

- Proszę poczekać.

W ich kierunku włókł się jakiś brudny lump. Bez przednich zębów, z przekrwionymi, wodnistymi oczami. Z jego ust dolatywała woń, jakby właśnie wypił denaturat.

- Zrzućcie centa - wycharczał.

Przy drzwiach rozległo się brzęczenie i weszli do środka. Pijaczek przeklinał

detektywów wraz z ich rodzicami aż do wyczerpania bogatego zasobu określeń.

Na parterze wrzał ruch. W małych pokojkach, oddzielonych przepierzeniami, wśród rejestrów i faktur siedzieli urzędnicy. Dobiegała stamtąd kakofonia stukających maszyn do pisania i dzwoniących telefonów. Ludzie mijali się na głównym korytarzu przenosząc papiery, fotosy, plakaty i rolki filmów. Policjanci przeszli całą jego długość, aż do biurka w kształcie litery „L”, gdzie ładna Murzynka obsługiwała staroświecką centralkę.

Przełączywszy kilka linii zwróciła się do detektywów.

- Schodami do góry, pokój na prawo.

Biuro Leo Whelana wyglądało tak, jakby urządzono je korzystając z magazynów Armii Zbawienia. Nic nie pasowało do siebie, ani w kolorze, ani w stylu i konstrukcji. Na wprost drzwi stała ciężka pancerna szafa oraz trzy metalowe krzesła. Duże, brudne okno wychodziło na podwórze, a ścianę za biurkiem Whelana dekorowały różne plakaty porno.

Gospodarz dźwignął swój potężny brzuch sięgając po cygaro.

- Siadajcie chłopaki - uśmiechnął się - i zrzućcie ciężary, co was gniotą.

Gdy przytykał zapałkę do cygara, na jego palcu błysnął olśniewająco diamentowy pierścień. Silvio przysiadł na oparciu wypłowiałej sofy. Jack, stojąc zagadnął:

- Jak interesy, Leo?

- Nieźle. Podniosłem teraz dupę, żeby wypuścić najnowszy film Candy. Ma być za dwa tygodnie. - Dmuchnął kłębem dymu. - Radio podało wiadomość, że nie żyje. Urywają mi się telefony, dostaję zamówienia ze zwykłych kin. - Przerwał, potrząsając głową. - Cholerna szkoda. Ta dziewczyna była bankowa. Szła do góry.

- Do czego? - spytał z sarkazmem Silvio.

- Do wielkiego szmalu, oto, do czego. Słuchajcie, pornografia to jest jeszcze jedna forma artystycznego kina.

- Ty nazywasz pierdolenie i cyckanie się sztuką?

Głos Whelana przybrał głębszy ton.

- Nie róbmy z siebie niewiniątek. Erotyka to jest to, co wy lubicie, pornografię lubią inni faceci. Ja na punkcie Candy dostałem świra. Brała ode mnie więcej pieniędzy, niż jakakolwiek gwiazda od czasu Marilyn Chambers. Ja nie przyłożyłem jej spluwy. Tacy ludzie jak ona przychodzą do nas. Nie porywamy ich. A więc, chłopaki, mogę z wami współpracować, ale dajcie sobie spokój z moralnością.

- Masz absolutną rację - odezwał się spokojnie Jack. - Interesy z moralnością nie mają nic wspólnego.

- Właśnie. Patrzcie na tych cwaniaków od zbrojeń, co liczą sobie od rządu po dziesięć patyków nawet za kibel. Napijcie się, chłopaki, po małym?

- Nie - odparł Jack. - Wolałbym raczej trochę tej 70-procentowej koki, którą częstujesz swoje gwiazdy.

Pulchne różowe policzki Whelana przybladły.

- Nigdy w życiu nie tykałem się kokainy.

- Znaleźliśmy pół kilo 70-procentowego śniegu w sypialni Candy - powiedział Silvio.

- Nie masz pomysłu, skąd go wzięła?

Whelan westchnął.

- Pozwólcie, że opowiem wam o paru sprawach. Te dziewczyny zaczynają od pozowania do normalnych aktów. Przechodzą od delikatnych zdjęć do mięcha, potem przez numery lesbijskie do ostrych pokazów dla podglądaczy, i zaprawiają się cały czas. W

momencie, gdy je dostaję, są już białe od śniegu. Candy Lane była „królową śniegu”, brała trzy gramy dziennie, zanim jeszcze Sherry Nichols ją odkryła.

Silvio podszedł do biurka.

- A więc uzależniają się w systemie hodowlanym, tak?

- Tak jest nie tylko w porno. Ci degeneraci w normalnym interesie filmowym łapią je tak samo. Słuchajcie, w całej tej grandzie jest może z dziesięć poważnych dziewczyn.

Facetów jest jeszcze mniej. Szybciej się wypalają. Zestawić obsadę gwiazd wcale nie jest łatwo.

Dawać im kokę, to ostatnia rzecz, jaką bym zrobił. Prowadzę legalny interes i płacę moim ludziom duże pieniądze. Nie pytam ich, co robią poza planem.

Jack przysiadł na rogu biurka.

- Kiedy ostatni raz widziałaś Candy?

- Tuż przed północą, w ostatnią sobotę. Skończyła swoją ostatnią scenę i wyszła.

- Gdzie kręciliście?

- W domu Johna Traynora.

- W Los Angeles produkcja pornografii jest nielegalna.

- Bez bajerów - Leo uśmiechnął się. - Ta ustawa jest w apelacji. Chcecie mnie przymknąć, to przymknijcie.

- Zapłaciłaś Candy tamtej nocy? - zapytał Silvio.

- Dałem jej pięćdziesiąt banknotów studolarowych.

- Zabawne - rzucił Silvio. - W jej torebce znaleźliśmy tylko dwie zmięte dwudziestki.

- Nic na to nie poradzę. Dałem jej pięć patyków.

- Płacisz swoim gwiazdom w gotówce? - zdziwił się Jack.

- Tak jak chcą. Jeśli tego nie deklarują, to ich problem. Ja nie odgradzam tych aniołów od Wuja Sama.

- Dzwoniłaś do Candy w niedzielę po południu - ciągnął Silvio.

- Zgadza się. Nagraliśmy cały film. Chciałem jej powiedzieć, że świetnie wyszło.

Silvio zbliżył się do Whelana.

- Buzowałaś Candy. Wciągnęłaś ją. Byłaś jej dostawcą. Ty i twój kolumbijski przyjaciel Pedro Cisneros. Czyścisz ten pierdolony szmal. Ty, Sid Davis i Angelo Maffatore.

Gdy Wieloryb podnosił się ze swego fotela z wysokim oparciem, jego wielki brzuch falował. Z szerokich barów zwisały małpio ręce, grube jak pnie drzew. Odłożył cygaro do niebieskiej kamionkowej popielniczki i spojrzał wprost na Jacka.

- Znam cię od dawna Raines, z czasów gdy jeszcze byłeś zastępcą w Operacyjnym.

Zasłużyłeś się, ale grałeś czysto. Teraz rządysz w NIFTY i chodzisz z tym indiańskim dzikusiem. - Jego prawy kciuk wskazywał Silvia. - Jak chcesz mojej pomocy, powiedz swojemu koledze, żeby się

zachowywał.

Silvio ruszył miękko, z morderczą sprawnością. Jego lewa ręka zniknęła po łokieć w brzuchu Whelana. Wieloryb stęknął, chwycił się za żołądek i przewrócił, wpadając w fotel.

Otwartą prawą dłonią Silvio z trzaskiem odbijał tatuaże na jego policzkach. Siła uderzeń miotała głową Whelana na wszystkie strony.

Jack szarpnął Silvia, chwytając go za rękę.

- Dosyć!

Silvio łapał haustami powietrze, wciąż czując przyływ agresji.

- Nie szkodzi - chrypiał do Whelana. - Jeszcze cię namierzę za handel, ty gruby kutasie. Tak czy inaczej. Ale radzę ci, bądź ze mną grzeczny. Mam sto sposobów, żeby zrobić z ciebie szcurze gówno.

Whelanowi łzawiły oczy, a na policzkach pojawiły się krwiste pręgi.

- Nolan o tym się dowie, Raines.

- Przykro mi, Leo - odparł Jack uspokajająco. Ale mojego kolegę ponoszą emocje, kiedy widzi martwe dzieciaki nagrzane koką. A teraz odpowiesz nam na kilka pytań i spływamy stąd.

- Słucham - mruknął Whelan, ostrożnie rzucając okiem na Silvia, który odsunął się pod brudne okno.

- Ile odrębnych przedsiębiorstw ci podlega?

- Bez komentarzy.

- Ile wyciągasz rocznie?

- Spytaj w urzędzie skarbowym.

Silvio odwrócił się od okna i powiedział spokojnie.

- Lepiej mu odpowiedz.

Whelan zerknął na mego i potarł lewy policzek.

- Osobiście wychodzę na jakieś czterysta milionów.

- Na filmach? - spytał Jack.

- Na filmach, kasetach, książkach, czasopiśmie. Mam jeszcze biuro wysyłkowe na parterze. Dostaję zdjęcia z ostrym porno w hurcie po dolarze za sztukę. Oprawiam je i rozsyłam po piętnaście za jedno.

- Robisz to z tych kartonów na dole?

- Yhm.

- Trzymać to tak na kupie to igranie z ogniem.

- To niech mi dadzą grzywnę.

- A więc wyciągasz czterysta milionów - powtórzył Jack.

- Parę centów w tę czy w tamtę. Jak mam taki hit jak „Lukrecja”, dochody rosną.

Teraz duża sprawa to kasety. Worek bez dna, a my to mamy obstawione. Słuchajcie, cały ten interes zaczął się od przypadku. Lovelace połykała wielki członek podczas siedmiominutowego pokazu. Zauważył to reżyser, makaroniarz, i wyszedł z pomysłem na

„Głębokie gardło”. Film zrobił furorę. Migdałki tej dziewczyny stały się częścią nowej kultury i stworzyły cały przemysł.

- A ile zarabia ten przemysł?

- Trochę lepiej jak sześć miliardów.

Silvio postąpił nieznacznie ku Whelanowi.

- Czy kiedykolwiek używałeś Candy do przekazywania pieniędzy?

- Nie.

- Znasz Pedro Cisnerosa?

- Nazwisko słyszałem, ale go nie znam.

- A Rafaela Ordoneza?

Whelan zagryzł dolną wargę i przecząco pokręcił głową.

- Czy ktokolwiek miał coś do Candy?

- Daj spokój. Ona była miłym dzieckiem. Wszyscy ją lubili. Myślałem, że popełniła samobójstwo. Przynajmniej tak mówią w radiu.

Jack wyjął z kieszeni fotografię Candy z Karen Dara oraz Cisnerosem i rzucił

Wielorybowi na biurko.

- Poznajesz ich?

- Jasne. To jest Candy, a ten drugi kociak to Karen Dara. Faceta nie znam.

- Ten facet to Pedro Cisneros. Zdjęcie zrobione na Key Biscayne.

- To co z tego? - Whelan wzruszył ramionami.

- Ta Karen Dara pracuje dla ciebie?

- Tak, ale nie tylko. To gwiazda. W sobotę wieczór pracowała z Candy.

- Co dwie z twoich aktorek mogły robić z prawą ręką Ordoneza?

- Zapytajcie Karen Dara - westchnął. - Czy coś jeszcze?

- Chcę mieć cały materiał nakręcony w sobotę wieczór - odparł Jack. - Ścinki, wszystko. I listę nazwisk z adresami każdego z aktorów i obsługi.

- Mógłbym zapytać was o nakaz sądowy - bronił się Whelan.

- Masz rację, Leo powiedział Jack. - Możemy wrócić tu z nakazem sądowym. Zależy od ciebie.

Whelan wahał się, zerkając na obu detektywów.

- Nie mam, kurwa, nic do ukrycia. - Okręcił się na fotelu i nacisnął guzik interkomu.

- Betty?

- Tak?

- Żółtek wrócił?

- Właśnie wszedł.

- Każ mu czekać przy samochodzie panów Rainesa i Martineza. Ma im wręczyć wszystkie pozytywwy filmu „Cotton Candy”, ścinki również. I listę aktorów oraz obsługi, z adresami i telefonami.

- Dobrze.

Whelan zwolnił przycisk i ponownie zapalił cygaro.

- Czy Candy wspominała kiedyś o reżyserze Jeffie Kellermanie? - spytał Jack.

- Nie, ale to znany DG.

- Kto to jest DG?

- Degenerat - odpowiedział Whelan i zagadnął po chwili. - Myślicie, że ktoś załatwił

Candy?

- A co ty myślisz, Leo?

- Myślę, że źle trafiliście. Ja wam idę na rękę, a wy mnie popychacie. To nie w porządku.

- Przepraszam - powiedział Silvio. - Nie chciałem cię urazić. Nie lubię tylko, jak ktoś mnie nazywa indiańskim dzikusiem.

- Taka odzywka.

- No więc, nie ma sprawy - Silvio uśmiechnął się. - Wiesz, Leo, ty naprawdę powinieneś zrzucić trochę ciała. Może byś zaczął niuchać ten stężony śnieg, który dałeś Candy. Koka jest dietetyczna jak cholera.

Leo zczekał, aż zamkną się drzwi, po czym wstał i podszedł do okna. Patrzył, jak wielki Chińczyk wkłada do Pontiac'a Rainesa tuzin pojemników z taśmami. Zastanawiał się, czy oddając film zrobił błąd. Nie było wielkiego wyboru, zresztą wszystko co zobaczą to tylko kilka godzin nie pokazywanego dotąd pieprzenia i cmokania się. Policzki wciąż paliły go od uderzeń Silvia, a żołądek bolał po lewym boku. Odwrócił się spoglądając na plakat

„Lukrecji” z uśmiechniętą figlarnie Candy Lane. Żałował teraz, że posłał ją na Florydę z czekiem dla Cisnerosa. To połączenie było niebezpieczne. Ci cholerni Kolumbijczycy to świrusy. Candy mogła obrazić Cisnerosa i te małpy z dżungli ją stuknęły.

Oczy Candy zdawały się podążać za nim, gdy przemierzał wytarty dywan, starając się podjąć decyzję w sprawie telefonu do Sidneya Davisa.

## Rozdział 9

Dwanaście pięter ponad Sunset Boulevard, w swym biurze o szklanych ścianach, Sidney Davis, po raz trzeci czytał tytułowy artykuł z pierwszej strony.

Ten wytwornie ubrany adwokat o niepozornej sylwetce był człowiekiem, którego łagodny głos i pospolite rysy twarzy stanowiły maskę dla bezwzględności. Niezależnie od swego dobrotliwego wyglądu, potrafił również błysnąć olśniewającym uśmiechem; używał go z wyrachowaniem i skutecznie.

Davis ukończył z wyróżnieniem stanfordzką szkołę prawniczą i w niespełna dziesięć lat stał się czołowym adwokatem w zakresie prawa autorskiego. Lista jego klientów stanowiła zestawienie „who's who” wśród gwiazd filmowych, reżyserów, producentów, a w jednym przypadku dużej wytwórni filmów.

Jego reputacja świetnego negocjatora nie miała sobie równych. Posiadał niemal komputerową zdolność natychmiastowego kojarzenia powikłanych zagadnień. Przed przystąpieniem do negocjacji, prywatni agenci Davisa zbierali osobiste dane o jego adwersarzach, poszukując broni, która w odpowiedniej chwili mogłaby być przeciwko nim użyta. Był badaczem i admiratorem filozofii

Machiavellego i w pełni podpisywał się pod teorią negocjacji Florentyńczyka: „Nic nie jest tak trudne w podjęciu, tak niebezpieczne w drodze i tak niepewne w końcowym efekcie, jak przywództwo we wprowadzaniu nowego porządku rzeczy”. Sidney był słuchaczem i twórczym kontynuatorem.

Jego roczny dochód, ukrywany przed urzędem skarbowym, sięgał miliona dolarów.

Inwestował go wyłącznie w nieruchomości. Był właścicielem dóbr w Century City, Brentwood, Beverly Hills oraz prywatnej willi w meksykańskim kurorcie Manzanillo.

U schyłku 1982 Davis został wybrany specjalnym doradcą głównego związku zawodowego w Hollywood, Związek miał kontrolę nad całym zapleczem technicznym, używanym przy produkcji filmów. Ta posada nieuchronnie prowadziła do spotkania z Angelem Maffatore. Starzejący się mafioso przewodniczył radzie krajowej oraz kierował

działaniami Cosa Nostra na Zachodnim Wybrzeżu. Po wielu spotkaniach, Maffatore uczynił

Davisa swym osobistym adwokatem.

Sidney przyjął ofertę Maffatorego nie tylko dla pieniędzy. Był coraz bardziej znudzony dotychczasową praktyką adwokacką. Jego myśli zaczął nurtować nieobecny dotąd niepokój: Czuł, że jego życie staje się przesądzone, że każda nowa transakcja jest powtórką poprzedniej. Był zmęczony ojcowską rolą opiekuna zagubionych aktorek i aktorów.

Angelo Maffatore okazał się niebezpiecznym, lecz fascynującym klientem. Sidneyowi zawsze imponowała siła, a bycie głównym doradcą człowieka sprawującego władzę życia i śmierci w potężnym nielegalnym imperium, przynosiło mu pewną satysfakcję.

Sidney dołożył starań, aby ukryć przed żoną i dwoma synami swe związki z Ojcem Chrzestnym Zachodniego Wybrzeża. Ta dbałość o dyskrecję nie wynikała z niepokoju o fizyczne bezpieczeństwo swej rodziny, ale raczej z wzięcia pod uwagę wysokiej pozycji żony wśród socjety Los Angeles.

Jego własny publiczny wizerunek był bez zarzutu. Poza wszystkim, zdarzali się i inni znani w kraju adwokaci, którzy nie tłumaczyli się z występowania w imieniu tak niesławnych klientów. Dopóki adwokat nie przekroczy kruchej granicy, jaką stanowi wcześniejsza wiedza o zamiarze przestępstwa, pozostaje legalnie chroniony prawem o „uprzywilejowanych” stosunkach klient-adwokat. Sidney zdołał jak dotąd utrzymać się po właściwej stronie tej granicy.

Gdy doczytał artykuł do końca, powrócił na pierwszą stronę i jeszcze raz spojrzął na nagłówek: „KRÓLOWA PORNO UMIERA W MALIBU”. Zdjęcie całej sylwetki Candy Lane w skąpym bikini umieszczone było wzdłuż tekstu, w którym przytaczano krótkie oświadczenie porucznika Jacka Rainesa. Nagła i nienaturalna śmierć dziewczyny zmartwiła Sidneya. Candy była złotą żyłą, gwiazdą kierowanego przez Whelana kwitnącego przemysłu porno, którego właścicielem był Maffatore. Sidney odwiedził kiedyś plan zdjęciowy

„Lukrecji” w San Francisco i zapamiętał elektryzującą zmysłowość tej dziewczyny. Utrata Candy



mogła kosztować miliony. Według gazetowej relacji, jej śmierć wyjaśniono samobójstwem. Sidney miał nadzieję, że to doniesienie było prawdziwe. Policja zwykle po stwierdzeniu samobójstwa zawieszala dochodzenie. Ale odkrycie kokainy w miejscu wypadku wciągało do sprawy ekipę NIFTY.

Rozległo się brzęczenie interkomu.

- Tak?

- Przyszedł pan Kurt Ohlendorf.

- Wpuść go.

Sama obecność Niemca w jego biurze była już ciężką próbą dla delikatnej granicy legalności, krępującej Sidneya. Były nazistowski bankier reprezentował Rafaela Ordoneza, a wizyta dotyczyła prania pieniędzy. Czy jako przedstawiciel sądu naruszał prawo godząc się na spotkanie z Ohlendorffem? Chyba nie. Nie brał prawnej odpowiedzialności za pochodzenie pieniędzy Ordoneza, ani nie był osobiście zaangażowany w operacje ich prania.

Reprezentował jedynie interesy swego klienta w pewnej sprawie handlowej. Nadchodzące spotkanie z Ohlendorffem było po prostu logicznym splotem interesów, skupionych wokół

osoby jego klienta, Angela Maffatore. Tego spotkania nie można było nazwać nielegalnym, ale raczej nieuchronnym. Etyka nie dotyczyła jego postawy. Prawnicy reprezentują klientów, nie moralność.

Drzwi biura otworzyły się i Sidney posłał Ohlendorffowi swój rozpromieniony uśmiech.

- Miło cię widzieć, Kurt - zawołał, potrząsając dłonią chudego Niemca. - Siadaj, proszę.

- Mam tylko kilka minut. Za godzinę muszę lecieć do San Francisco. Wieczorem będę z powrotem w Los Angeles.

- Może drinka?

- Nie, nic.

Sidneya intrygowała przeszłość Ohlendorffa. Nazistowski bankier wyleciał samolotem z Berlina do Szwajcarii w marcu 1945 roku, zabierając ze sobą czeki płatne na okaziciela warte 8 milionów dolarów. Ostatnie miesiące wojny spędził w Lozannie, wspomagając aktywnie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych w szukaniu schronienia na terenie Ameryki Południowej.

Ohlendorf odchrząknął, wyjął papierosa ze złotej papierošnicy i zapalił. Wypuszczany nosem dym tworzył dwie gęste smugi.

- Jak wiesz - zaczął Niemiec - poprzez konta różnych twoich klientów zajmujących się pornografią, czyścimy obecnie jeden miliard dolarów, z czego mafia otrzymuje 10 procent zysku. Teraz...

- Przykro mi - przerwał Sidney - ale nic mi nie wiadomo o ustaleniach handlowych mojego klienta z Rafaelem Ordonezem.

- Tak, tak - Ohlendorf rzucił niecierpliwie. - Dla nas, dla mnie i dla ciebie, tutaj w tym biurze, ty niczego nie wiesz. - Pociągnął papierosa i mówił, wypuszczając dym: - Rafael Ordonez chciałby zrewidować umowę z twoim klientem. Jego zamiarem jest zwiększenie sumy czyszczonej przez przedsiębiorstwa pornograficzne. Ordonez chce, abyś natychmiast przedstawił to życzenie Don Angelowi, a potem osobiście przybył do Santa Rosa z odpowiedzią Maffatorego.

- Nie mogę w tej chwili ci tego obiecać - odparł spokojnie Sidney. - Don Angelo jest obecnie w Nowym Jorku.

- Możesz do niego zadzwonić.

- Don Angelo będzie z powrotem we wtorek - Sidney uśmiechnął się. - To kwestia czterdziestu ośmiu godzin.

Ohlendorf spojrzał lodowato na Davisa i skinął nieznacznie głową.

- Zatrzymam się w hotelu Bel-Air i będę czekać na telefon.

- Dobrej podróży - powiedział Sidney. - Szkoda, że musisz tak szybko wracać. San Francisco to klejnot amerykańskich miast.

- Jedyne cywilizowane miasto na świecie to Lozanna. Dziękuję za poświęcenie mi czasu, panie Davis.

Ohlendorf otworzył z trzaskiem drzwi i jakby przypominając sobie w ostatniej chwili zagadnął:

- Przy okazji, Rafael Ordonez poczynił interesującą uwagę. Otóż sądzi on, że filmy nie mogą być kręcone bez aktorów - przerwał na chwilę, po czym dodał - lub aktorek. *Auf Wiedersehen, Herr Davis.*

Sidney wrócił powoli do swego biurka, zastanawiając się, czy Candy Lane mogła być pierwszą ofiarą „uwagi” Ordoneza. Był również zdziwiony jego prośbą, aby to on właśnie, osobiście, dostarczył odpowiedź Maffatorego do Santa Rosa. Kolumbijski król narkotyków był dla Sidneya postacią niemal mityczną, a perspektywa spotkania z nim kuszyła i niepokoiła jednocześnie.

Te rozważania przerwał głośny dzwonek telefonu. Pochylił się, podnosząc słuchawkę.

- Tak?

- Leo.

- Masz czystą linię? - dopytywał się Sidney.

- Absolutnie.

- To mów.
- Wiesz o Candy?
- Tylko z gazet.
- Te gnojki z NIFTY zabrali cały materiał „Cotton Candy”.
- No to co?
- Ci z NIFTY nikogo nie zastępują. Ciągną tę sprawę, bo gliny z Malibu znaleźli w sypialni tej cipy 70-procentowy śnieg.
- Co jeszcze?
- Taki goryl od Rainesa mnie pobił.
- Zadzwoń do Nolana. To wszystko?
- Nie całkiem. Candy woziła Cisnerosowi czek w styczniu. Raines ma fotografię Candy razem z Karen Dara na Key Biscayne.

Sidneya zastanowił kontakt Cisnerosa z Candy Lane. To było bezpośrednie połączenie gwiazdy porno z prawą ręką Ordoneza.

- Jesteś tam jeszcze? - spytał Whelan.
- Tak, jestem.
- Czy my jesteśmy w zgodzie z Kolumbijczykami?
- Dlaczego pytasz?
- Ja myślę, że te skurwysyny ją rąbnęły.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Słyszałem na mieście.
- Do widzenia, Leo.

## Rozdział 10

Jack i Silvio siedzieli w małej salce kinowej Wydziału Operacyjnego. Byli już po dziewięćdziesięciu minutach ostatniego filmu Candy Lane. Rolka za rolką, przedstawiał

niemal każdą z możliwych dla człowieka poz i kombinacji seksualnych. Na filmie widać było Johna Traynora kopulującego na przemian z Candy, Lisą Chang i jakąś rudowłosą, młodą dziewczyną, która

była w oczywisty sposób zamroczona narkotykiem. W scenach z Traynorem Candy wydawała się pasywna i pozbawiona emocji, natomiast Lisa i ruda wyglądały na urzeczone wielkim członkiem.

Podczas gdy operator zmieniał rolki, ekran gasł a światła na sali rozjaśniały się.

- Taki facet jak Traynor może nabawić człowieka kompleksów - rzucił Silvio.

- Na takim czymś można wieszać pranie - dodał Jack.

- Ciekawe, kim jest ta ruda?

- Pewnie jakaś pieszczoszka, którą przyprowadzają do akcji - odparł Jack. - Nie ma jej nawet na liście.

Światła przygasły, a ekran rozblysnął na nowo.

Wielkie, okrągłe łóżko było skąpane w czerwonej poświacie. Głowa Lisy Chang chowała się między udami Candy. Usta rudej obejmowały jej prawy sutek, a Karen Dara lewy. Wysoka, nieładna kobieta weszła na plan i poprawiła Candy ręce, tak, aby mogła gładzić szyję obu dziewczyn.

- To musi być reżyserka, Sherry Nichols - stwierdził Jack.

Kobieta wycofała się z kadru i scena potoczyła się dalej.

Jack pomyślał o Karen Dara, że jest niezwykle atrakcyjna. Nie miała klasycznej urody Candy, lecz było coś nieodpartego w jej arystokratycznym wyglądzie.

Gdy akcja trwała już od około minuty, ruda oderwała usta od sutka Candy i zsunęła się ku dołowi jej ciała. Karen Dara, nieco uniesiona, całowała Candy delikatnie, po czym ich usta zwały się w długiej, namiętnej pieszczocie.

- Ten pocałunek wygląda mi na autentyczny - zauważył Jack.

- Jeśli nie, to ktoś powinien im dać Oskary.

Minęło dalszych czterdzieści minut, zanim ostatecznie światła zapaliły się, a z kabiny zabrzmiał głos operatora.

- To wszystko, poruczniku.

- Dzięki, Pete.

- Zatrzymujemy ten towar, czy co?

- Zachowaj go na razie.

Jack wstał.

- Zauważyłeś, że w całym materiale Karen Dara ani razu nie występuje z Traynorem?

- Zdaje się, że niektóre z tych dziewczyn robią tylko sceny lesbijskie - odparł Silvio.

Zabrzączał interkom.

- Czego?

- Zgłoszcie się do Nolana, obaj.

John Nolan chodził po pokoju. Szara bladość jego twarzy lekko zaróżowiła się, a głos pogrubił z wściekłości. Wymierzył w Silvia długie cygaro.

- Możesz sobie być z DEA, Martinez, ale tak długo, jak jesteś przydzielony do NIFTY, pracujesz dla mnie, a moi ludzie nie drutują obywateli. Gówno mnie obchodzi, czy Whelan jest alfonsem, macherem od pornografii czy handlarzem. Nie zezwolę na gestapowskie metody. - Nolan przerwał, łapiąc oddech. - To nie jest Miami. To nie jest Hawana czy La Paz i nie życzę sobie wściekłych telefonów od tak wpływowego adwokata, jak Sidney Davis.

Silvio spojrział w milczeniu na Nolana.

- Słuchaj John - wtrącił się Jack - zaczęliśmy dzień od oglądania ciała Candy Lane.

Nie było to sympatyczne i nie mieliśmy najlepszego nastroju. Prawda jest taka, że Whelan obraził Silvia.

- Wyzwał go od dzikusów, no i co z tego? - odrzekł Nolan, łagodząc ton swego głosu.

- Miejscowa prasa przyklepiła mi etykietę irlandzkiego wieprza. Nie nosicie tej odznaki, żeby trzaskać obywateli, czy podejrzanych, czy kogokolwiek innego. - Nolan zapadł w swój fotel. -

Boże Wszechmogący, pokazują nas w dzienniku o szóstej. Jesteśmy na pierwszej stronie w

„Examiner” i w „Timesie”. Ostatnia rzecz, która jest nam teraz potrzebna, to Davis składający w sądzie miejskim skargę o pobicie przeciwko jednemu z moich ludzi.

- Whelana przeprosiłem - westchnął Silvio. - Przepraszam teraz pana.

- W porządku - mruknął Nolan. - Zapomnijmy o tym. Nie proszę was, chłopcy, żebyście byli święci, ale mamy do czynienia z ustawionymi ludźmi i głośnym samobójstwem.

- Możemy mieć do czynienia z głośnym morderstwem - dodał Jack.

- Nie chcę nawet o tym myśleć - przerwał Nolan. - Zawiadomiłeś rodzinę?

Jack przytaknął.

- Ojca Candy. Nazywa się William Langley.

- Czy to jest ktoś?

- Chyba nie. Jest zatrudniony w miejscu o nazwie „Avionics Industries”, w jednym z tych zakładów zbrojeniowych obok Disneylandu.

- Znaleźliśmy w sypialni Candy 70-procentową kokainę - powiedział Silvio - i miłosny obrazek usypany z koki z inicjałami P.C. oraz fotografię Candy razem z Karen Dara i Cisnerosem na Key Biscayne.

Nolan podrapał krostkę na brodzie i odchylił się w tył.

- Myślicie, że Candy mogła być kurierką?

Silvio wzruszył ramionami.

- Mogłaby nosić Cisnerosowi czekci Whelana.

- Ty się na tym znasz. Często spotyka się 70-procentową kokę?

- Bardzo rzadko. Musiała być dostarczona z wyjątkowego źródła. W tym wypadku, mogłaby iść od Cisnerosa przez Whelana do Candy.

- Jeśli dałoby się to udowodnić, mielibyśmy połączenie Kolumbii z mafią, a tego szukamy. Nigdy nie złapiemy Ordoneza, za to moglibyśmy przygwoździć Davisa i Maffatorego.

- Jest jeszcze coś - powiedział Jack. - W torebce Candy znaleźliśmy dwie dwudziestki, a Whelan przysięga, że w sobotę wieczorem wypłacił jej pięć tysięcy w gotówce.

- Myślicie, że to jakaś uliczna hołota mogła ją załatwić i zwinąć forszę?

- Możliwe. Możliwe nawet, że to taka cholerna straż obywatelska, paru świrów, co chce oczyścić Amerykę z pornografii. Ale poza brakującymi pieniędzmi wszystkie ślady wskazują na samobójstwo.

Nolan zabębnił palcami po biurku.

- Czy ten film coś wam dał?

- Dość ostry - oznajmił Jack. Ale dobrze ustawiony, sfilmowany i oświetlony.

- Candy jest wszędzie?

Jack przytaknął.

- Ale jedyny raz, kiedy uwierzyłem, że coś czuła, to scena pocałunku z Karen Dara.

- Była lesbijką?

- Myślę, że była zagubiona i zdesperowana. Znaleźliśmy napisany przez nią wiersz o pogoni za marzeniami, które nigdy się nie spełnią.

- Jak taka dziewiętnastoletnia, biała dziewczyna ze średnio zamożnej rodziny mogła dostać się w to szambo?

- Kto wie? - mruknął Jack. - Skrzywiona wizja współczesnego snu Ameryki. Sława, przepych, pieniądze...

- I koka - dodał Silvio. - Miała też jakieś kontakty z ludźmi z normalnego filmu.

Szara bladość Nolana stała się o ton bielsza, a zmęczone oczy zwęziły się.

- Żadnych gwiazd, mam nadzieję?

- Jedyne znaczące nazwisko to Jeff Kellerman - wyjaśnił Jack. - Jeśli wierzyć plotce, ten mały jebaka pieprzy wszystko, od bab, które uprawiają zapasy w błocie, do karlic.

- A czego dowiedzieliście się od Whelana?

- Niczego.

- No dobra. Zdaje się, że musicie oblecieć wszystkich, którzy grali w ostatnim filmie Candy. Chciałbym trochę przycisnąć Davisa. On jest łącznikiem. Reprezentuje Maffatorego, a to znaczy, że ma kontakt z Kolumbijczykami.

- Niech się na razie trochę spoci nad czołówkami gazet. - powiedział Jack. - Sama śmierć Candy już ich trochę przycisnęła. Davisa zostawmy. I tak mamy do pogadania z masą ludzi.

Nolan spojrzał na sufit i przetarł znużone oczy.

- Nic się nie trzyma kupy. Nie ma zasad. Latynosi sprzedają kokę. Dzieci pieprzą się na filmach. Pentagon wysyła broń i pieniądze bananowym republikom, a one przysyłają nam narkotyki. Korporacje sprzedają rządowi wybrakowane produkty. Prezydent składa kwiaty na cmentarzu SS. Telewizja robi spektakle o gwałcicielach i ofiarach. Świat sportu zajechany przez kokę. Terrorysty szaleją. To nie jest do opanowania. Wyszło z formy. Brak zasad...

- Ojciec Casey ma taką teorię - uśmiechnął się Jack. - Człowiek jest niedoskonałym stworzeniem, które odziedziczyło idealny świat i udało mu się go doskonale rozpieprzyć.

- No tak, jak byście od trzydziestu lat słuchali wyznań różnych glin, doszlibyście do podobnego wniosku. - Nolan umilkł. - Macie jakieś wiadomości od Alvareza w sprawie tej taśmy Ave Maria?

- Jeszcze nie.

- Jeżeli potrzebujecie pomocy, mogę dać wam Phila Brody'ego.

- Zostaw go w spokoju. - powiedział Jack. - On ma dosyć ulicy po wszystkie czasy.

- A może - wtrącił Silvio - Brody mógłby przepytac tych ludzi z ekipy technicznej?

- Dobra - zgodzil sie Jack. - To by sie przydalo.

- Okay - rzekl Nolan. - Dajcie mu ich nazwiska i adresy. Wprowadze go w sprawe.

Trzymajcie ze mną kontakt. Nie chce żadnych niespodzianek. No, i pilnujcie sie. To wyglada na samobójstwo, ale byc moze tropimy psychicznego.

## Rozdział 11

Sznur samochodów na autostradzie do Santa Monica rozciagnal sie, zwikszajac predkosć ponad dozwolone 90 km na godzinę.

Jack Raines sprawdzil czas na zegarze przy tablicy rozdzielczej. Fosforyzujace zielono wskazówki pokazywaly dwudziestą pierwszą czterdzieści siedem. Radio nastawione bylo na rozgłosnie podajaca wiadomosci. O smierci Candy Lane mowiono w obu serwisach lokalnych i w ogólnokrajowym. Jack czul prawdziwą sympatię dla ojca Candy. W domu zapewne oblegala go juz prasa, a byl to dopiero poczatek. Sensacyjny charakter profesji wykonywanej przez jego córke oraz związane z narkotykami okolicznosci jej smierci mialy w telewizji zapewnioną publiczność. Nie bylo sposobu, zeby zatuszowac historie o pięknej i zdesperowanej dziewczynie, ktorej droga do ogólnokrajowej slawy zostala wytyczona przez pornografie.

Spojrzal we wsteczne lusterko, włączyl migacz i zjechał Pontiackiem na prawy pas.

Karen Dara niechętnie zgodzila sie na spotkanie. Objasniala mu droge do swego domu w Venice w taki sposob, jakby rozmawiala z dzieckiem, nie ukrywajac protekcyjnego tonu.

Jack spostrzegł wielką zieloną tablice „ZJAZD Z AUTOSTRADY 400 m” i ostrożnie przyłączyl sie do samochodów jadacych w tamtym kierunku.

Przejechał Lincoln Boulevard do Rose Avenue i osiagnawszy wierzchołek stromego wzgórza, ujrzał w przelocie Pacyfik. Ocean mienil sie w księżycowym swietle, choc jego ciemnoniebieska ton wydawala sie nieruchoma, jak gdyby lśniace pochyly i wygięcia byly dziełem szpachli na płótnie. Zjechał w dół Rose Avenue, skrecil w lewo, ku morzu, wjeżdżajac do Venice.

Dawny kurort byl teraz posepną dziurą, wciśniętą między średniozamożne dostojenstwo Santa Monica i snobistyczny blichtr Marina del Rey. Mijal ozdobione sztukateria budynki z arkadami - sentymentalne resztki pretensjonalnych, rozwianych snów.

W 1904 roku zamożnego przedsiębiorcę, Abbotta Kinneya ogarnęła obsesja przeistoczenia Venice w Kalifornii w replike Wenecji. Wykopano kanały. Zbudowano *palazzi*. Naszkicowano plany odtworzenia Piazza San Marco. Przez krótką chwile euforii wydawalo sie, ze wizja Kinneya stanie sie rzeczywistoscia, lecz w koncu geografia przesadzila o losach weneckiego snu. Kurort lezal zbyt daleko od miejskiego centrum.



Przeciętnego mieszkańca Los Angeles nie było stać na dojazd, a stare kalifornijskie pieniądze wołały zaciśnięte i dziewicze piękno Malibu.

*Palazzi* zamieniły się w obskurne pasáže handlowe. Nieukończone kanały stanowiły mroczne wylęgarnie komarów. Na terenie przyszłego Piazza San Marco powstała platanina wąskich uliczek, wytyczonych przez rozwalające się baraki w cukierkowych kolorach, w których zamieszkiwali narkomani, pijacy, prostytutki i hipisi grający na fujarkach.

Wieczorami wylażyły na powierzchnię uliczne gangi, grasując po ciemnych alejkach jak stada szakali, które polują na wszystko co się rusza.

Jadąc na południe przez Washington Boulevard, Jack skręcił w prawo, w krótką uliczkę, która kończyła się wprost na plaży. Zaparkował samochód, zamknął go i wetknął

policyjny znak w otwór na masce. Przeszedł parę kroków do chodnika, odgradzającego nadmorskie domy od plaży. Kilkaset metrów dalej na południe bursztynowe światła wydobywały z mroku molo. Jego zaokrąglony koniec obsadzili nocni wędkarze. Daleko na północy Pacyfik ocieniony był upiornym zarysem gór Santa Monica.

Poszedł chodnikiem na południe, spoglądając na zamglone światła, ciągnące się wzdłuż wielkiej połaci plaż, obejmujących nadmorskie osiedla od El Segundo aż po Manhattan Beach. Światła, ocean i wijący się brzeg przypominały mu śródziemnomorskie wioski na południe od Barcelony. Wiek temu spacerował po tamtych plażach z Laurą.

Dotarł do hiszpańskiego domu Karen Dara i obejrzał się jeszcze raz w stronę mola.

Wyglądało to tak, jakby ktoś machnięciem czarodziejskiej różdżki oddzielił nędzne czynszówki północy od wyblakłej elegancji plażowych domów południa.

Po dróżce wyłożonej spękanyymi cegłami przeszedł do frontowego wejścia i chwyciwszy żelazną kołatkę, zaczepioną w paszczy brązowego lwa, zastukał nią o ciężkie drewniane drzwi. Po chwili z głośnika dobiegł jej głos.

- Tak?

- Porucznik Jack Raines.

- Zaraz schodzę.

Ekranowy obraz Karen był w nim wciąż nie zatarty i czekając Jack zastanawiał się, jaka okaże się w rzeczywistości.

- Proszę wejść, poruczniku - uśmiechnęła się.

Była wysoka, miała szerokie, proste ramiona. Popielatoblond włosy, rozdzielone na środku przedziałkiem, otaczały jej twarz o szlachetnych rysach łagodną falą. Delikatny uśmiech grał w dziwnej sprzeczności z władczym spojrzeniem zimnych oczu. Miała na sobie beżowe spodnie z lnu i

czerwoną bluzkę, na jej rękach postukiwały hebanowe bransolety a szyję otaczał naszyjnik z pereł. Gdy wchodził za nią do salonu, doleciał go słodki zapach jej perfum.

Pokój mieścił w sobie eklektyczną mieszalinę antyków i współczesności. Na kawowym stoliku z masy plastycznej rozłożone były egzemplarze „Art and Antiques”,

„Connoisseur” i kosztowny włoski magazyn z czarną tłoczoną okładką, o nazwie „FMR”, a także najnowsze wydania „Vanity Fair” i „Vogue”. Na podłodze rozłożony leżał oryginalny perski dywan. Wielkie, rozsuwane drzwi ze szkła prowadziły na kamienny taras nad plażą.

Barek z alkoholami oddzielał salon od części jadalnej. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się półki z książkami, przeciwległą ozdabiały reprodukcje Modiglianiego, z jaskrawo oprawioną litografią pośrodku.

- Napijesz się? - zapytała.

- Małą wódkę z lodem.

Przemierzył pokój podchodząc do litografii. Była to odbitka propagandowego plakatu w wyrazistym, ekspresjonistycznym stylu lat trzydziestych. Plakat przedstawiał ładną, młodą dziewczynę stojącą nieustraszenie na szczycie drewnianej barykady. Wiatr rozwiewał dziko jej jasne włosy. Miała podwinięte rękawy koszuli. Za jej plecami rozpryskiwał się żółto pocisk, a u stóp wyciągnięci byli polegli żołnierze. W prawej ręce trzymała karabin, a w lewej sztandar z napisem „Madrid Resiste Bien”.

Karen podała mu drinka.

- Ciekawe, co?

- Zdaje się, że to kolekcjonerski rarytas.

- Tak. Wyszukałam to z dziesięć lat temu na pchlim targu w Madrycie.

- Wiem coś o hiszpańskiej wojnie domowej. Mój wujek był w Brygadzie Lincolna.

Zginął w 1938, nad Ebro.

- Na ostatnim roku *college'u* pisałam o tym pracę.

- Naprawdę?

- Naprawdę - uśmiechnęła się - Dziwi cię temat, czy to, że chodziłam do *college'u*?

W jej pewności siebie i hardych zimnych oczach było coś przerażającego.

- Usiądź, Jack - uśmiechnęła się znowu. - Nie masz nic przeciwko temu, że nazywam cię Jack? - łyknęła drinka. - Prawda?

Jej sposób mówienia przypominał mu pełen seksu sarkazm Lauren Bacall z pierwszych filmów z Bogartem.

Usiedli naprzeciw siebie, na sofach obszytych białym jedwabiem. Zapaliła papierosa i odezwała się gardłowym głosem:

- Chciałeś mnie widzieć?

- Nie lubię takich spraw i mam nadzieję, że nie będziesz...

- Nie będę - przerwała. - Wal śmiało, Jack.

- Kochałyście się z Candy?

Założyła nogę na nogę.

- Pozwól mi zrobić mały wstęp, zanim odpowiem, okay?

- Jasne.

- W porządku. - Łyknęła trochę ginu z lodem i wciągnęła głęboko dym z papierosa. -

Kobietom i mężczyznom, którzy grają w filmach erotycznych, daleko jest do świętości, ale nie są ani degeneratami, ani potworami. Pokazujemy publicznie na filmie wizualne, seksualne fantazje. Gdyby ludzie nie chcieli porno, nie byłoby go.

- Nie interesuje mnie moralność widowni. Pytałem, czy ty i Candy byłyście kochankami.

Wstała i zbliżywszy się do rozsuniętych drzwi, spojrzała na dalekie światelka rybackich statków.

- Tak - westchnęła. - Candy i ja byliśmy kochankami. Ale nie byliśmy w sobie zakochane. Candy była młoda, piękna, ambitna i niezbyt rozgarnięta. To niebezpieczna kombinacja. Była skazana na swą niesamowitą seksualność. Wprost rozpalala nią ekran. Ale nie mogła występować bez koki. W końcu ją to zniszczyło. - Odwróciła się do Jacka, popijając dzin. - Osobiście wolę od czasu do czasu skręta dobrej trawy. Staralam się jej pomóc. Spędzałam godziny na rozmowach z nią, chcąc wpoić jej trochę realizmu.

- O czym rozmawiałyście?

- O jej złudzeniach, że oto pewnego dnia przejdzie do normalnego filmu. Oczywiście, ten nadęty gnojek Jeff Kellerman wcale jej nie pomógł.

Wróciwszy do sofy, usiadła na jej oparciu i wpatrzyła się w swą szklanekę.

- Kellerman obiecał Candy rolę w swoim nowym filmie. Obiecywał jej w poprzednim.

To, czego chciał, to oczywiście pieprzyć się z nią i oglądać, jak robi to z innymi. Ale Kellerman był

objawem, a nie przyczyną choroby. Candy po prostu straciła głowę. Wielu ją wykorzystywało.

- Czy Pedro Cisneros był jednym z nich.

- Nie. Z tego co wiem, widziała się z nim tylko raz. Pojechałam z Candy na długi weekend na Key Biscayne. Cisneros wydawał się dżentelmenem w każdym calu.

Jack sięgnął po papierosa, ale paczka była już pusta.

- Są tam, częstuj się - powiedziała.

Przeszedł do baru, wyjął Gauloisa i zapalił go starą, wojskową zapalniczką.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego Candy spotkała się z Cisnerosem?

- To niebezpieczne, odpowiadać na takie pytania. Zresztą, tylko bym zgadywała.

- Leo Whelan ją wysłał?

- Zapytaj go.

- Zrobiłem to.

- Zapytaj jeszcze raz.

- Mam taki zamiar.

- Czy jeszcze coś?

- Masz broń?

- Prawdę powiedziawszy, tak.

- Mogę zobaczyć?

- Tędy, Jack.

Weszli razem do sypialni w kremowym kolorze. Położyła na łóżku karton po butach od Gucciego, zdjęła pokrywkę i wręczyła mu pękaty rewolwer Smith and Wesson 38.

Otworzył bębenek. Każda z sześciu komór była naładowana.

Z szuflady nocnej szafki wyjęła zezwolenie na broń.

- Dlaczego się o to wystarałaś? - zapytał.

- Płacą nam w gotówce, a z całym szacunkiem dla twoich kolegów, moje tutejsze sąsiedztwo to niezupełnie Wyspy Kanaryjskie. Chodźmy napełnić nasze szklanki.

\*

Stali po obu stronach baru, spoglądając na siebie.

- Mam nadzieję, że nie przejąłeś się tym nazywaniem cię po imieniu.

- Nazywaj mnie jak chcesz, byle miło.

- Jak mogę być miła? Jestem nieprzyzwoitą gwiazdą porno. Jestem częścią ogromnej plagi, która niszczy moralny kościec tego wielkiego narodu.

- Ty rzeczywiście siebie nienawidzisz, co?

- Och, teraz pan porucznik bawi się w taniego Freuda.

Wypił łyk wódki i spytał:

- Kiedy ostatni raz widziałaś Candy?

Zauważył w jej oczach ślad niepokoju. Zagryzła dolną wargę.

- Zdaje mi się, że... że w ostatnią sobotę wieczorem. Skończyłam wcześniej. Nie pracuję z Traynorem. Candy miała jeszcze kilka scen z nim i dwiema innymi dziewczynami.

- Wiem.

- Skąd? - zdziwiła się.

- Widziałem film.

- Och - przyglądała włosy. - A więc, wydaje mi się, że było przed jedenastą, kiedy wyszłam. Dzwoniłam do Candy kilkakrotnie tej nocy i w niedzielę.

- Niepokoiłась się o nią?

- Tak i nie. Myślałam, przynajmniej miałam nadzieję, że wróciła do domu z Lisą Chang. Była blisko z Lisą, nie w sensie erotycznym, ale Lisa wprowadziła nas obie w Regułę Sziwy.

- Co to takiego?

- Taka sekta, wyznająca religię Wschodu. Mają świątynię na wzgórzu nad Zuma Beach. Obie wiele na tym skorzystałyśmy. To zdumiewająca siła. Niektóre z tych obrzędów są trochę dziwaczne, ale jeśli otworzysz się na to, możesz połączyć się z poprzednimi wcieleniami, zmarłymi i co najważniejsze obcować z wewnętrznym duchem.

- Więc w sobotę wieczór wyjechałaś z planu około jedenastej?

- « Zgadza się.

- I wróciłaś prosto do domu?

- Tak.

- Byłaś sama przez całą noc?

- Tak.

- Możesz to udowodnić?

- Nie.

- Czy Pedro Cisneros kiedykolwiek próbował kontaktować się z tobą?

- Nie.

- Widziałaś kiedyś Whelana z Cisnerosem?

- Nie.

- Znasz Sida Davisa?

Karen przytaknęła.

- Przyjechał do San Francisco jak kręciliśmy „Lukrecję”.

- Kto go zaprosił?

- Whelan. Nikt nie ma wstępu na plan bez zgody Leo.

- Czy Davis był związany z Candy?

- Nie. Sidney nie jest kobieciarzem. Bardziej interesuje go władza niż seks.

- Jest twoim adwokatem?

- Jeden z jego kolegów. Sidney już nie zawraca sobie głowy aktorami.

- Znasz Angela Maffatore?

- Spotkałam go.

- Gdzie?

- W jego rezydencji w Bel-Air. Kiedyś, w maju, wydał małe party. Spodobał mi się ten staruszek. Był uprzejmy i odnosił się do mnie z szacunkiem.

Odstawiła szklankę na bar i przysunęła się blisko. Gdy ujmowała kosmyk swych włosów, jej dłonie

przyniosły zapach perfum. Uważnie spojrzała mu w oczy.

- Kochałam Candy w sposób, którego pewnie nie zrozumiesz.

- Wypróbuj mnie.

- Potrafię współżyć z mężczyzną, ale kochać się mogę tylko z kobietą.

- Masz rację, nie jestem w stanie stwierdzić różnicy.

- A więc masz szczęście - przerwała. - Chcę żebyś wiedział, że jeżeli Candy ktoś zabił, to zrobię wszystko, żeby wyrównać rachunek.

- Rozumiem. Tylko że jeśli została zamordowana, to ze znanstwem. Radzę ci, żebyś zostawiła to mnie.

Wręczył jej wizytówkę.

- Możesz dzwonić pod ten numer w dzień i w nocy.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

- Pokażę ci wyjście - powiedziała szorstko.

Otworzyła mu drzwi i uśmiechnęła się.

- Dla wszystkiego, co jest tego warte - powiedziała w tym szyderczym stylu Lauren Bacall - wciąż jeszcze potrafię oddzielić to, co robię na planie, od tego, co robię poza nim.

Jedź ostrożnie, Jack.

## Rozdział 12

„Purpurowy Smok” znajdował się na wschodnim końcu Sunset Boulevard, w samym sercu dzielnicy Silver Lake Migające chińskie napisy przed restauracją klóciły się z otoczeniem hiszpańskich neonów. To świetliste zderzenie kultur potwierdzało wielojęzyczność całej dzielnicy. Dziesiątki tysięcy nielegalnych imigrantów z Meksyku, Salwadoru, Gwatemali, Południowej Korei i Wietnamu osiedlało się w Silver Lake, Starsi imigranci byli lojalni wobec prawa. Ciężko pracujące kobiety i mężczyźni jeździli codziennie do lśniącej, zachodniej części miasta, gdzie wykonywali służebne prace w domach, restauracjach, biurach i szpitalach. Ale młodzież Silver Lake nie akceptowała przyniesionej ze sobą przez rodziców zgody na podległość. Ani nie rozumieli, ani też nie szanowali niedostępnego im amerykańskiego systemu.

Odizolowana, rozgoryczona młodzież dzielnicy tworzyła idealne środowisko rekrutacji dla handlarzy narkotyków. Kolumbijscy *coqueros* proponowali tym młodym ludziom niesamowite zyski za rozprawianie kokainy wśród rządzącej białej klasy, która pozbawiła ich szans legalnej przedsiębiorczości. W ciągu jednego dziesięciolecia ta ponura okolica stała się kwitnącym, choć

pełnym gwałtu, ośrodkiem dystrybucji kokainy.

„Purpurowy Smok” stanowił dla handlarzy wygodny punkt kontaktowy i na mocy niepisanej umowy stał się zacisznym ogródkiem w dżungli bezprawia.

We wnętrzu rzędy szklanych przepierzeń oddzielały salę jadalną od umiejscowionej w głębi części koktajlowej. Ozdobiony bambusowym drewnem bar otoczony był przez Latynosów, Azjatów i kilku białych handlarzy z „lepszego” części miasta.

Silvio Martinez siedział w jednej z przegródek z chudym, znerwicowanym Kolumbijczykiem o ciemnej skórze, dzieląc z nim wspólną porcję pieczonych żeberk. Twarz Pepe Montoya gęsto pokrywały blizny po nieleczonych w dzieciństwie ospie. Jego chytre, czarne oczka były w wiecznym ruchu, lustrując stoliki, wyszukując twarze, strzelając we wszystkie strony, jakby śledziły przebieg tenisowego meczu.

Mężczyźni obgryzali żeberka w pikantnym sosie i popijali zimnym chińskim piwem.

Żadnego z nich nie interesowało jedzenie, lecz musieli zachowywać się jak dwaj kumple, którym ta późna przekąska sprawia przyjemność.

- Kto siedzi za nami? - pytał Montoya.

- Dwójka Indian, pomywaczy.

- Ty masz za sobą dwóch żółtków - zaobserwował Pepe.

- To co z tego?

- Żółtki przynoszą pecha.

Pepe wypił trochę piwa i odpiął guzik jaskrawej, pasiastej koszuli. Na jego kościstej piersi dyndał wielki, złoty krzyżyk.

- Cholernie tutaj gorąco.

- Yhm. Te wentylatory są gównem warte - przytaknął Silvio.

Pepe zapalił Lucky Strike'a bez filtra i wypuścił dym do góry, wprost na papierowe lampiony.

- Coś tu za cicho - rzucił nerwowo, Silvio zawołał chińską kelnerkę.

Kobieta podeszła do stolika a on wręczył jej cztery 25-centówki.

- Włącz szafę z jakąś kubańską muzyką, okay?

- Coś specjalnego?



- Salsę Celi Cruz.

Siedzieli w milczeniu do chwili, gdy z głośników nad głowami zabrzmiała afro-kubańska, rytmiczna muzyka.

- Puściłem tę taśmę mojemu koledze - zaczął Silvio.

- To nie moja sprawa - odparł Pepe.

- Możesz mi coś jeszcze powiedzieć na temat słowa *alfombra*?

- O tej taśmie niczego ci nie powiem. Ani o *alfombra*, ani o Ave Maria, ani o grubej rybie, ani o P.C. Niczego.

Pepe chwycił żeberko i zaczął obgryzać je z soczystego mięsa, mówiąc między kolejnymi kęsami.

- Jest w mieście spec od prania pieniędzy Ordoneza.

- Ohlendorf?

Pepe kiwnął głową.

- Ten Szkop spotkał się z Davisem. Dostarczył wiadomość z Santa Rosa. Ordenez chce, żeby makaroniarze czyścili mu dodatkowy miliard przez ich przedsiębiorstwa porno.

Silvio poczuł niejasną falę radosnego podniecenia, ale jego twarz niczego nie zdradzała. Łyknął piwa, słuchając jak dalej mówił Pepe.

- Ordenez chce, żeby Davis przyjechał do Santa Rosa z odpowiedzią od Maffatorego.

- A jak ta odpowiedź mu się nie spodoba?

- Ordenez twierdzi, że nie można robić filmów bez aktorów - Pepe otarł wargi z tłuszczu. - Może być wojna. Muszę spadać, *amigo*.

- Jedno pytanie.

- No?

- Wiesz, skąd można by dostać 70-procentowy śnieg?

- Aha.

- No, skąd?

- Ode mnie.

W tym momencie Silvio zrozumiał, że ten ospowaty Kolumbijczyk gra na dwie strony.

„Ave Maria” pruća fale wzburzonego oceanu, piętnaście mil morskich od wybrzeża Manzanillo. Kierowała się prosto na północ, z przygaszonymi światłami i szybkością dwunastu węzłów. Trzydziestoletni panamski frachtowiec przypominał z wyglądu wszystkie inne statki towarowe, kursujące wzdłuż wybrzeża. Ale w rzeczywistości był to klejnot wyrafinowanej morskiej techniki pomiarowej, zwanej telemetrią.

Kadłub pokryto specjalną farbą bezodblaskową, która czyniła go trudnym celem dla dalekosiężnych radarów. Na stalowych ramach wzdłuż komina umieszczono talerze skomputeryzowanego systemu radarów, zdolnych do wykrycia wiosłowej łódki w promieniu 10 mil morskich. Stałe wiązki fal dopplerowskiego systemu cyfrowego wyszukiwały i zakłócały wrogie sygnały. Na mostku znajdował się loran - układ radiowonawigacyjny dalekiego zasięgu, sonar oraz radiokonsola systemu Mitrek, ostatnie osiągnięcie mikroelektroniki, przeznaczona do odbioru fal o wysokich częstotliwościach.

Oryginalne szkockie kotły parowe zostały zastąpione przez dwubiegowe turbiny General Electric, stosowane w okrętach wojennych, które mogły podwoić maksymalną szybkość statku z piętnastu do trzydziestu węzłów.

„Ave Maria” wiozła mieszany ładunek meksykańskich wyrobów skórzanych, boliwijskiego cukru, kolumbijskiej kawy i peruwiańskich, ręcznie tkanych dywanów.

Supernowoczesne wyposażenie mostka jarzyło się miękkim, zielonkawym światłem.

Cały ten wyrafinowany elektroniczny sprzęt sterowany był przez Kubańczyków. Ciszę panującą na mostku mąciło tylko skrzypienie statku, który unosił się i opadał na falach.

Pedro Cisneros i kapitan z wysp Bahama stali milcząco obok sternika. Cisneros wraz z kapitanem mieli za sobą wiele wspólnych wypraw karaibskich, lecz ten rejs był nowością dla obu.

Cisneros zapuścił brodę i ufarbował ją, podobnie jak włosy, na siwo. Jego brązowe tęczy oczu pokrywały niebieskie szkła kontaktowe. Ta charakterystyka odpowiadała zdjęciu w doskonale podrobionym paszporcie panamskim, wystawionym na nazwisko Pablo Escobara.

Lustrował zalane blaskiem księżycą morze. Aż do linii horyzontu nie było widać żadnych ruchomych świateł. Jeżeli nie napotkają trudności, będą mogli zacumować w San Pedro jutro rano o jedenastej.

Cisneros był osobiście niezwykle zainteresowany w powodzeniu tej wyprawy.

Wymyślił nowy sposób i namówił Ordoneza. Plan był kosztowny i zawierał masę szczegółów. Legalny towar musiał być kupiony i załadowany w trzech różnych portach.

Ruchy statku musiały być poza podejrzeniami, a termin dotarcia do końcowego miejsca przeznaczenia dokładny. Tak śmiałej metody szmuglowania dotąd nie próbowano. Pewne ryzyko zawsze istniało, zwłaszcza ze strony agentów DEA, lecz jeśli plan powiodłby się, ostatecznie wyeliminowałyby łatwe do zaatakowania przeladunki z większego statku do łodzi motorowych na pełnym morzu. Odpadłaby potrzeba radiowego kontaktu między statkiem a wybrzeżem. Zniknęłaby też obawa przed amerykańskimi i meksykańskimi patrolami. Wpłyną wprost do San Pedro, rozładują towar i opuszczą port następnego dnia. Celnicy będą niewątpliwie otwierać pojedyncze worki z cukrem czy kawą. Urzędnicy ci byli szkoleni w wykrywaniu sproszkowanej koki, lecz nie mieli jeszcze do czynienia z kokainową pastą.

Gdy statek zacumuje, Cisneros przedstawi swój paszport i kartę marynarską kontroli granicznej. Otrzyma zezwolenie zejścia na ląd na czas pobytu statku w porcie. Ale jego plany nie uwzględniały zwiedzania Los Angeles. Na szóstą wieczorem miał w PanAmie rezerwację na lot do Bogoty. Liczył, że zdąży jeszcze na spotkanie Ordoneza z Sidneyem Davisem.

Teraz jednak musiał myśleć przede wszystkim o sobie. Mieli jeszcze do przepełnienia 430 mil. Przyglądał swą brodę i zwrócił się do kapitana.

- Jaką mamy prędkość. Cappy?

- Dwanaście węzłów.

Kubański obserwator radarowy wykrzyknął nagle:

- Mam jakiś obiekt!

Cisneros i kapitan spojrzeli niespokojnie na Kubańczyka, który pośpiesznie dokonywał obliczeń.

- Niska sylwetka - powiedział. - Łódź patrolowa, idzie na południe, szybkość osiemnaście węzłów.

Cisneros przeszedł słabo oświetlony mostek i spojrzał badawczo w zielony monitor.

Kubańczyk włączył kilka przycisków na klawiaturze komputera i Cisneros mógł bez trudu rozpoznać niską sylwetkę płynącej łodzi.

- Możemy zagłuszyć ich sygnał radarowy - zaproponował Kubańczyk.

- Nie - rzucił Cisneros i odwrócił się do radiooperatora. - Łapiesz coś?

Operator potrząsnął przecząco głową i zdjął słuchawki.

- Na jakiej jesteś częstotliwości?

- Dwa - sześć - trzy - jeden - pięć, Manzanillo żeglugowe.

- Przejdź na dwa - siedem - jeden - cztery - pięć meksykańskie ratownictwo powietrzno-ładowe.

Operator założył słuchawki i zaczął kręcić skalą nastawiając żadaną częstotliwość.

- Co oni robią poza dwustumilowym pasem? - dziwił się kapitan.

- Może to nie jest straż brzegowa - odparł Cisneros. - Może to poławiacz krewetek.

- Nie robiłby osiemnastu węzłów - wtrącił radarowiec. - I nie miałby takiej sylwetki.

- Kopnąć w turbiny? - spytał kapitan.

- Nie. Nie chcę, żeby pomyśleli, że się spieszymy.

- Utrzymujemy kurs?

- Niech pomyślę, Cappy.

Ktoś mógł dać cynk meksykańskim władzom zaraz po tym, jak „Ave Maria” opuściła Manzanillo z ładunkiem wyrobów skórzanych. Mógł to być ostatecznie rutynowy patrol marynarki, ale długie doświadczenie narkotykowych rejsów mówiło Cisnerosowi inaczej.

Meksykanie prawdopodobnie dostali cynk, a jeśli tak, to niewątpliwie spróbują zająć „Ave Marię”. Mogliby pozwolić im na zbliżenie się, a potem zniszczyć raketami, wysadzić radio i zlikwidować załogę. Ale to było niebezpieczne. Gdyby meksykańska łódź patrolowa zniknęła nagle z radarowego monitora w bazie, postawiono by na nogi całe wybrzeże, alarm na wodzie i w powietrzu aż do Alaski. Wciąż mógł jeszcze powrócić do Barranquilla, lecz Ordonez włożył w ten transport ogromne pieniądze, a wszystko było już rozdysponowane.

Kapitan i obsługa wpatrywali się w niego, czekając na instrukcje. Cisneros nie zwracał

na to uwagi, rozważając dalsze warianty. Meksykanie byli nieobliczalni. Ich łodzie mogły czasem

stać miesiącami w porcie, a potem nagle wysłali w morze całą flotyllę. Przyglądał

nerwowo brodę. Potrzebna mu była jakaś informacja, coś, co dałoby mu przewagę. W tej śmiertelnej zabawie w kotka i myszkę, jaką był przemyt narkotyków, najważniejsza była informacja.

- Mam ich - wykrzyknął nagle radiowiec.

- *Paloma! Paloma!* - głos dochodził wyraźnie i głośno.

Cisneros razem z Kapitanem podeszli szybko ku radiostacji, przykuwając wzrok do głośnika.

- *Paloma en el aire!*

- *Paloma* to kryptonim ich łodzi patrolowej. Woła bazę - wyjaśniał Cisneros kapitanowi, który nie mówił po hiszpańsku.

Nastąpiła krótka przerwa.

- *En atencion* - odpowiedziała baza.

- *Estamos a quince millas al oeste de la base en rumbo al norte* - donosił meksykański patrol.

- Są piętnaście mil na zachód od Manzanillo, na kursie północnym - tłumaczył

Cisneros.

Radio ponownie zadudniło.

- *Que velocidad lleva?* - dopytywała się baza.

- *Maximo de diez y ocho nudos* - odpowiedział patrol.

Kapitan zaczął domagać się tłumaczenia, ale Cisneros przyłożył mu palec do ust.

- *Cual es su posicion con respeto al blanco?* - odezwała się baza.

- *Falta diez millas al sur en cruce lento.*

- *Siga conectado volver.*

Głosy urwały się, a ciszę wypełnił niski szum.

Cisneros odwrócił się do kapitana.

- Patrol doniósł o swojej pozycji, że jest dziesięć mil na południe od celu. Cel to my.

Baza kazała im utrzymywać kontakt i czekać na dalsze instrukcje.

Nastąpiła chwilowa cisza, po czym radio wznowiło nadawanie:

- *Tengo el procedimiento* - poleciała baza. - *E avise si el blanco al terra el rumbo.*

- *Entendido, termino la transmision* - odpowiedział patrol.

- No tak - rzucił kubański radiooperator.

- Co no tak? - dopytywał się kapitan.

Cisneros tłumaczył:

- Baza poleciała patrolowi płynąć za nami i zawiadomić ich jak zmienimy kurs.

Dziób statku nagle zanurzył się głęboko w wodnej dolinie i mężczyźni rzucili się do uchwytów.

Cisneros skinął na ciemnoskórego kapitana i obaj wyszli na zewnątrz.

Stali w blasku księżyca na pomoście przed sterówką. Wiatr i drobinki morskiej wody w powietrzu niosły ulgę po nieznośnym upale panującym w pomieszczeniu. Cisneros wyjął z futerału niezwykle silną lornetkę noktooptyczną i penetrował południowy horyzont.

- Nie ma śladu świateł.

- Co myślisz?

- Jeśli utrzymamy kurs na północ, będą iść za nami jakiś czas, potem przejmie nas Cabo de San Lucas, a ci zawiadomią amerykańską straż brzegową.

- Chyba że jesteśmy tylko namierzeni radarem, przypadkowo.

- Na to nie możemy liczyć - Cisnerosa piekły oczy od szkieł kontaktowych. Wyjął z marynarki małą fiolkę, odchylił głowę i wpuścił do oczu kilka kropel płynu.

- W porządku? - spytał kapitan.

Cisneros przytaknął, mrugając oczami.

- Zmień kurs. Płyniemy na zachód, w kierunku Hawajów. Musimy ich zgubić.

- A jak będą się nas trzymać?

- Nie mogą ciągnąć za nami w nieskończoność.

- Mamy dopłynąć na 11 rano. Jak się spóźnimy, stracimy miejsce w porcie. Będziemy musieli kotwiczyć na morzu.

- Będziemy płynąć na zachód przez cztery, może pięć godzin - odparł Cisneros. - Nie zostaną z nami

dłużej.

\*

Kolację zjedli na mostku. Radarowiec zaznaczał okresowe położenie łodzi patrolowej.

Radiooperator utrzymywał częstotliwość meksykańskiej komunikacji morskiej.

Godziny mijały i z każdą minutą oddalali się od zamierzonego kursu. Punktualne przybycie do San Pedro było coraz bardziej wątpliwe. Jedynym sprzyjającym faktem było stopniowe uspokajanie się morza.

- Zeszliśmy z kursu prawie pięćdziesiąt mil - przestrzegął kapitan.

- Wierz mi, Cappy. Damy radę.

Na mostku zapanowała cisza, wypełniona niskim szumem i sporadycznymi zakłóceniami, które dochodziły z potężnej radiokonsolety. Napięcie w sterówce rosło z każdą chwilą.

Ciszę przerwał nagle dobiegający z głośnika hiszpański głos z meksykańskim akcentem.

- *Paloma llamando a Manzanillo!*

Rzucili się do radia. Operator trzymał nieruchomo pokrętła.

- *Estamos lit os Paloma; avise Paloma!* - potwierdziła baza.

Nastąpiła teraz długa i gwałtowna wymiana hiszpańskich zdań między bazą a łodzią patrolową, po czym radio skończyło nadawanie.

Cisneros obrócił się uśmiechnięty do kapitana.

- W porządku. Łódź pytała, czy mają zawiadomić San Pedro. Baza odradziła im.

Myślą, że pływamy na wabia. Podejrzewają, że dostali błędne informacje.

- To znaczy, że mieli cynk.

Cisneros przytaknął. Jego mózg pracował jak komputerowy bank danych wyszukujący błąd. I wpadł na dobry pomysł, skąd mógł wydostać się przeciek. Podrzuci go Ordonezowi, gdy wróci do Santa Rosa.

- Jak tylko znikną nam z radaru - oznajmił - puszczamy turbiny na cały gaz i ster na północ, do San Pedro. Wyrobimy się, Cappy.

- Amerykanie mogą już na nas czekać - ostrzegł kapitan.

- Mogą. Ale jeśli nawet, to wyślą najpierw patrol powietrzny, gdy wpłyniemy na ich wody

terytorialne.

- I co wtedy?

- Wtedy, przyjacielu, zatopimy te cholerne dywany i rybki będą naćpane przez pięć pokoleń.

## Rozdział 14

Jack niechętnie zapalił pierwszą tego dnia cygaretkę. Próbował już wszystkich lekarstw, nie był jednak w stanie zerwać z wieloletnim nałogiem.

Rozsiadł się w fotelu naprzeciw telewizora. W programie właśnie oddano pięć minut stacjom lokalnym. Miła z wyglądu spikerka, ze zbyt ostrym makijażem i uśmiechem przyklejonym do ust odczytywała beznamiętnie wiadomości.

- Około trzeciej nad ranem na autostradzie do San Bernardo zabity został

niezidentyfikowany mężczyzna. Świadkowie widzieli, jak człowiek ten wyszedł na jezdnię i usiadł grając na flecie.

Osiemnaście kobiet w starszym wieku zostało dziś rano aresztowanych w West Valley. Zostały oskarżone o legalizowanie gotówki uzyskanej ze sprzedaży kokainy. Kobiety znane jako Granny Gang są podejrzane o zdeponowanie znacznych sum narkodolarów w bankach okręgu Los Angeles. Policja skonfiskowała ponad 500 tysięcy dolarów w małych nominałach.

Wiadomości przerwała reklama jakiegoś filmu. Jack patrzył z rozbawieniem, jak muskularny aktor pokonuje jedną ręką brygadę wietnamskich żołnierzy i uwalnia pięciu amerykańskich jeńców. Reklamę filmu zastąpiła reklama sztucznych szczęk, a po sztucznych szczękach namawiano do kupowania bidetów.

Jack podszedł do drzwi tarasu. Słońce rozjaśniało przedmieścia oraz wsparte na słupach hiszpańskie domki u zbroczy Hollywood. Rozsunął drzwi i poczuł powiew upalnego, pustynnego wiatru.

Myślał o pożegnalnych słowach Karen. „Wciąż jeszcze potrafię oddzielić to, co robię na planie, od tego, co robię poza nim”. Badała go podrywając, bo pomimo jej profesji, był nią zaintrygowany, a ona to wiedziała.

Zasunął drzwi i wrócił do telewizora. Lokalne wiadomości już się skończyły.

Atrakcyjna blondynka zapowiadała z uśmiechem:

- Łączymy się teraz z Glorią Hunnicutt w naszym studio w Hollywood, aby wysłuchać relacji o wstrząsającej śmierci Candy Lane.

Legendarna plotkara pojawiła się na tle wielkiego, czarno-białego powiększenia fotografii Candy w skąnym bikini.



Hunnicutt zwilżyła wargi i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry wszystkim z Hollywood. Stolicę filmu zelektryzowała wiążąca się z narkotykami śmierć Candy Lane. Wasz korespondent dowiedział się z wiarygodnych źródeł, że panna Lane po ukończeniu swego ostatniego filmu przyjęła dużą dawkę stężonej kokainy.

W sypialni panny Lane, w jej posiadłości w Malibu, znaleziono naszkicowane kokainą wyznanie miłosne wraz z sekretnym pamiętnikiem, zawierającym nazwiska hollywoodzkich sław, których związki z byłą gwiazdą porno znaczyły więcej, niż tylko przelotna znajomość.

Niezależnie od wysiłków porucznika Jacka Rainesa z ekipy NIFTY przy Wydziale Operacyjnym, zmierzających do wyjaśnienia szczegółowych okoliczności śmierci królowej porno, wasz korespondent dowiedział się, że ciało panny Lane zostało zmasakrowane w kanibalistycznej orgii. Mamy w tej chwili niepotwierdzone, lecz miarodajne doniesienia, że pozafilmowa działalność panny Lane łączyła się z osobą sławnego kolumbijskiego przemytnika narkotyków. Dalsze szczegóły tej odrywającej od śniadania historii przedstawię jutro rano.

Hunnicutt przerwała, a w tle zniknęła podobizna Candy Lane.

- A teraz najnowsze wiadomości o przedłużającym się konflikcie ambicji na planie trapionego kłopotami, pechowego filmu...

W elektronicznej przystawce telefonu rozległo się głośnie brzęczenie. Jack wyłączył telewizor i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Pan Silvio Martinez czeka w hallu.

- Zaraz schodzę.

Odwiesił słuchawkę i spojrzał na stojącą obok oprawioną fotografię. Był to radosny portret rodzinny - jego, Laury i sześciolatniej Jenny. Stali opaleni i uśmiechnięci przed paradorem na przedmieściu Madrytu. Ale to było dawno temu. Przed rozwodem. Przed zamordowaniem Laury.

## Rozdział 15

Cętkowane promienie słońca prześwitywały w gałęziach strzelistych sosen, otaczających tereny wokół domu Angela Maffatore w Bel-Air.

Wiekowy Ojciec Chrzestny Zachodniego Wybrzeża siedział przy wiklinowym stoliku na werandzie, popijając kawę i przeglądając „Los Angeles Times”. Za nim rysowały się jasnobrązowe ściany jego rozległej willi o śródziemnomorskiej architekturze. Poranny spokój podkreślały świergot ptaków i cykanie koników polnych.

Candy Lane uśmiechała się ponętnie z pierwszej strony gazety.

Przywódca mafii zdjął okulary i potrząsnął ze zdumienia głową, zadziwiony faktem, że śmierć jakiejś podrzędnej aktoreczki porno była tak eksponowana. We Włoszech skandale nie miały znaczenia, jeśli nie dotyczyły wpływowych polityków albo utytułowanych osobistości. No, może fakt, że Amerykanie przyjmują proletariacki punkt widzenia wobec skandali, tłumaczy w jakiś dziwny sposób wielkość tego kraju.

Z kieszonki na piersi wyjął okulary słoneczne i założył je spoglądając na przystrzyżony trawnik, opadający miękko ku basenowi o olimpijskich wymiarach. Pomimo zaawansowanego wieku, ciągle potrafił przepłynąć dziesięć nawrotów dziennie. Przez okrągły rok woda była utrzymywana w temperaturze 30°C. Maffatore uwielbiał południową Kalifornię. Minęło 25 lat odkąd przeprowadził się tu ze wschodu, ale jeszcze teraz wzdragał

się na myśl o zimnych, zaśmieconych ulicach Nowego Jorku.

Przechesując swą przeredzoną siwiznę dotknął bladej szramy, która biegła od lewego ucha aż do kącika ust. Potem roztarł prawy nadgarstek. Tępy ból starego postrzału odzywał

się znowu. „Jestem jak stary koń wyścigowy” - myślał. - „Poobijany i posiniaczony, ale gotów godnie dobiec do mety”.

Ostatnio zaczął myśleć, że żył zbyt długo.

Odszedł Gambino. Odszedł Lansky. Luciano. Bugsy Siegel. Costello. Wszyscy odeszli. Co za ironia losu, że to on, prosty żołnierz, przeżył generałów.

Jako młody człowiek przeżył wojny Castellmare, wojny czasów prohibicji i wielką ogólnokrajową siekaninę, kiedy Luciano i Lansky scalali odrębne klany. W czasie panowania Lepkego i Murder Inc. przeżył w Brooklynie jako alfons. Cięto go nożem, bito i strzelano do niego, a jednak żył, aby brać udział w pogrzebach swych wrogów. Wokół rosła legenda.

Luciano powiedział: *Maffatore non e' umano*. Ale Angelo był człowiekiem i odczuwał

głębokie znużenie ciągłą presją odpowiedzialności. Dzięki szczęściu i sprytowi został

członkiem starszyny w organizacji. Przemijanie starej gwardii było bolesne, lecz nieuchronne, natomiast prawdziwy problem pojawił się dziesięć lat temu, w dżunglach Południowej Ameryki.

Potrząsnął z niedowierzaniem głową. Przeklęte zielsko. Taki listek! Ta cholerna koka, rosnąca dziko w andyjskich dżunglach, stała się najbardziej dochodowym narkotykiem w historii ludzkości. Należący do mafii rynek heroiny został poważnie załamany poprzez rosnącą popularność koki. Heroina była dla Murzynów, dla getta, kokaina była biała jak forsiaści Amerykanie, co wpadali w nałóg. Ta śnieżna zadyma warta była sto miliardów a Kolumbijczycy kontrolowali wszystko, od dżungli aż po nosy Amerykanów. W czasie narkotycznej wojny w Miami, ich ludzie gotowi byli atakować w publicznych miejscach trafiając każdego, kto stanął na linii strzału. Kroili kobiety i dzieci mechanicznymi piłami.

Mieli tylko dwie zasady: zabijać i zwyciężać. W lipcu 1981 zgodził się na upokarzające zawieszenie

broni z przedstawicielami Ordoneza. Mafia stała się pralnią usługową Kolumbijczyków, czyszcząc miliard dolarów rocznie w zamian za 10 procent. Od 1981 roku porozumienie było rzetelnie przestrzegane aż do teraz.

Ordenez zażądał obecnie prania kolejnego miliarda przez konta przedsiębiorstw pornograficznych mafii. Tym cholernym dzikusom nigdy nie było dość. Ale Ordenez miał

przewagę. Jeśli wybuchłaby wojna, walczone by w Stanach, na terenie mafii. Zjechałoby się mnóstwo glin. Wojna byłaby fatalna. Będzie musiał negocjować i grać na zwłokę.

Rozmyślenia przerwał mu odgłos zbliżających się kroków. Gdy służący w liberii prowadził Sidneya Davisa do stolika, odwrócił się w jego stronę i uśmiechnął się blado.

- Dzień dobry, Sidney.

- Przepraszam za spóźnienie - odpowiedział nerwowo adwokat.

- Trochę soku?

- Nie, nie, dziękuję - Sidney był zawsze spięty w towarzystwie Maffatorego.

- Kawy?

- Nie, piłem wcześniej.

Maffatore dał znak służącemu, który odszedł śpiesznie.

- Więc o co chodzi? - zagadnął Maffatore.

- Mówiłem panu wczoraj wieczorem.

- Byłem bardzo zmęczony. Właśnie wróciłem z Nowego Jorku. Źle znoszę samoloty.

Nie jestem już tak młody, jak ty. Powiedz jeszcze raz.

Sidney powtórzył propozycję Ohlendorfa włącznie z „uwagą” Ordoneza o trudnościach w kręceniu filmów bez aktorów.

Maffatore poprawił się na krześle mówiąc:

- A teraz, powiedz mi o telefonie Whelana.

Davis streścił przebieg rozmowy.

Pokryta bliznami i śladami szwów twarz starego mafioso przypominała Sidneyowi rzeźbę - obtłuczoną, marmurową głowę, wyrzuconą przez Morze Jońskie na brzeg Sycylii.

- Ostrzegałem Leo, aby nigdy nie używał aktorów do kurierskiej roboty - westchnął

Maffatore. - Temu człowiekowi brakuje dyscypliny. Chociaż zarobił dla nas fortunę.

Pomiędzy nim a jego kolegami w Detroit i Nowym Jorku zbudowaliśmy przemysł wart sześć miliardów. Jednak, muszę porozmawiać z Wielorybem.

Odsunął okulary na czoło. Jego oczy miały ciemnogrnatowy kolor.

- Więc Ordonez sądzi, że nie można zrobić filmów bez aktorów. - Maffatore zadumał się. - Może zabili Candy, dając nam ostrzeżenie.

- Nie sądzę - powiedział Sidney. - Myślę, że jej śmierć to zbieg okoliczności. Ale musimy coś postanowić. Ohlendorf jest w hotelu Bel-Air i czeka na odpowiedź.

- Ordonez chce, abyś dostarczył mu ją do Santa Rosa osobiście?

- Tak.

- Jesteś adwokatem. Co proponujesz?

- Nie ma pan wyboru, Don Angelo. Moim zdaniem, musi pan im coś zaproponować.

- Co zaproponować? - spytał Maffatore z nutą złości. - Czyścimy im teraz miliard dolarów. Konta czekowe naszych przedsiębiorstw puchną od naszej własnej gotówki. Co tu jest do zaproponowania?

- Popchnął lekko okulary, które zsunęły się w dół, zasłaniając mu oczy. - Przejdźmy się.

Spacerowali po trawniku w cieniu sosen, Maffatore schował ręce w głębokich kieszeniach jedwabnego szlafroka. Sidney narzucił na ramiona swój niebieski blezer. Wśród drzew brzmiały przenikliwie cykady.

- Musimy próbować uniknąć wojny - mówił spokojnie Maffatore. - Chociaż tym razem Kolumbijczycy mają słabe punkty. Ich najważniejsi handlarze są nam znani. Znamy ich lokalne rafinerie. Możemy ich dopaść.

- To prawda - zgodził się Sidney. - Ponieważ ani nie sprzedajemy, ani nie rozprowadzamy, jak mogą się zemścić?

Starzec zdjął okulary i przesywającymi, czarnymi oczyma spojrzał na Sidneya w prawdziwym zdumieniu.

- Jeżeli wybuchnie wojna, wezmą się za wszystkich. Zabiją mnie. Zabiją radę starszych. Ludzi ze związku. Rozwalą Vegas. Uderzą w każdy legalny interes, jaki mamy.

Oni nie myślą i nie boją się. Ordonez zamordował w Kolumbii dwudziestu czterech sędziów okręgowych, ludzi, których nie mógł kupić.

Sidney poczuł, jak strużki potu spływają mu po plecach.

- Ale jak pan powiedział, Don Angelo, możemy uderzyć w ich słabe miejsca.

- Kiedy masz do czynienia z dzikusami, zapomnij o logice. Ci pieprzeni Kolumbijczycy to kretyni.

- Nie Ordonez. On, mimo wszystko, zbudował imperium.

- Jest świetnym organizatorem, jest wykształcony - przyznał Maffatore. - Ale w żyłach płynie mu krew Metysa. Krew przemocy. A w gruncie rzeczy krew przesądza o ludzkim przeznaczeniu. - Rozmasował rwący nadgarstek. - Naszą najmocniejszą kartą są konta bankowe naszych przedsiębiorstw pornograficznych. Ordonez musi albo zwiększyć przerób w pralni, albo obciążyć produkcję. Liczymy na to, że zechce się targować.

Zza drzew wyskoczył wielki irlandzki seter i potężnymi susami podbiegł prosto do Maffatorego. Starzec przygarnął rasowego psa, szepcząc:

- No, spokojnie, Red, spokojnie.

Podniósł z ziemi sosnową szyszkę i cisnął nią na stok wzgórza. Pies pognał jej śladem, znikając wśród drzew.

- W porządku, Sidney. Zadzwoń do Ohlendorfa. Jedź z nim do Santa Rosa. Powiedz Ordonezowi, że jesteśmy skłonni zmienić naszą umowę. Będziemy czyścić dodatkowe 400

milionów i utrzymamy obecne 10 procent.

- A jeśli odmówi?

- Zaśpiewaj mu „Wróc do Sorrento”, zastępuj albo użyj tego swojego uśmiechu, hm?

Powiedz, że to początek. Spróbujemy przyjąć więcej. Graj na czas. My możemy mu zaszkodzić, ale on może zamknąć nam cały pornobiznes. Potrzebujemy czasu, żeby przygotować się na wypadek wojny. Muszę skontaktować się z radą.

- Zrobię co w mojej mocy.

- Wiem - starzec objął adwokata ramieniem. - Ale uważaj. Będiesz zmęczony podróżą. Nie daj się zbałamucić. Nie przyjmuj żadnych kobiet. Nie rozmawiaj o interesach z Cisnerosem czy z Niemcem, tylko z Ordonezem. Nie odrzucaj jego gościny, ale nie trać przy tym powagi.

Sidney zaczął sapać. Skurcz strachu ścisnął mu żołądek.

- Obawiam się tej podróży.

- Jako prawnik?

- Nie. Będę po prostu amerykańskim adwokatem reprezentującym interesy amerykańskiego klienta w rozmowach z zagranicznym obywatelem. Nie, nie mam obaw prawnych. Chciałbym tylko, abyśmy występowali z mocniejszej pozycji.

- Ja również chciałbym wielu rzeczy - westchnął Maffatore. - Chciałbym, żeby to był

rok 1937 i żeby była pod ręką paczka z Brooklynu: Bugsy Siegel, Abbandando, Marty Goldstein, Pittsburgh Phil, Happy Maione, Moey Amberg, Three Finger Brown... - Oczy starego człowieka zamglily się, gdy z szacunkiem wymieniał nazwiska. - W 1937 na ulicach Brooklynu ani jeden pieprzony dzikus nie przeżyłby nawet pięciu minut. - Maffatore rozłożył

ręce w bezradnym geście. - Ale wtedy było wtedy, a teraz jest teraz, i robimy co można. Nie bój się. Pamiętaj, że nikt nie zabija posła. Nawet Ordonez.

## Rozdział 16

Silvio jechał na niskim biegu, wspinając się powoli serpentyną drogi. Jack siedział

obok przeglądając „Biuletyn Codzienny Wyścigów Konnych”. Okna starego Pontiaca były zasunięte, a wentylacja nastawiona do oporu.

- Samochód jak marzenie - rzucił Silvio.

- Rozumie się. Remontowałem go sześć razy.

Wijąca się droga prowadziła ich przez tereny architektonicznego kataklizmu, jakby działał tu spuszczonego z łańcucha scenograf Disneylandu.

Silvio zahamował raptownie przed wielkim kojotem, który przebiegł szosę, dopadając do zeschniętego ścierwa grzechotnika.

- Kurewska dżungla - wymamrotał Silvio.

Jack kiwnął głową, nie odrywając wzroku od zestawień gonitw.

- Ciągle grasz na wyścigach? - zagadnął Silvio.

- Od czasu do czasu. Lubię fuksy. To taka dedukcyjna zabawa, jak krzyżówki. - Jack złożył biuletyn, dodając melancholijnie - Laura lubiła wyścigi.

- Zawsze wolałem od koni hiszpańską piłkę jai-alai - stwierdził Silvio. - Znałem kiedyś w Miami takiego baskijskiego mistrza. Facet robił cuda. Odpalał mi czasem parę groszy.

Silvio zaklął miękko po hiszpańsku, unikając o milimetry zderzenia z Volkswagenem, który wjechał na ich pas. Kierowca, młoda dziewczyna z cielecym uśmiechem i rozcapierzonymi, marchewkowymi włosami machnęła im, śmigając tuż obok.

- Te dzieciaki są porąbane - zamruczał Silvio.

- Zdaje się, że ja mam szczęście - powiedział łagodnie Jack.

- No. Jenny to fajna panienka. Jakoś ci się udało.

- Nie mnie. Wychowała ją matka.

Po chwili ciszy Silvio zapytał:

- Jak to właściwie było z Laurą?

- Kiedy się rozwiedliśmy, wyszła za bogatego neurochirurga, Martina Sorensona. Był

właścicielem dużego ośrodka medycznego w Westwood. Sorenson interesował się wieloma rzeczami, między innymi archeologią. Wykopał w Syrii jakieś dzieło sztuki, a Syryjczycy przyszli to zabrać. Laura się postawiła. Strzelili do niej cztery razy. Przyjechałem na miejsce -

z drugiego końca świata do groty nad Jordanem. Byłem sam na sam z doktorem. To był ostry, bardzo ostry facet, były dowódca w oddziałach zamorskich. Poszedł na mnie z nożem. Ziemia w grocie obsunęła się i spadł dziesięć metrów niżej, nabijając się na włócznię z brązu trzymaną przez bóstwo Kananejczyków.

- Jezu - wyszeptał Silvio.

- Zarznąłby mnie. Ten uskok ziemi uratował mi życie.

Jechali przez chwilę w milczeniu ciągnąc się wolno pod górę.

Minęli napis ZAGROŻENIE POŻAROWE - PALENIE WZBRONIONE.

- Kurwa - rzucił nagle Jack.

- Co?

- Gloria Hunnicutt. Przejechała się po mnie dziś rano w telewizji.

- No to co?

- Wiedziała o walentynie z koki.

- Pewnie poszła do jakiegoś gliny w Malibu albo do człowieka od odcisków.

- Może. Parę lat temu wlaźła do łóżka mojemu kumplowi Brody'emu, żeby wydostać od niego szczegóły jakiegoś morderstwa.

- Wygląda, że mogłaby jeszcze zrobić niezłą karierę. Powinniśmy przedstawić ją Whelanowi.

- Whelan może niedługo pociągnąć na tym świecie. Jeżeli Pepe ma rację, jeżeli Ordonez przykręci śrubę mafii i nie pójdzie na układy, to Kolumbijczycy rozwalą cały przemysł porno.

- Może Candy to pierwszy cios?

- No dobrze, ale brakuje pięciu tysięcy i wiemy, że razem z Karen Dara spotykały się z Cisnerosem na Florydzie. A przy okazji, pytałeś Pepe, skąd Candy mogła mieć 70-procentowy śnieg?

- Pytałem, ale nie puścił pary - skłamał Silvio. Nie mógł ryzykować, aby Jack lub ktokolwiek inny wiedział, że Pepe zajmuje się jednocześnie handlem i donosami.

Silvio wziął ostry zakręt i zwolnił, wjeżdżając w ślepą uliczkę przy skrzyżowaniu z Sunset Plaza Drive. Zaparkowali samochód i podeszli do strzelistej, trójkątnej bramy. Główna część domu znajdowała się niżej, na skarpie kanionu, podtrzymywana stalowymi stemplami.

Ładna, rudowłosa dziewczyna, w pasiastym bikini na sznureczkach, wpuściła ich do środka.

- Hej - uśmiechnęła się. - Jestem Stella.

Podążyli za jej szalowymi pośladkami ciągiem schodów w dół, do podziemnego salonu wychodzącego na patio z basenem. Ściany i sufit pomalowano na czarno, kanapy, krzesła, pufy i dywanowa wykładzina były białe. Na ścianach wisiały wielkie płótna, grube od energicznych maźnięć jaskrawymi farbami.

- Chcecie, chłopaki, zimnego drinka? - zapytała Stella.

- Nie, dziękuję - odpowiedział Jack.

- Nie pogniewałbym się za szklanek wody z lodem - uśmiechnął się Silvio, idąc za nią do baru.

- Ty występowałaś w ostatnim filmie Candy, prawda? - zagadnął przymilnie.

- Skąd wiesz?

- Widzieliśmy go.

- Co za szok. Ciągle nie mogę uwierzyć, że Candy już nie ma - westchnęła, wręczając Silvio zroszoną, wysoką szklanek wody z lodem. Spojrzała na Jacka. - Jesteś pewny, że nic nie chcesz? Mamy dietetyczną kokę, piwo, i...

- Nie - przerwał - nic.

Otworzyła kapslowaną butelkę Heinekera i pociągnęła długi łyk.

- O rany, gorąco, że się człowiekowi skóra na dupie łuszczy.

- O której Karen Dara wyszła w sobotę wieczór? - zapytał Jack.



- Wcześniej. Około jedenastej. Karen nie robi żadnych pompek.

- Pompek? - spytał Silvio.

- Scen z rypaniem. Nie żeby Karen była czystą lesbiją. Kiedyś robiła numery z facetami, ale teraz nie chce już tego filmować.

Jack poczuł dziwną złość, słysząc jak ta rudowłosa pieszczoszka mówi o seksualnych skłonnościach Karen.

- Zapłacono ci tamtej nocy? - zapytał.

- Wieloryb płacił nam wszystkim na rękę.

- Widziałaś, jak dawał pieniądze Candy?

- Yhm. - Oparła się o bar, udostępniając obu mężczyznom pełny obraz swych obfitych piersi. Silvio napił się wody i spytał:

- Ile jej zapłacił?

- Pięć tysięcy w nowych, szeleszczących studolarowych papierkach - odpowiedziała Stella, spoglądając w kierunku basenu. - Leo rozmawiał ze mną o głównej roli w nowym filmie. Taki rodzaj hołdu dla Candy. Ma już normalnego scenarzystę, który nad tym pracuje.

Czuję się trochę głupio, robiąc tak, ale to jest szansa. Jedna dobra rola może człowieka ustawić. To wielka szansa. Szkoda mi Candy, ale... no, wiecie, o co mi chodzi.

- Tak, wiemy, o co ci chodzi - powiedział Jack. - Ile filmów zrobiłaś z Candy?

- Och, nie wiem, może osiem albo dziewięć. Nie zawsze jestem na filmie. Często robię za pieszczoszkę.

- Ale dobrze znałaś Candy?

- Jasne.

- Czy mogłabyś powiedzieć, że była w depresji?

- Candy wyglądała na szczęśliwą tylko wtedy, jak była nagrzana.

- A ty? - uśmiechnął się Silvio. - Dużo wążasz śniegu?

Roześmiała się i upiła piwa.

- Wszyscy na tym jedziemy. To tak, jakby jeść hamburgera bez keczupu. Mówi się

„Coke to jest to”, gadaliście chłopcy z Lisą Chang?

- Jeszcze nie - odparł Jack. - A dlaczego pytasz?

- Tak sobie. No, bo ona jest dziwna. Zazdrości każdemu. Lisa chce być gwiazdą, ale Sherry mówi, że ludzie nie identyfikują się z żółtkami.

- Myślisz, że Lisa Chang mogłaby zrobić jakąś krzywdę Candy? - spytał Jack.

- Nie wiem. Ciężko powiedzieć, co takie żółte sobie myśli. - Urwała i uśmiechnęła się.

- Chodźcie, John na was czeka.

\*

Z patio rozciągała się panorama zasnutego smogiem miasta. Dachy biurowców były ledwo widoczne w burej mgle. Upalny, pustynny wiatr wicherzył palmy, porastające zbocze wzgórza.

John Traynor rozparty był na leżance obok basenu, czytając w lustrzanych okularach słonecznych dziennik „Variety”. Miał na sobie wąskie slipki, wydęte jakby mieściły w sobie wielkiego grejpfruta. Delikatne, pozbawione owłosienia ciało Traynora lśniło od oliwki Bain de Soleil. Gdy Stella wprowadziła na patio obu detektywów, wyrzwał znad gazety świata rozrywki.

- Gliny przyszły - oznajmiła dziecinnym głosem.

- Dlaczego nie wejdziemy do środka? - zaproponował Traynor. - Tam jest o wiele chłodniej.

- Dobra myśl - zgodził się Silvio.

Traynor wstał, narzucił aksamitny szlafrok i spojrzał na zakryte żółtym kożuchem miasto.

- Mówią, że jeden dzień oddychania tym smrodem to tyle, co wypalenie kartonu papierosów. Myślę, żeby to sprzedać i przenieść się do Frisco. Świetne miasto, bez awantur. -

Zawiązał szlafrok i poprowadził ich do środka. - Chcecie czegoś, chłopcy? - spytał zza baru.

- Już się nimi zajęłam - zawołała Stella, wyciągając się na białym dywanie i opierając plecy o puf.

Silvio pozostał w drzwiach patio.

Jack przyglądał się jednemu z zasmarowanych farbą płócien.

- Co ma oznaczać „Czerwony wyrąb i złoty pył”?

- To, co ci przychodzi do głowy - Traynor popijał piwo. - To klasyczny przykład abstrakcyjnego ekspresjonizmu.

- Zdaje się, że zła sztuka nie jest już tym czym była kiedyś - Jack uśmiechnął się. - Ale w końcu nie jestem ekspertem.

Traynor wodził w ciszy niebieskawymi oczyma od Silvia do Jacka.

- Jak mogę panu pomóc, poruczniku?

- Po prostu odpowiedzieć na parę pytań.

- No to walcie.

- O której skończyłeś zdjęcia w sobotę w nocy?

- Koło pierwszej. Candy, Lisa Chang, Whelan i Sherry Nichols wyszli razem. Stella przysnęła tutaj.

- Czy Candy była nagrzana?

- Zawsze jest nagrzana.

Silvio usiadł na barowym stołku naprzeciw Traynora i spytał uprzejmie:

- Miałbyś jakiś pomysł na to, skąd mogła dostawać kokę?

- Najmniejszego.

- Widziałeś śnieg na planie tamtej nocy?

- Tak. Widziałem trochę.

- Właśnie przyznałeś się do przestępstwa - stwierdził sucho Jack.

Mleczna cera twarzy Traynora zarumieniła się.

- Jakiego przestępstwa?

- Obecność w miejscu, gdzie są narkotyki, jest w tym stanie przestępstwem.

Moglibyśmy natychmiast przyskrzynieć ci dupę.

- Słuchajcie. Ja lubiłem Candy. Jestem zszokowany jej śmiercią. Ale nie jestem odpowiedzialny za to, co inni robią na planie podczas kręcenia filmu. Co tak na mnie najeżdżacie. Co ja do cholery zrobiłem?

Silvio spojrział na Jacka i odezwał się uspokajająco:

- On ma rację. Poza wszystkim, John nie jest przecież handlarzem. Jest aktorem i chce nam pomóc. - Silvio powtarzał starą grę w dobrego i złego gliniarza.

- Pytam się jeszcze raz - Jack rzucił złowrogie spojrzenie. - Skąd się wziął ten śnieg?

Traynor odstawił piwo i spojrział na Stellę.

- Zmiataj, Stella.

- Cholera, zawsze tracę najlepszą zabawę. - Podniosła się, zdjęła stanik i zaciągnęła mocniej sznurek w majteczkach. - Idę popływać.

Oszklone drzwi patio zamknęły się za nią.

- Kto dostarczał kokę? - Jack powtórzył pytanie.

Traynor zagryzł dolną wargę i westchnął.

- Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że na planie filmów Leo Whelana zawsze jest dostawa mocnej koki.

- Więc powiadasz, że Wieloryb to załatwia?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie rób ze mnie idioty, John.

- Hej, Jack - wtrącił Silvio tylko spokojnie.

- Spotkałeś kiedykolwiek faceta o nazwisku Pedro Cisneros? - naciskał Jack.

- Nie.

- A Sidneya Davisa?

- Pojawił się w San Francisco, jak kręciliśmy „Lukrecję”.

- Sam?

- O ile mi wiadomo.

- Czy Candy handlowała?

Traynor obszedł bar i przysiadł na oparciu sofy.

- Mogłaby. Wszyscy mogliśmy od czasu do czasu.

- Zanim stałeś się gwiazdą.

- Yhm... jakieś pięć, sześć lat temu.

- Kto cię zaopatrywał?

- Pośrednik w handlu nieruchomościami w Marina.

- Ciągłe tam mieszka?

- Zabił się na autostradzie wracając z Vegas.

- Ludzie, którzy kręcą się wokół ciebie, nie mają jakoś szczęścia, co?

Traynor spojrział na Jacka nie odpowiadając.

- Mój kolega jest trochę ostry - odezwał się łagodnie Silvio. - Słuchaj, John, tak prywatnie, byłbyś w stanie stwierdzić, czy Candy handlowała, czy nie?

Traynor przetarł dłonią oczy.

- Ona była nałogowcem. Była gwiazdą, miała pieniądze. Nie wiem czy sprzedawała, czy rozdawała.

- Czy mówi ci coś nazwa „Gruba ryba”?

- Nie.

- A „Ave Maria”?

- Zdaje się, że to piosenka religijna.

Jack przeszedł się z namysłem po pokoju i rzucił z groźbą w głosie:

- Dajmy spokój tym bzdurom. Przypadkowo dowiedziałem się, że to ty sprzedawałeś kokę Candy.

- Karen ci to powiedziała?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ona wciąż coś do mnie ma, od czasu, kiedy pierwszy raz pracowaliśmy razem.

- Z jakiego powodu?

- Zdaje się, że ją uraziłem.

- To łatwo sobie wyobrazić. Masz chłopie niezłego drağa.

- Może cię to pocieszy, poruczniku, ale jestem wypalony.

- To cena gwiazdorstwa, jak sądzę - odparł Jack. - Znasz Angela Maffatore?

- Nie.

- Byłeś związany kiedykolwiek z Regułą Sziwy?

- Nie.

- Czy Lisa Chang przyjaźniła się z Candy?

- O ile mi wiadomo, tak.

- A Chang i Karen Dora?

- Nie sądzę, aby ktokolwiek za nią szalał. Obnosi się ze swoim wykształceniem. Ta suka myśli, że jest lepsza od nas.

- A co ty myślisz, John?

- Myślę, że to stara cipa.

- Candy też tak myślała?

- Ona była w niej zakochana.

Jack spojrzał na Silvia.

- Masz coś jeszcze?

- Parę spraw - Silvio zwrócił się do Traynora. - Czy John Traynor to twoje prawdziwe nazwisko?

- Tak.

- Masz jakąś rodzinę?

Traynor potrząsnął głową.

- Wszyscy nie żyją.

Drzwi patio rozsunęły się i Stella owinięta w pasie ręcznikiem, weszła do salonu.

- Chcę drinka.

Jej wielkie piersi podrygiwały, gdy przechodziła do baru.

- Skończyliśmy, poruczniku? - spytał Traynor.

- Na razie - odparł Jack i wyjąwszy wizytówkę rzucił ją na sofę. - Nie wyjeżdżaj z miasta bez zawiadomienia mnie.

- Jestem podejrzany?

- Jesteś świadkiem.

- Samobójstwa? - spytał zaskoczony Traynor.

- Po prostu daj mi znać, jak będziesz chciał wyjechać.

- Mam zaczynać film w San Francisco za dziesięć dni.

- Nie ma sprawy - powiedział Silvio. - Zawiadom tylko porucznika Rainesa, gdzie jesteś.

Ruszyli w kierunku schodów, gdy Jack zatrzymał się i odwrócił:

- Przy okazji, John, nie obrazisz się, jak ci zadam osobiste pytanie? Nie musisz odpowiadać. To nie ma związku ze sprawą.

- Co takiego?

- Ten twój wielki ogon. Przywiązujesz go do nogi, czy zawijasz pod dupę?

Stella za barem zachichotała głośno.

- Owija się nim jak pasem.

Traynor zgasił ją wzrokiem, po czym spojrzał na Jacka.

- Dlaczego nie zapytasz Karen Dara?

Jacka ogarnęła wściekłość. Ruszył w kierunku Traynora, ale Silvio przytrzymał go.

- Chodźmy!

\*

Zjeżdżali stromą szosą w dół. Silvio ostrożnie brał zakręty.

- Nie wiem, dlaczego ten wazeliniarz tak mnie ruszył - powiedział Jack.

- Może to od oglądania filmu z członkiem Traynora w ustach Candy?

Jack wyglądał chwilę przez okno, po czym westchnął.

- Cholera, co ja powiem jej ojcu? Panie Langley, poczynania pańskiej córki skupione były na pornografii i wchłanianiu kokainy...

- Candy nie jest wyjątkiem - odparł Silvio. - Cale nowe pokolenie amerykańskich dzieci wyrasta w uzależnieniu. Torres mówił mi, że niemowlaki rodzą się już z obumarłymi komórkami mózgowymi, smażone na kokainie przyjmowanej przez matki.

- Zastanawiam się, czy my po prostu nie sikamy pod wiatr - mruknął posępnie Jack.

- Jeśli uratujemy choćby jednego dzieciaka, to warto.

Wyjechali z szerokiego zakrętu, dostrzegając w dole dachy samochodów, sunących wzdłuż Sunset Boulevard. Odbijało się w nich słońce.

- Pomyśl sam - ciągnął Silvio. - Spędziłeś rok w Wietnamie, w wywiadzie. Zrobiłeś coś dobrego?

Jack milczał przez chwilę i odpowiedział zamyślony:

- Uratowałem jedną staruszkę. Byłem przydzielony do Południowokoreańskiej Dywizji Tygrysów. Chcieli zabić tę kobietę. Przekonałem ich, żeby ją puścili. To był mój wkład. W zamian miałem nadwerężone bębny w uszach.

- Od czego?

- Utknąłem w górach z jednostką artylerii, na trzy dni. Od tego przekłętego huku haubic sto pięćdziesiątek piątek rozpadał się świat. Nigdy tego nie zapomnę.

- Ale zdołałeś uratować jedną staruszkę.

- Yhm.

- No, a teraz jesteś na innej wojnie. Ale cel jest ten sam. Jeśli możemy uratować jedno życie, to warto powalczyć.

## Rozdział 17

Siedzibę operacyjną zespołu NIFTY stanowiło wielkie prostokątne pomieszczenie pozbawione okien. Był to dawny magazyn akt, pośpiesznie przystosowany do obecnych celów, bez troski o ludzką wygodę. Wentylatory miały stojące powietrze, a ostre światło jarzeniówek było przyczyną częstych wizyt pracowników u okulisty w klinice policyjnej Jack szedł wzdłuż szeregu małych biurowych klitek, nie zwracając uwagi na hałas stukających maszyn do pisania i rozdzwonionych telefonów. Zatrzymał się przed kantorkiem, gdzie sierżant Brody wystukiwał na przedpotopowym Remingtonie raport.

- Masz coś dla mnie, Phil?

- Sprawdzam ekipę techniczną tego filmu z Candy.

- No i jak?

- Po robocie poszli do knajpy, ale jeszcze z nimi nie skończyłem - Brody przerwał, Gdzie jest Silvio?

- Przestłuchuje Lisę Chang.

- A dlaczego nie ja?

- Jesteś za bardzo wścibski. To przez twoją nadpobudliwość seksualną.



- Ostatni raz miałem erekcję, jak na Brooklynie tańczyło się jeszcze twista.
- Mówiłeś, że z Hunnicutt ci zadziało.
- Ona jest superbabą, to się nie liczy. Czeka na ciebie Torres. Wrócił z lodówki, ma już wyniki sekcji.
- Jak odzyska kontrolę nad swoimi kiszki, przyślij go do mnie.
- Chcesz powiedzieć, jeżeli odzyska kontrolę - odparł Brody i nalał z termosu kawy w papierowy kubek. - Za chwilę będzie tu William Langley - dodał.
- Dzięki, Phil.
- Widziałem dziś rano w telewizji Glorię Hunnicutt - Brody uśmiechnął się. Musiałeś pomacać ją nie w tym miejscu. Powinieneś podrzucić jej trochę informacji. Od siebie ci powiem, że ta dama potrafi...
- Wiem - przerwał Jack - potrafi wydoić nawet buhaja.
- Dobrze się czujesz?
- Świetnie.
- Jak tam Jenny?
- Wspaniale.
- Jesteś jakiś zmarnowany.
- To pogoda.

Jack zapalił światło w swoim biurze i rzucił marynarkę na wykoślawioną kanapę. Całe umeblowanie było zużyte, wypłowiałe i źle dobrane, ale wentylator działał, wielkie okno zapewniało widok na Wilshire Boulevard, a nawet, podczas rzadko zdarzającego się dnia bez smogu, na góry Bernardino.

Jedyną dekorację bladozielonych ścian stanowił portret rasowego konia, wbiegającego na celownik. Na biurku, obok butelki irlandzkiej whisky, stała oprawiona w ramki fotografia Jenny.

Usiadł na krześle, chwycił butelkę i pociągnął z niej duży łyk. Następnie otworzył

tekturową teczkę z napisem „Candy Lane” i odfajkował nazwiska: Sidney Davis, Pedro Cisneros, Angelo Maffatore, Leo Whelan, Karen Dara, Stella Pierson, John Traynor, Lisa Chang.

W zwięzłej, wystukanej na maszynie notatce podkreślił trzy pytania: „70-procentowa koka? Brakujące pięć tysięcy? Reguła Sziwy?”

Zamknął akta i wykręcił numer Sidneya Davisa. Odezwał się miły kobiecy głos, który poinformował go, że pan Davis wyjechał z miasta. Jack podał swój telefon, odłożył

słuchawkę i rozgniół cygaretkę w popielniczce z napisem „Palace Hotel - Barcelona”. Była to pamiątka z dawno minionych wakacji w Hiszpanii, spędzonych z Jenny i Laurą.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Gabriel Torres. Twarz miał bladą jak kreda, a jego oczy otoczone były ciemnoniebieskimi sińcami. W jednej ręce trzymał tekturową teczkę, w drugiej wygasły niedopałek cygara.

- Jestem bardzo chory, *amigo*.

- Tylko nie pierdź tutaj. Dzisiaj bym tego nie zniósł.

- Ach, *compadre*. Kiedy puszcza żołądek, puszczają i dobre maniery.

- Mając ciebie i Nolana mógłbym otworzyć gazownię. Strzel sobie irlandzkiej, zniszczenie wrogich bakterii gwarantowane.

- Jestem gotów spróbować wszystkiego.

Jack nalał mu solidnego kielicha.

- *Salud* - rzucił Torres.

Wypił, skrzywił się i pogładził brzuch.

- *Madre de Dios*, ale to mocne.

- Dlatego najlepsze.

Torres położył na biurku teczkę.

- Trzystronicowy opis wyników sekcji zwłok Candy Lane. Ale mogę ci zaoszczędzić kłopotu czytania po łacinie. - Torres opadł na sofę i jęknął. - Jezu, te sprężyny to morderstwo.

Gorsze od zapalenia jelit.

- Nolan obiecał mi nowe meble w nagrodę.

- Za co?

- Za pierwszy przechwycony „znaczny przerzut”, jak on to nazywa.

- W takim razie lepiej spraw sobie nową dupę albo spal tego grata.

- No dobra, co tam mamy, Gabby?

- Mamy denatę płci żeńskiej, rasy indoeuropejskiej, w wieku około 19 lat.

Nieboszczka ma pojedynczą ranę postrzałową z rewolweru, po prawej stronie głowy, tuż powyżej skroni. Otoczenie rany oblepione jest spalonym prochem. Fragmenty kuli osadzone są w tkance mózgowej za kością skrzydłową, powyżej namiotu mózdzku.

- Gadaj po ludzku.

- Okay. Kula szła ukośnie, powodując ciężki uraz głowy i, w rezultacie, natychmiastową śmierć. Użyta broń zidentyfikowana została jako automatyczna Beretta kaliber dwadzieścia pięć. Na rękojeści i na spuście stwierdzono odciski palców denatki.

Wystrzelona łuska odpowiada tym, które sprawdzono podczas testów. Brak śladów nasienia.

Stwierdzono natomiast obecność wydzieliny pochwowej i żeńskiej śliny.

- Czyli co?

- Podczas wieczoru przed śmiercią denatka była obiektem miłości lesbijskiej.

- To widać na filmie - powiedział Jack. - A co z odciskami?

- Żaden z odcisków pobranych w domu w Malibu nie znajduje się w aktach kryminalistyki w Los Angeles, a komputer w Sacramento oddał czysty wydruk.

Torres wstał i przypalił resztkę cygara.

- Poszarpane udo denatki było rezultatem ukąszeń psa. W jej oczach znaleźliśmy jajeczka much. Zgon nastąpił pomiędzy drugą a trzecią nad ranem w niedzielę.

Torres nalał sobie następną kolejkę irlandzkiej.

- Nie pogniewasz się?

- Pij.

Lekarz przechylił szklankę nie robiąc już grymasu.

- Nie najgorsza.

- Zasmakowałeś? Masz coś jeszcze?

- Testy toksykologiczne wskazują, że denatka przyjęła dużą dawkę kokainy. Ilość oraz stężenie narkotyku mogły prowadzić do anormalnego zachowania.

- Takiego jak zabicie się?

- Nie potrafię stwierdzić, że to koka, ale depresje przeżywane przez silnie uzależnionych bywają

bardzo głębokie.

- Wydałeś ciało?

Torres przytaknął.

- Jej ojcu, dziś rano.

- Więc oficjalnie zostajemy przy samobójstwie.

- Z punktu widzenia medycyny sądowej tak. Ale brakuje nam pięciu tysięcy dolarów i martwi mnie ta walentynka.

- Dlaczego?

- Jeżeli nie narysowała jej Candy, to może to być podpis wielokrotnego mordercy.

- Nie mamy więcej zabójstw.

- Jeszcze nie, *amigo*. Takie dziwne znaki w pobliżu trupa zwykle wskazują na obłąkanych morderców.

Drzwi otworzyły się i do środka wetknął głowę sierżant Brody.

- Mam tu Williama Langleya.

- Daj mi jeszcze chwilę, Phil.

- Okay.

- Wynoszę się - powiedział Torres. - Nie chcę więcej spotykać tego człowieka.

Oszczędź mu szczegółów, Jack. Jakie to teraz, cholera, ma znaczenie.

- Jasne. Dzięki, Gabby.

- *Por nada.*

Jack podszedł do okna i spoglądając na mrowie przechodniów na Wilshire Boulevard zastanawiał się, co ma powiedzieć ojcu Candy. Panie Langley, pańska córka cierpiała z powodu erotycznych powikłań, kłopotów rodzinnych, kobiecej fizjologii, wielkiego świata, kokainy i fałszywej filozofii wschodu. Była uciekiniarką z mieszczańskiej klasy średniaków, która usiłowała schronić się w zapomnieniu.

- Porucznik Raines?

Jack odwrócił się i spostrzegł mężczyznę w średnim wieku, którego przystojną twarz odmieniały smutne, poszarzałe oczy.

- Ja... ja wiem, że pan jest zajęty - wyjąkał Langley. - Jeśli panu przeszkadzam, to ja...

- Wcale nie - Jack wskazał mu krzesło. - Proszę usiąść, panie Langley.

- Dziękuję.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, po czym Langley zaczął, zacinając się:

- Ona była ślicznym dzieckiem, zawsze posłusznym... roztropnym. Kiedy umarła jej matka, ja... ja starałem się... - potrząsnął głową. - Ja... - załamał mu się głos.

- Panie Langley, nie musi mi pan tego opowiadać. Sam jestem wdowcem. Mam córkę, która kończy teraz siedemnaście lat.

- Tak. Przepraszam. Nie chcę zabierać panu czasu.

Opanował się wreszcie i zapytał:

- Czy może pan opowiedzieć mi o okolicznościach śmierci Candy?

- Pańska córka zmarła na skutek zadanej sobie rany postrzałowej. W czasie poprzedzającym jej śmierć przyjęła dużą dawkę kokainy, która mogła spowodować w niej stan depresyjny. - Pomiął sprawy seksualne i ukąszenie psa. - Biegły lekarz medycyny sądowej ustalił chwilę zgonu między drugą a trzecią nad ranem w niedzielę.

- Pracowała tamtego wieczoru?

Jack poczuł się nagle w potrzasku. Miał ochotę krzyknąć, wybić pięścią okno, wepchnąć Langleya w płataninę samooskarżeń. Zamiast tego spokojnie odparł:

- Tak, pracowała w sobotę wieczór.

- Candy mówiła mi, że zdecydowała się nie grać już nigdy więcej w filmach porno. -

Langley przerwał, biorąc głęboki oddech. - Nie przypuszczam, aby znał pan jej ostatni film?

- Nie - skłamał Jack.

Langley spojrzał na niego uważnie.

- Nie znalazł pan żadnego dowodu jakiegś... nieczystej gry?

- Zawsze istnieje taka ewentualność, ale tu jest wysoce nieprawdopodobna. Jesteśmy w trakcie przesłuchiwania jej znajomych, ale jak dotąd, nikt z nich nie miał wyraźnego powodu, aby szkodzić pańskiej córce.

- Skąd ona brała kokainę?

- Od handlarza - Jack wzruszył ramionami. - Od kolegi, od kochanka. Nietrudno to zdobyć, panie Langley - Jack przerwał. - Czy pańska córka miała broń?

Langley potrząsnął głową.

- Nie wiem. My... nie widywaliśmy się zbyt często. - W oczach zakręciły mu się łzy.

Wytał je wierzchem dłoni. Znaleźliście jakiś list, wiadomość, cokolwiek?

Jack otworzył szufladę biurka i wyjął małe, kartonowe pudełko wręczając je Langleyowi.

- Tu jest jej notes z telefonami, kilka listów, czeki i pamiętnik. Najbliższy takiej wiadomości jest wiersz między okładkami pamiętnika.

Langley otworzył pudełko, wyjął zeszyt i odnalazł małą kartkę papieru. Łzy popłynęły mu po policzkach, gdy czytał: *Roześmiana na rozkaz - celuloidowa/ fantazja,/ zagubiona w światłach,/ podążająca za snem, który/ nigdy się nie spełni.*

Umieściwszy arkusik z powrotem w pamiętniku, wyjął chusteczkę i otarł nią twarz.

- Przepraszam, poruczniku - podniósł się ciężko i dodał: - Był pan bardzo uprzejmy.

- Panie Langley, mówię to z własnego doświadczenia. Gdybym był na pana miejscu, zabrałbym drugą córkę i opuścił to miasto. Wyjedźcie stąd razem do Europy czy na Bliski Wschód. Niech pan da sobie szansę nabrania dystansu.

- Tak, tak. Muszę to zrobić - uścisnął podaną mu rękę. - Jeszcze raz dziękuję. - Ruszył

do drzwi, zatrzymał się i obejrzał.

- Dziwne, prawda?

- Co?

- Człowiek wie, co jest słuszne. Wierzy w pewne zasady. Ale z takiego czy innego powodu odsuwa je od siebie, a potem, gdy chce je na nowo odzyskać, jest już za późno i wie, że nigdy już nie będzie tak jak dawniej. - Odwrócił się zgnębiony i wyszedł.

Jack siedząc za biurkiem zapalał cygaretkę. Czuł się stary, zmęczony i bezsilny.

Odezwał się telefon. Może to Silvio dzwoni z mieszkania Lisy Chang? Sygnał powtórzył się trzykrotnie, zanim zdecydował się podnieść słuchawkę.

- Raines, słucham.

Dzwoni komendant Raul Alvarez z Manzanillo - zapowiedziała telefonistka.

- Połącz.

- Porucznik Raines?

- Tak. Jak się masz, Raul?

- W porządku. Słuchaj, rozpracowaliśmy ten tekst z taśmy, którą nam przysłałeś. Tu, w Manzanillo, jakiś frachtowiec z panamską banderą ładował towary skórzane. Statek nazywa się „Ave Maria”.

Jack poczuł przyspieszone bicie serca. Zaciągnął się mocno dymem i chwycił za pióro.

- Jesteś tam, *teniente*?

- Tak, jedź dalej.

- Jedna z naszych łodzi patrolowych śledziła ten statek przez sześć godzin. Z początku szedł na północ, a potem zmienił kurs na zachodni, w kierunku Hawajów. Byliśmy daleko od naszych wód terytorialnych, więc przerwaliśmy operację, ale to mogła być zmyłka.

Pomyślałem, że dam ci znać.

Dzięki, Raul. Zajmę się tym.

- Powodzenia, poruczniku.

Jack odłożył słuchawkę i sprawdził zapis z taśmy, przebiegając słowa Ave Maria, Gruba ryba. Manzanillo, ćwiartka, *alfombras*. Wcisnął guzik interkomu.

- Tak, poruczniku? - odezwała się telefonistka.

- Chcę mówić z szefem służby granicznej na Terminal Island. Zapowiedz, że z NIFTY, i że pilne.

Puścił przycisk i rozgniół cygaretkę w popielniczce. Jego przygnębienie złagodził

niewyraźny przebłysk nadziei. Telefon od Alvareza mógłby stać się przełomem - przełomem, którego zespół NIFTY rozpaczliwie potrzebował. Zniechęcenie powodowane niepowstrzymaną inwazją kokainową Kolumbijczyków demoralizowało, a zarówno on, jak i Silvio zbliżali się do granicy nerwowej wytrzymałości. Potrzebowali więcej niż zwycięstwa, potrzebowali zemsty. Zemsty za zamordowaną współpracowniczkę Silvia, Marię Vasconsuelos, za Candy, jej ojca, za jeszcze nie narodzone dzieci z mózgiami porażonymi narkotykiem. Ale na kim się mścić? Rafael Ordonez bezpiecznie zaszył się w dżungli. Na Davisie? Angelu Maffatore? Cisnerosie? Whelanie? A może Candy była dopiero początkiem?

Może Torres miał rację, że rysunek wskazuje na maniakalnego zabójcę, samozwańczego anioła zemsty, zdecydowanego wymieść aktorów porno?

Zadzwonił telefon i Jack pośpiesznie podniósł słuchawkę.

- Mam szefa amerykańskiej służby granicznej, Roberta Higbee.
- Dawaj go.
- Halo?
- Tak, mówi porucznik Jack Raines.
- Robert Higbee, służba graniczna. Co mogę dla pana zrobić, poruczniku?
- Czy może pan sprawdzić statki, które wpłynęły w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?
- Frachtowce, tankowce, turystyczne?
- Ten byłby towarowy, pod banderą panamską, o nazwie „Ave Maria”.
- Sprawdzę w Straży Przybrzeżnej i zadzwonię do pana.
- Chwileczkę, szefie. Potrzebuję jeszcze dodatkowych informacji.
- Tak?
- Jeżeli „Ave Maria” zawinęła do San Pedro, chcę mieć ich deklarację celną i adres przesyłki.
- Co jeszcze?
- Gdyby transport został rozładowany, potrzebna mi będzie nazwa, adres i telefon przedsiębiorstwa transportowego, które przyjęło ładunek.
- Jeżeli statek jest w porcie, będziemy to mieć na centralnym komputerze. Oddzwonię do pana.

Jack rzucił słuchawkę, wypadł z biura i wkroczył do sztabu operacyjnego NIFTY, przepychając się przez małe pokoiki do biurka Brody'ego. Śniady sierżant zajadał właśnie kanapkę z sałatką jarzynową, niemal równocześnie popijając kawę i paląc papierosa.

- Co jest? - wymamrotał ustami pełnymi żółtej papki.
- Chcę zorganizować interwencyjny oddział złożony z naszych ludzi: Fitzę, Spectera, Santoro oraz Heinza, i dać im psy do wykrywania koki od Mirella.
- Po co?
- Będę wiedział za parę minut.

Młoda kobieta w mundurze policyjnym zajrzała do kantorka.

- Poruczniku.



- Tak?

- Jest telefon ze Służby Granicznej.

- Powiedz Mary, żeby ich przytrzymała. Będę za chwilę.

Jack wrócił do biura, obszedł stół i podnosząc słuchawkę wcisnął migający guzik.

- Tu Raines.

- Higbee. Niech pan to lepiej zapisze.

- Proszę mówić.

- „Ave Maria” wpłynęła przed czasem i zacumowała przy nabrzeżu dzisiaj wczesnym rankiem. Transport został rozładowany, składa się z kawy kolumbijskiej, cukru boliwijskiego, meksykańskich wyrobów skórzanych i peruwiańskich dywanów.

Jack poczuł radosne podniecenie, które zawsze towarzyszyło przełomowi w jakiejś trudnej sprawie.

- Powiedział pan: peruwiańskich dywanów?

- Zgadza się. Osiemset sztuk, dla ścisłości.

Jack zerknął na tekst z taśmy i zakreślił słowo *alfombras*.

- Coś nie tak, poruczniku?

- Nie. Proszę mówić dalej.

- Wszystko jest przeznaczone dla Belgravia Imports na South Gate. Ładunek został

przejęty przez Harbor Trucking Transport, z siedzibą przy South Broadway 11047, telefon (213) 555-1136. - Higbee umilkł. - Coś jeszcze?

- Tak. Mam powody sądzić, że „Ave Maria” jest zamieszana w operację przerzutu narkotyków. W tych dywanach może być ukryta nieoczyszczona kokaina w formie pasty. Ale nie mogę być pewny. Wysyłam specjalną ekipę, aby wejść na statek, przeszukać go oraz przesłuchać kapitana i załogę.

- Radziłbym użyć służby granicznej i ludzi z posterunku w San Pedro - Higbee zrobił

pauzę. - Jak wynika z odczytu naszego komputera, „Ave Maria” ma wyjść w morze jutro o czwartej rano.

- To daje nam sporo czasu - odparł Jack.

- Tak, ale spora część załogi niewątpliwie zeszła na ląd.

- Przecież muszą wrócić, prawda?

- Zgadza się, poruczniku. Po prostu pomyślałem, że o tym wspomnę. Na osiemnastej przystani będzie na pańską ekipę oczekiwać oficer Straży Przybrzeżnej z uzbrojonym oddziałem.

- Moi ludzie zjawią się tam za godzinę - powiedział Jack. - Dziękuję za pomoc, panie Higbee.

- Zawsze do usług, poruczniku.

Rozłączył się i wykręcił numer Harbor Trucking. Odezwał się przesłodzony kobiecy głosik. Jack podał swoje nazwisko i poprosił kierownika.

- Mówi Charles Kowalski.

- Porucznik Jack Raines, sekcja narkotyków wydziału operacyjnego.

- Tak, moja sekretarka poinformowała mnie.

- Jest to sprawa wyjątkowej wagi dla policji, panie Kowalski.

- Postaram się pomóc jak tylko potrafię.

- Cieszę się. Czy dzisiaj rano któraś z pańskich ciężarówek przejęła ładunek ośmiuset dywanów peruwiańskich z osiemnastej przystani.

- Czy zna pan nazwę statku?

- Przepraszam. To była „Ave Maria”.

- Chwileczkę.

Otworzyły się drzwi i wszedł Silvio. Jack zakrył słuchawkę.

- Odpręż się i napij. Jesteśmy do przodu jak cholera.

- Z czym?

- Z „Ave Marią”.

- Poruczniku Raines?

Jack odsłonił słuchawkę.

- Tak?

- Jedna z naszych ciężarówek wzięła te dywany o 10.15 rano i dostarczyła je do Roma Fashions przy Los Angeles Street 1352.

Jack zanotował adres.

- To dziwne - rzekł. - Według deklaracji celnej, te dywany były przeznaczone dla Belgravia Imports na South Gate.

- To prawda, ale w deklaracji zaznaczone jest, że dywany mają być wyładowane w Roma Fashions.

- Czy to nie jest niecodzienne?

- W wypadku takich materiałów, nie. Importer często wymaga wykonania dodatkowych prac przed dostarczeniem towaru.

- Dziękuję panu, panie Kowalski.

- Mam nadzieję, że nie zrobiliśmy nic złego.

- Przeciwnie, bardzo nam pan pomógł.

- Cieszę się, poruczniku.

Jack wcisnął guzik interkomu i wykręcił dwie cyfry.

- Czego? - warknął Brody.

- Przystań osiemnasta, San Pedro. Ty i chłopcy spotkacie się tam z oddziałem Straży Przybrzeżnej. Wejdźcie na pokład statku „Ave Maria”, przeszukajcie go i przesłuchajcie kapitana z załogą.

- A czego mam szukać?

- Koki. Ale nie bądź rozczarowany, jak wrócisz na pusto. Może ja ją znajdę.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Silvia.

- „Ave Maria” to panamski statek. Te skurwysyny podesłały nam go pod samą dupę. -

Chwycił marynarkę. - Chodźmy.

- Dokąd?

- *Alfombras*, amigo. Cholerne *alfombras*.

Rozdział 18

Zaparkowali na rogu, mając po przekątnej boczne wejście do budynku przy Los Angeles Street. Samochód ubezpieczający, z dwoma ludźmi z NIFTY, ustawiony był na Seventh Street, naprzeciw wjazdu towarowego.

Roma Fashions zajmowała dwa najwyższe piętra fabryki z czerwonej cegły, z rozsypującą się fasadą.

Przypominała Jackowi relikty przeszłości ciągnące się wzdłuż Canal Street na dolnym Manhattanie.

Nolan, poinformowany szczegółowo o przełomie w sprawie „Ave Marii”, pośpiesznie odwołał wyznaczoną na 17.00 konferencję prasową. Wytrawny gracz natychmiast stwierdził, że będzie znacznie lepiej przyjęty, gdy ogłosi: wykrycie dużej ilości narkotyków, niż gdyby miał zajmować się wyłącznie trwającym wciąż dochodzeniem w sprawie śmierci Candy Lane.

W czasie jazdy z biura na Los Angeles Street Silvio relacjonował Jackowi swoją rozmowę z Lisą Chang. Jej zeznania szły śladem relacji kolegów. „Wszyscy kochaliśmy Candy. Po prostu straciła głowę - zaśnięzona i bezradna”. Lisa Chang otwarcie przyznała się do używania kokainy, potwierdzając, że ten narkotyk był zawsze dostępny na planie filmów Leo Whelana. Chińska aktorka zaprzeczyła, jakoby miała jakieś pretensje wobec Karen Dara, przeciwnie, to ona właśnie wprowadziła Karen do Reguły Sziwy.

Porzucili ten temat przyjechawszy pod fabrykę, gdzie od dwóch godzin przypatrywali się bramie budynku. Jedyne ożywienie zanotowali w czasie lunchu, kiedy wychodzili i wchodzili meksykańscy robotnicy. Z samochodu ubezpieczającego, skąd obserwowano wjazd towarowy, też nie było meldunku o jakimś niezwykłym poruszeniu. Brama z falistej blachy pozostawała zamknięta, ukrywając miejsce przeładunków.

Upalny wiatr, wpadając przez otwarte okna samochodu, wysuszał im gardła i drażnił oczy.

- A jednak myślę, że powinniśmy wejść na górę - powiedział Jack.

- W takich sprawach nie ma reguł - stwierdził Silvio. Ale ktokolwiek rządziłby Roma Fashions, to rozładunek i przegląd tych dywanów musiał być nadzorowany. W życiu nie uwierzą, że jesteśmy z Urzędu Imigracyjnego i szukamy Meksykanów, którzy przeprawili się przez Rio Grande. Narobimy tylko hałasu. Trzeba uderzyć wtedy, gdy zaczną przerabiać pastę.

- Jeżeli pasta została wszyta w te dywany.

- Musieli tak to zrobić - upierał się Silvio. - *Alfombras* z taśmy to właśnie to. Wydaje mi się, że robotnicy odrywają spody, wyciągają arkusze suchej pasty i z powrotem zaszywają.

Pytanie, gdzie zostanie zabrana pasta do rafinacji.

- Musi to być gdzieś w budynku - powiedział Jack. - Prawdopodobnie w piwnicy albo w jakimś pomieszczeniu za wjazdem towarowym.

- Zgoda. Ludzie szyjący na maszynach mogliby nie znieść smrodu siarkowodoru.

Jack zapalił cygaretkę i chwycił radiotelefon.

- Easy Red jeden do Easy Red dwa.

- Zgłasza się Stillwell.

- Jest coś?

- Nic. Brama ciągle zamknięta.

- Kto tam jest z tobą?

- Reisman.

- Daj go.

Nastąpiła krótka przerwa, po czym rozległ się młodociany głos:

- Tak, poruczniku?

- Robiłeś kiedykolwiek jakiś teatr?

- Przez trzy lata robiłem pana w konia.

Jack zerknął na Silvia.

- Dobry znak, gówniarz ma poczucie humoru.

- Co ty kombinujesz, do cholery? - zapytał podejrzliwie Silvio.

Jack nie zwracając uwagi na kolegę mówił dalej:

- Reisman?

- Tak.

- Sądzymy, że laboratorium może być gdzieś za tą bramą. Kapujesz?

- Tak, sir.

- W oknach mają prawdopodobnie punkty obserwacyjne na twoją stronę, więc musisz to zrobić przekonywająco. Zdejmij koszulę, wyjdź z samochodu, rozerwij ją i wytrzyj w tym syfie przy krawężniku. Nałóż sobie tego trochę na twarz, potem przejdź ulicę jak pijany, wejdź w obserwowany teren i odlej się pod ścianą. Długo zapinaj rozporek, potem wróć na drugą stronę do narożnika. Jak będziesz mijał Stillwella, daj mu znak, czy poczułeś zza bramy smród zgniłych jajek.

Rozumiem, poruczniku.

- Będziesz obserwowany, więc się nie zagrywaj. Jesteś kirus, szmata, wrak, a nie Hamlet.

- Tak, sir.

- My będziemy tam krążyć. A teraz daj Stillwella. Frank?

- No?

- Zostań na tej częstotliwości i nie wyłączaj się. Daj mi znać, jak Reisman będzie gotów.

- Dziesięć-cztery. Zrozumiałem.

Jack odłożył mikrofon na radiostację i podkręcił głośność. Rozległ się niski szum stałych zakłóceń.

- Nieźle *amigo* - uśmiechnął się Silvio.

- Może to nam załatwić parę spraw: umiejscowimy laboratorium i stwierdzimy, czy zaczęli już pierwszy etap rafinacji. Jak myślisz, ile śniegu może tu wchodzić w grę?

Silvio otarł krople potu z czoła.

- Powiedzmy półtora kilo wysuszonej pasty w każdym dywanie, co dałoby razem tysiąc dwieście. Muszą się z tym śpieszyć. Potrzebne są trzy etapy, żeby zamienić pastę w czystą kokainę. A jak to zrobią, to trzeba jeszcze podzielić i opakować. Zejdzie im cała noc.

Zatrzeszczało radio.

- Easy Red dwa do Easy Red jeden.

Jack chwycił mikrofon.

- No jak?

- Reisman przechodzi.

- Okay. Zostań na miejscu. Podjadę od Seventh Street.

- Dziesięć-cztery.

Jack włączył się w ruch uliczny, skręcił w lewo w Seventh, minął wjazd towarowy i zatrzymał się nieco dalej. Ustawił oba lusterka tak, aby odbijały postać rozchełstanego pijaczka, który, zataczając się, przechodził ulicą w stronę wjazdu.

- Mogę się założyć, że widzą go z górnych okien - stwierdził Silvio.

- Miejmy nadzieję, że kupią jego aktorstwo - odparł Jack.

Reisman wszedł w bramę, oparł się o ścianę i rozpiął rozporek.

- Easy Red jeden.

Silvio podniósł mikrofon.

- Mów Frank.

- Mam Reimana w lornetce. Chłopak właśnie sika.

- Widzimy go w lusterkach. Jak go nie zabiją, damy mu nominację do Oscara.

Karbowane stalowe drzwi zaklekotały nagle, podnosząc się w górę i odkryły widok otwartego magazynu, zakończonego ścianą kotłowni.

Reisman nie spojrział w górę ani nie zareagował na przytłaczający odór zepsutych jaj.

Na wjeździe stali dwaj ciemnoskórzy mężczyźni w koszulach, spoglądali na sikającego pod ścianą pijaka. Reisman skrzywił się w mętym uśmiechu. Jeden z mężczyzn skinął głową na potężnie zbudowanego kompana, a ten ruszył ku zapinającemu rozporek Reismanowi. Reisman skrzywił się i wybełkotał:

- Dasz centa?

Mężczyzna chwycił Reimana, zarzucił nim i wypchnął na chodnik.

- Wypierdalaj stąd, tremensie.

- Co się tak szarpiesz? Wystarczy kulturalnie powiedzieć - wymamrotał Reisman.

Młody detektyw potoczył się zygzakiem przez ulicę, mijając stojący samochód Stillwella.

Jack uruchomił Pontiaca, podjechał do rogu, skręcił w lewo i wjechał z powrotem w Los Angeles Street, parkując jeszcze raz po przekątnej od wejścia do budynku.

Zatrzeszczało radio.

- Easy dwa do Easy jeden.

- Easy jeden. Odbiór.

- Zgnite jaja.

- Dziesięć-cztery - Jack odwrócił się do Silvio. - Miałeś rację, gotują pastę gdzieś w tym magazynie.

- Easy jeden - z głośnika dobiegł znów głos Stillwella.

- Co jest, Easy dwa?

- Trzech dalszych facetów wyszło na wjazd, zdaje się, że to ładowacze. Ten wielki gość, co wyrzucił Reimana, stoi na ulicy, rozgląda się - Stillwell milczał chwilę. - No i jest.

- Co, Frank?

- Ciężarówka pomalowana jak samochód pocztowy. Zatrzymała się przed wjazdem.

Ten olbrzym kiwa jej, naprowadzając na bramę.

Silvio chwycił Jacka za rękę.

- Powiedz im, żeby rozpoznali pojemniki, które będą rozładowywać.

- Rozpoznajcie dostarczany towar najdokładniej jak się da - Jack powtórzył do mikrofonu.

- Okay.

Przez kilka minut słychać było tylko szum i trzaski.

- Wygląda to na czterolitrowe metalowe pojemniki - doniósł Stillwell.

- Eter - stwierdził Silvio.

- I butelki z przezroczystym płynem. Litrowe butelki.

- Aceton i nafta - skomentował Silvio. - Powiedz im, żeby stamtąd wypieprzali.

- Frank?

- No?

- Zgarnij Reisma na przy Ninth i Hill Street. Przekaż mu moje gratulacje i wracajcie do Operacyjnego.

- Dziesięć-cztery.

- Ostatni etap jest skomplikowany i niebezpieczny. Z eterem nie ma żartów -

powiedział Silvio. - Dlatego przywieźli go z zewnątrz. Tego cholerstwa się nie przechowuje.

Aceton i eter usuwają zanieczyszczenia, potem osusza się papkę pod gorącymi lampami i kruszy na ciasteczka stu procentowo czystej, śmiertelnej koki.

- Co proponujesz? - zapytał Jack.

- Uderzymy o pierwszej, drugiej w nocy. Będą na ostatnim etapie - zmęczeni i skołowani tym eterem. Otoczymy budynek. Brygada specjalna i wóz pancerny. Wyłamujemy bramę i załatwiamy ich. Kamizelki kuloodporne i broń automatyczna. Mogą mieć jakąś obstawę na górze, w tamtych oknach. To musi być zorganizowane. Światła, gaz, granaty ogłuszające, wszystko. To jest duży skok.

- Jak duży?

- 1200 kilogramów pasty daje ci jakieś pięćset kilo czystej koki. Jak rozrzedzisz to do dwudziestu procent, będziesz mógł obejrzeć sobie śnieg detalicznej wartości trzystu milionów



dolarów.

- O rany...

- Zrobili idiotyczne posunięcie, wiedząc, że mieli ogon, a jednak wpłynęli do San Pedro.

- A co z facetem, który kieruje tą szwalnią?

- Daj spokój. Muszą mieć ustaloną sygnalizację z ekipą w laboratorium. Jeżeli zwiniemy kierownika, stracimy łup. Wysadzą urządzenia w powietrze, a całą sprawę będziemy mogli tylko powspominać. Kierownik fabryki dostaje w łapę. Możemy go wziąć kiedy indziej. - Oczy błysnęły mu groźnie, gdy dodawał: - My szukamy *coqueros*.

Jack chwycił mikrofon.

- Easy Red jeden do Easy Red dwa.

- Tu Easy Red dwa.

- Zmieniam ostatnie polecenie. Zawróćcie na Los Angeles Street. Obserwować wejście do budynku. Ktokolwiek stamtąd wyjdzie, poza meksykańskimi robotnikami, ma być śledzony.

- Dziesięć-cztery.

- Niezły pomysł - rzucił Silvio.

Jack uruchomił silnik, zasunął szyby, włączył wentylację i zjechał z chodnika. Skręcili na lewo w Seventh i przejechali pod autostradą do Harbor.

- Czy ten skok zdemaskuje Pepe? - zapytał Jack.

- Nie sądzę. Każdy mógł podsłuchać rozmowę Julito i Ramona.

- Ślad do „Ave Marii” nie musiał koniecznie prowadzić od Pepe.

- Jestem pewny, że operacja taka jak ta musiała być kierowana przez Pedra Cisnerosa.

Może nawet był na „Ave Marii”, co oznaczałoby, że wie o cynku dla meksykańskiej straży przybrzeżnej.

- Ale to jeszcze nie prowadzi bezpośrednio do Pepe. Cisneros uzna, że ktoś był

nieostrożny, ale nie może mieć pewności, że był donos.

Jack zatrzymał się przed światłami Sixth i Wilshire.

- Jak myślisz, dlaczego Pepe dał nam tę taśmę?

- Muszę ci zaufać, Jack - westchnął Silvio. - Pepe pracuje dla obu stron. Dostaje duży przydział do handlu, a jak Ordonez go przyciśnie, poprosi nas, żebyśmy zajęli się nim w ramach programu ochrony świadków. Wszystko co ma do zrobienia to chodzić po linie przez rok czy dwa i będzie miał to załatwione.

Skręcili w Wilshire jadąc na zachód, w zmierzchające, ciemnoczerwone słońce.

- Przypuśćmy, że się mylisz. Przypuśćmy, że Pepe jest spalony?

- To jest gra - Silvio wzruszył ramionami.

## Rozdział 19

U szczytu świątyni Sziwy, zbudowanej w kształcie piramidy jaśniało tajemniczo rubinowe oko. Oświetlona księżycem budowla usytuowana była na zboczu wzgórza ponad Zuma Beach. W jej otoczeniu stały tu i ówdzie drewniane domki oraz płócienne namioty.

Cały teren ogradzał podłączony do prądu płot z drutu kolczastego.

We wnętrzu obszernego namiotu Karen Dara, Lisa Chang oraz guru Meli-Ramdas siedzieli wokół okrągłego stolika. Mieli na sobie białe, bawełniane płaszcze i trzymali się za ręce. W latarni z czerwonego szkła tliło się wonne kadzidło, rzucając na ściany namiotu złowieszcze cienie. Za plecami wiernych, ponad dwumetrowej wysokości wieloręka statua Sziwy, o szklanych oczach w kolorze rubinu, przyglądała się obrzędom.

Do namiotu weszła kobieta w purpurowej szacie i położyła na stoliku zapaloną fajkę o długim cybuchu. Była w niej mieszanka marihuany i opium. Meli-Ramdas wciągnął głęboko gorzki dym i podał fajkę Karen Dara. Ta, zaciągnąwszy się, podała ją z kolei Lisie Chang.

Kontynuowali tę procedurę milcząco i w skupieniu, aż do chwili, gdy w lulce pozostał tylko okruch popiołu.

Karen czuła się jakby jej mózg odpływał w przestworza.

Guru rzekł:

- Módlmy się, abyśmy mogli nawiązać duchowy kontakt z naszą siostrą, która odeszła.

Klasnęli w dłonie, pochylili głowy i zaczęli nucić w esperanto:

- *Akcepti morto kaj audi.*

Gdy powtarzali słowa *unisono*, podmuchy wiatru wpadały świszcząc do namiotu.

Karen straciła poczucie czasu, przestrzeni i kształtu. Stół wydawał się wznosić. Wiatr nagle ucichł. Zgasło kadzidło. Głos Candy Lane rozbrzmiewał gdzieś z ciemności i odbijał się echem w namiocie.

- Kaaaaareeenmn...

Karen poczuła jak cierpnie jej skóra na ramionach. Spojrzała w rozjarzone, czerwone oczy Sziwy. Guru i Lisa Chang chwycili Karen za ręce, nadal pochylając głowy.

- Kaaaaareeenmn... - zawodził głos.

Brązowe ramiona Sziwy zdawały się kręcić i falować jak kończyny bezgłowego gada, a blask rubinowych oczu posągu potężniał.

- Pomścij mnieeeee... - niosło echo - jeżeli mnie kochasz, pomścij mnieeeee - głos uleciał w przestworza.

Dłonie Karen płonęły, a jej ciało oblane było potem. Czuła gwałtowne bicie serca i zdawało się jej, że odgłos ten wypełnia cały namiot, niczym głuche dudnienie bębnow.

Rubinowe oczy bogini utraciły swą poświatę. Ustało kołysanie stolika.

- Nadszedł czas dziękczynienia - rzekł guru.

Uklękli przy ołtarzu wyścielonym aksamitem przed wieloramienną boginią z brązu i zaczęli nucić mantrę w esperanto: *Hajlo Sziwa*.

Powtarzali te słowa powolnym rytmem.

\*

Karen jechała swym Cadillakiem Coup de Ville na południe Autostradą Wybrzeża Pacyfiku. Wciąż była oszołomiona opium i przejęta efektem halucynacji w czasie seansu.

Samochody mijaly się z wielką szybkością na niebezpiecznie nieoddzielonych pasach przeciwnych kierunków jazdy. Karen zjechała właśnie na pas przyległy do linii ruchu aut nadjeżdżających z północy. Uznała to za lepsze od jazdy po zewnętrznej stronie, na którą wjeżdżały samochody z zaułków, centrów sklepowych i benzynowych stacji. Odwróciła wsteczne lusterko przyciemnioną stroną, ale bijące daleko reflektory nadjeżdżających aut raziły ją w dalszym ciągu, niemal oślepiając. Spojrzała na prawo i zjechała na wolny pas.

Myślała o głosie Candy, żądającym zemsty. Pomimo jej gotowości do przyjmowania tego seansu jako świętego objawienia, Karen zdawała sobie sprawę, że narkotyczna mieszanka używana podczas obrzędu zakłócała pracę umysłu. Głos Candy mógł być wyobrażony, nawet spreparowany. A jednak wewnątrz istotnie czuła obecność wzywającej ją Candy i powinna poszukać jakiegoś sposobu, aby przynieść ukojenie niespokojnej duszy zmarłej dziewczyny.

Światła nadjeżdżających aut błyskały w przelocie jak ogniste płomienie. Oderwała lewą rękę od kierownicy i przycisnęła kilka guzików na desce kontrolnej. Szyby zsunęły się w dół i do wnętrza wpadł wiatr, mierzwiąc jej jasne włosy. Nastawiła radio na krótkie fale, trafiając na melodię przeboju z musicalu „Evita”. Przez chwilę myślała o tym glinie ze smutnymi brązowymi oczyma.

Bawiła się nim, podrywając go i badając jednocześnie. Być może nieco go zauroczyła, ale był przy tym cholernie spostrzegawczy. Zauważył, że nienawidziła siebie. Raines... Jack Raines... Do uwiedzenia? Przypuszczalnie. Ale dlaczego łamie sobie tym głowę? Być może chciałaby wymazać wyobrażenie, jakie powziął o niej widząc ją na ekranie.

Czarny Buick, który wyprzedzał ją pośpiesznie, zwolnił sunąc równolegle do niej pasem szybkiego ruchu. Starła się rozpoznać kierowcę, lecz jego twarz pozostawała ciemnym konturem. Serce zaczęło jej łomotać, gdy Buick zwolnił skręcając gwałtownie na jej pas i zajął pozycję tuż za nią, nieomal dotykając przednim zderzakiem jej samochodu.

Docisnęła pedał gazu. Czerwona strzałka szybkościomierza drgnęła raptownie.

Buick nie odrywał się, rażąc ją długimi światłami reflektorów. Jej dłonie stały się wilgotne, gdy kurczowo schwyciła kierownicę i przycisnęła gaz do deski. Buick przyspieszył

również, jadąc za Cadillakiem 140 kilometrów na godzinę. Z przerażeniem rozwarła oczy, zauważywszy tuż przed sobą tylne światła rozklekotanej furgonetki. Szarpnęła kierownicą wpadając na lewy pas.

Buick podążył za nią.

W jej głowie kotłowało się. Rewolwer kalibru 38 leżał w podręcznym schowku, lecz jej jedyną szansą było wydostanie się cało z autostrady. Docisnęła gaz do deski, włączyła turboładowanie i wjechała raptownie na prawy pas. Szybkościomierz wskazywał 160

kilometrów na godzinę.

Zaskoczony jej nagłym manewrem, kierowca Buicka został w tyle, uwięziony na zewnętrznym pasie. Karen zauważyła, jak światła na skrzyżowaniu w Malibu zmieniają się z zielonych na pomarańczowe. Nadepnęła na hamulec i skręciła ostro w prawo. Z piskiem opon, w dymie topiącej się gumy, Cadillac wpadł na drogę od strony plaży. Rozłożyste auto uderzyło z wielką siłą w wejście do handlowego pasażu i zatoczywszy szeroki luk wbiło się w rząd ruchomych straganów. Oparcie i pasy zatrzymały ją na siedzeniu.

Oblana potem, z trudnością łapała oddech. Targ był nieczynny i wśród pozamykanych sklepików nie było żywej duszy. Odpięła pasy i otworzyła schowek. Chwyciwszy broń odbezpieczyła ją. Wsiadła i rozejrzała się, oddychając głęboko morskim wiatrem, po czym powoli podeszła ku masce samochodu. Zderzak był mocno powyginany, ale krata i chłodnica wyglądały na nienaruszone. Połamane stragany zadziały jak poduszka.

Wsiadła z powrotem do samochodu, włączyła zapłon, zasunęła szyby i zatrzasnęła drzwi. Otworzyła torebkę, umieszczając ją obok siebie. Mogła w ten sposób widzieć lśniąca lufę rewolweru. Wrzuciła wsteczny bieg i zawróciła, kierując się z powrotem na autostradę.

Teraz miała istotny powód, aby spotkać się z porucznikiem Rainesem; ktoś usiłował ją zabić.

Na ustalone wcześniej pozycje ataku podjechali sprawnie i cicho. Uzbrojony po zęby oddział komandosów w czarnych uniformach został rozmieszczony po obu stronach wjazdu towarowego, u wylotu którego stanął pojazd opancerzony w kształcie wielkiego owada, wyposażony w wystający zderzak z hartowanej stali. Bezpośrednio za wozem bojowym umieszczona została ruchoma platforma z sześcioma węglowo-łukowymi reflektorami. Auta policyjne, furgonetki komandosów i dwa ambulanse zaparkowały przy północnym narożniku Seventh Street.

Spoceni Jack i Silvio stali za samochodem dowodzenia, paląc papierosy. Zza bramy wydobywał się na ulicę drażniący, szpitalny zapach eteru.

Jack trzymał w ręku mikrofon, od którego biegł długi kabel do aparatury odbiorczo-nadawczej w samochodzie.

Silvio spojrzął na zegarek. Rozjarzone cyferki wskazywały 1.15.

Nagle ożyło radio:

- Baza Easy Red. Baza Easy Red.

Jack wcisnął guzik w mikrofonie.

- Tu Easy Red. Mów, centrala.

- Mamy dla was sierżanta Brody'ego.

- Dawaj go.

Silvio przysunął się bliżej, aby lepiej słyszeć rozmowę.

- Masz dla mnie chwilę? - spytał Brody.

- Streszczaj się - odparł Jack.

- Przeszukaliśmy tę łajbę z powietrzem. Żadnej koki, trawy, niczego. Przesłuchaliśmy kapitana i załogę. Nic. Ale Stillwell i Reisman poszli za facetem, który wyszedł z fabryki.

Biały, wysoki, siwe włosy i broda, niebieskie oczy. Wziął taryfę do San Pedro i przedstawił paszport oraz papiery marynarskie do kontroli granicznej.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzał wejść na pokład „Ave Marii” jako członek powracającej załogi?

- Yhm. Jako członek załogi, który opuścił statek dziś rano z dwudziestoczwierogodzinną marynarską wizą pobytową. Nazywa się Pablo Escobar.

- Gdzie jest teraz?

- Zwinęliśmy go.

- Dzięki, Phil. Jeszcze coś?

- Yhm. Pilnuj dupy i nie bądź bohater. Dziesięć-cztery.

- Dziesięć-cztery. - odpowiedział Jack i przewiesił mikrofon na drzwiach samochodu.

Silvio stwierdził:

- Dolara za dziesiątkę, że Escobar, który zszedł dziś rano z „Ave Marii” to Pedro Cisneros.

Podszedł do nich dowódca komandosów z karabinem M-16. Twarz miał poczernioną sadzą.

- Zlustrowaliśmy okna lornetkami podczerwonymi. Żadnego ruchu. Jesteśmy gotowi.

Jack skinął głową i chwyciwszy mikrofon połączył się z oddziałem NIFTY

rozlokowanym przy wejściu do budynku od Los Angeles Street.

- Wchodzimy, Larry.

- W porządku, poruczniku.

- Wy, chłopcy, zostajecie na pozycjach. Bez względu na to, jak tutaj będzie szło, nie odchodźcie od wejścia.

- Zrozumiałem. Dziesięć-cztery.

Jack wcisnął guzik w mikrofonie.

- Wóz, zgłoś się.

- Zgłasza się wóz.

- Jesteście gotowi?

- Czekamy na znak.

- Dostaniecie komendę od dowódcy komandosów.

- W porządku. Dziesięć-cztery...

Jack odwrócił się do dowódcy.

- Kolej na pana.

- Okay. Moi chłopcy wbiegną zaraz, jak wóz rozwali bramę, i wrzucimy granaty ogłuszające. Mogą

odpowiedzieć ogniem, ale światła i granaty powinny dać nam przewagę.

Dalej, według pańskich informacji, na końcu magazynu jest ściana kotłowni.

- Stwierdziliśmy to dziś po południu - odparł Jack.

- Okay, rozwalimy ją i...

- I wejdziecie w śnieg po samą dupę - przerwał Silvio.

- Miejmy nadzieję.

W przymrużonych oczach dowódcy błyszczał ślad szaleństwa. Takie samo przerażające podniecenie widział Jack na twarzach nieszczęsnych żołnierzy wyznaczonych do nocnego patrolu okolicy, gdzie dżungla należała do Vietkongu.

- Chodźmy - rzucił Jack.

- Pan nie - powstrzymał go dowódca.

- On ma rację - wtrącił się Silvio. - To ich robota. Nolan kazał nam się trzymać z boku.

- Wasz szef wie co mówi - powiedział dowódca. - Nie macie kamizelek, broni automatycznej ani treningu. Będziecie tylko przeszkadzać.

- Bywałem już w hałaśliwych miejscach, kapitanie.

- Być może, ale ja tutaj odpowiadam i nie chcę, żeby któryś z moich chłopaków zarobił ratując pańską dupę.

Silvio położył rękę na ramieniu Jacka.

- Niech to otworzą. Wejdziemy za nimi.

Jack przygryzł wargę, hamując emocje. Zaciągnął się niedopałkiem cygaretki i odrzucił go.

- Okay - zgodził się.

Dowódca komandosów odpiął od pasa krótkofalówkę i powiedział coś krótko obsłudze reflektorów, po czym zniknął jak cień.

Pojawił się na wjeździe do bramy i włączył silną latarkę. Błysnęła dwa razy.

Sześć łukowych reflektorów zapaliło się, znakomicie oświetlając teren ataku. Rząd tych lamp mógł oślepić każdego, kto znalazłby się w ich zasięgu po drugiej stronie stalowej bramy. Latarka dowódcy błysnęła jeszcze raz. Ryknął 350-konny silnik diesla w wozie pancernym. Owadzi pojazd ruszył naprzód, wypuszczając z rury wydechowej chmurę niebiesko-czarnego dymu, który uniósł się w górę,

w snopy świateł. Komandosi wypadli z za pojazdu, gdy ten, sunąc ciężko, wjechał na podjazd i uderzył w stalową bramę. Wdzierając się do środka pozostawił w niej wielki otwór. Komandosi ruszyli w głąb, rzucając granaty ogłuszające. Huk żółtych eksplozji był przerażający. Jack i Silvio wbiegli za komandosami na teren magazynu i zauważyli trzech uzbrojonych mężczyzn stojących bez ruchu. Opierali się rzędem o ścianę kotłowni sparaliżowani wstrząsem wybuchów i oślepieni blaskiem reflektorów.

Dowódca komandosów wrzasnął:

- Rzucić broń, i niech który spróbuje zamrugać!

Pistolety stuknęły o ziemię. Komandosi pochwycili ich, zginając twarzami w dół i skuli im ręce na plecach. Dowódca dał znak wozowi pancernemu. Pojazd ruszył naprzód pełnym gazem i rąbnął w ścianę kotłowni, która rozpadła się pod wpływem uderzenia jakby była zrobiona z *papier-mâche*. Z tyłu podjechała platforma z reflektorami. Jaskrawe światło przeniknęło do obszernego wnętrza ukrytego za zburzoną ścianą. Wybuchły granaty komandosów, oślepiając i ogłuszając. Oddział ruszył do środka. Zapach eteru przytłaczał.

Przy oczyszczaniu pasty pracowało pięciu chemików. Trzej Kolumbijczycy z obstawy zaczęli strzelać zjadle. Komandosi odpowiedzieli ogniem z broni maszynowej. Strażnicy schwytni w światłach oślepiających reflektorów, w szoku po detonacji granatów, zostali położeni w ciągu sekund. Wnętrze wypełniła krztusząca woń wystrzelonego prochu. Dowódca rozkazał

chemikom położyć się na ziemi, twarzami w dół.

Jack i Silvio weszli do laboratorium. Cała operacja trwała krócej niż trzy minuty.

Dwóch komandosów było rannych, jeden powierzchownie, drugi ciężko. Wynosili ich sanitariusze. Z posiekanych ciał kolumbijskich strażników wypływały na kamienną podłogę strumyki krwi. Skuci kajdankami, oszołomieni chemicy zostali wyprowadzeni, w uszach wciąż dzwonił im huk granatów.

Jack, Silvio i dowódca komandosów lustrowali pomieszczenie. Płachty kremowej pasty kokainowej złożone były na końcu długiego stołu. Brązowa papka oczyszczanej pasty przechodziła przez półprzezroczyste rurki na filtrującą gazę nasączoną eterem i kerosenem.

Następnie podgrzewano ją pod rzędem lamp, a wysuszony produkt prasowano na cienkie tabliczki śnieżnobiałej kokainy o śmiertelnym stężeniu. Na drugim końcu stołu w kształcie litery „L” czysta kokaina była mieszana z laktozą i dekstrozą oraz pakowana w celofanowe torebki.

Silvio podszedł do piętrzącego się stosu kokainowych kostek, zgarnął palcem drobiny rozsypanego proszku i potarł nim dziąsła.

- Rany boskie - wyszeptał patrząc na Jacka - Spróbuj.

Jack wtarł proszek. Obaj natychmiast zdrętwieli, jak po otrzymaniu zastrzyku znieczulającego o wielkiej mocy.



- Ile jest wart ten towar?

- Duzo się nie pomyliłem - odparł Silvio. - Gdyby ten stosik osłabić do dwudziestu procent, jego wartość w detalu byłaby bliska trzystu milionom.

Jack rzucił okiem na leżące we krwi ciała *coqueros* i potrząsnął głową.

- To był rzeczywiście cholernie dobry pomysł z tym zaszcyciem pasty w dywany i przerzutem do San Pedro. Trzeba im to przyznać.

- Ta operacja była za sprytna i zbyt droga, żeby ją komuś zlecić - Silvio westchnął. -

Cholera, że tego wcześniej nie zwąchaliśmy. Można było zwinąć Cisnerosa. Cwany numer, żeby wstawić kogoś na swoje miejsce. Nie spotkałem się z tym od dawnych czasów w Miami.

- Jak to się stało?

- Zrobił się na faceta, który wychodził z fabryki. Miał podrobiony paszport na nazwisko Pablo Escobara. Kiedy Cisneros opuścił statek, pojechał prosto na lotnisko i do domu. Kierownik fabryki zastąpił wtedy Cisnerosa, żeby zgadzał się stan załogi.

Ludzie z kostnicy usunęli ciała Kolumbijczyków. Gdy w zadymionym wnętrzu zdemolowanego laboratorium nastąpiła cisza, odezwał się Jack.

- Mam nadzieję, że ten skok nie będzie dla Pepe wyrokiem śmierci.

- Pepe przeżyje. O niego się nie martw - odparł Silvio z uśmiechem. - Ty masz przydział nowych mebli do biura. Nolan ma największe wykrycie narkotyków w historii Los Angeles. Zasłużyliśmy na małą tequilę.

- No, możemy podziękować komendantowi Alvarezowi.

- Nie, przyjacielu - Silvio objął Jacka ramieniem. - Możemy podziękować Pepe, Dlatego musimy trzymać tego sukinsyna przy życiu.

## Rozdział 21

Zieleń ogrodu wokół posiadłości Ordoneza podświetlały reflektory, wydobywające jaskrawe, barwne plamy mimozy, hibiskusa i jakarandy o purpurowych kwiatach. Ciszę przerywał świergot ptaków dżungli. Słodki zapach jaśminu wypełniał werandę.

Sidney Davis, Pedro Cisneros i Kurt Ohlendorf siedzieli wokół okrągłego, wiklinowego stołu ze szklanym blatem, paląc kubańskie cygara i sącząc agaradiente - mocny kolumbijski trunek z trzciny cukrowej. Mężczyźni prowadzili luźną rozmowę, wypełniając czas w oczekiwaniu na przybycie Don Rafaela Ordoneza.

Davisa powitano po przybyciu na lotnisko Eldorado w Bogocie, po czym, przewieziony na prywatny

pas startowy, wsiadł do Learjeta Ordoneza i po dwóch godzinach wylądował na ukrytym lotnisku w Santa Rosa.

Pedro Cisneros witając Davisa w willi przeprosił, że spotkanie z Ordonezem nieco się opóźni. Zaproponował mu kąpiel i relaks.

Gdy Davis wziął prysznic i przebrał się, wszedł służący z tacą kolumbijskich kanapek, pasków mięsa opieczonych w delikatnym cieście z kukurydzianej mąki, wazą zupy z kurczęcia oraz butelkami wody mineralnej i bawarskiego piwa.

Wyglądniaczy spałaszował jedzenie i właśnie miał się położyć, gdy zadzwonił Cisneros wzywając go na spotkanie.

\*

Na werandzie wiał lekki wiaterek. Kurt Ohlendorf rozwodził się o zagrożeniach kursów walutowych wobec stabilności złota. Cisneros milczał, a jego myśli wciąż krążyły wokół „Ave Marii” i przecieku, który dotarł do Meksykanów.

W mętnych oczach Ohlendorfa pojawił się dziwny przeblysłk energii, gdy stwierdził:

- Kurs złota skoczy pod niebo, jeżeli międzynarodowy terroryzm będzie się rozwijać.

Szwajcarzy już zmieniają gotówkę na złoto. Bankierzy Hong-Kongu...

Jego słowa ucichły nagle, gdy czarno odziany Indianin pojawił się na werandzie śpiesząc do Cisnerosa.

\*

Białe, wklęsłe ściany salonu wieńczył iluminowany, witrażowy sufit, a dyskretnie ukryte, przytłumione światła roztaczały w tym obszernym, klimatyzowanym wnętrzu delikatną poświatę. Nowoczesne włoskie krzesła i sofy współgrały z siedemnastowiecznymi włoskimi i hiszpańskimi antykami. Na ścianach wisiały wielkie płótna peruwiańskiego malarstwa prymitywnego.

Rafael Ordonez, ubrany jak zwykle w białą, lnianą marynarkę, studiował obraz, który ekspresyjnie i dramatycznie przedstawiał hiszpańskich konkwistadorów dokonujących rzezi Indian.

Davis, Cisneros i Ohlendorf stali w milczeniu na środku salonu czekając, aż ich obecność zostanie zauważona. Po długiej chwili Ordonez obrócił się z uśmiechem.

- Witamy w Santa Rosa, panie Davis. - Zdjął okulary słoneczne i wetknął je do kieszonki na piersi. - Proszę usiąść. Proszę mi wybaczyć, ale jestem ofiarą Julii Codesido.

- Kto to taki? - zapytał prostolinijnie Davis.

- Wielka malarka peruwiańska. Niech dyletanci zbierają sobie prekolumbijskie wykopaliska. Ja

zawsze wolałem peruwiańskie malarstwo, muzykę i kulturę.

Davisa uderzyło zdumiewające podobieństwo Ordoneza do dawnego aktora, Tyrone'a Powera.

- Wierzę, że miał pan wygodną podróż - zagadnął Ordenez.

- Tak. Dobrze się mną zaopiekowano.

- Świetnie. Proszę przyjąć moje przeprosiny z powodu niewydania oficjalnego obiadu, lecz moja żona i najstarsza córka właśnie wróciły z Madrytu i wypadało mi zjeść razem z nimi. Być może, jeśli pozostanie pan do jutrzejszego wieczoru, będziemy mogli panu służyć autentyczną kolumbijską kuchnią.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł grzecznie Davis. - Muszę jutro wracać do Los Angeles. Mam zarezerwowany bilet na południowy lot.

- A więc innym razem - uśmiechnął się Ordenez.

- Byłem zachwycony nowoczesnym wyglądem Santa Rosa - Davis starał się być równie uprzejmy.

- Tak, no cóż, szpital, szkoły, sklepy z niezbędnym zaopatrzeniem, to wszystko część tego samego przedsięwzięcia. Jesienią wysłałem piętnastu studentów na naukę do Hawany.

Na uniwersytecie w Meksyku mam pięciu urodzonych tutaj Indian. Robię co mogę dla moich ludzi. To moja misja, panie Davis. Ta autostrada, biegnąca przez dżunglę do mojej willi, któregoś dnia prowadzić będzie do pałacu prezydenckiego w Bogocie.

Cisneros poruszył się nerwowo na swoim krześle.

Ohlendorf założył nogę na nogę.

Ordenez nalał trochę agaradiente do szklanki z lodem i ciągnął dalej:

- Ja nie jestem zwyczajnym handlarzem narkotyków, panie Davis. Może dla pana to zabrzmie dziwnie, ale uważam siebie za człowieka, który odnajduje się na progu rewolucji agrarnej XXI wieku. Indianie są gwałceni przez Europejczyków i północnych Amerykanów od pięciuset lat. Liść koki jest kluczem, który ostatecznie otworzy Indianom drogę ku potędze. - Ordenez zrobił pauzę, nie odrywając jednak ani na chwilę swych lodowato niebieskich oczu od Davisa. - Skończyły się czasy bananów i kawy. Opatrzność wybrała mnie, abym poprowadził Indian do wielkiej rewolucji. Nie spocznę, dopóki nie zdominują politycznego i ekonomicznego życia Południowej Ameryki. I ten właśnie, tak szlachetny cel wymaga, abym kontynuował uprawę liści koki.

Davis nie odpowiedział. Zmęczenie podróży powoli ustępowało rosnącemu napięciu.

Nie był przygotowany na takie kazanie.

- Toniemy w gotówce - kontynuował Ordenez. - Podczas gdy rozmawiamy, szczury zzerają

studolarowe banknoty, a ja nie potrafię rozkazać przyjacielom z Ekwadoru, Peru, Boliwii i Brazylii, aby ograniczyli uprawę liści. Sto tysięcy indiańskich rodzin skazałoby to na głód. Te humanitarne motywy są przyczyną, dla której poprosiłem Don Angela Maffatore o pomoc.

Sidney odchrząknął a jego umysł pracował usilnie, aby znaleźć właściwe słowa.

- Jestem tutaj, aby dopomóc - rzucił nerwowo. - Po tym jak odwiedził mnie Kurt, udałem się natychmiast do Don Angela. Nie lekceważymy sobie naszych partnerskich stosunków.

- Miło to usłyszeć - odparł Ordonez.

- Gruntownie przeanalizowaliśmy wasze kłopotliwe położenie. Nam doskwierają podobne problemy. Nasz własny system prania pieniędzy zaczyna znajdować się w impasie, jednakowoż Don Angelo czuje się zobowiązany do udzielenia wam pomocy.

Sidney zrobił pauzę, po czym wyrzucił z siebie dramatycznie:

- Mam przyjemność powiadomić pana, że Don Angelo jest gotów przyjąć dodatkowe czterysta milionów i przepuścić te pieniądze przez część kont bankowych naszych przedsiębiorstw pornograficznych.

Davisowi waliło serce w oczekiwaniu na odpowiedź gospodarza. Ordonez oderwał w końcu swe spojrzenie od Sidneya i przeniósł je na Cisnerosa.

- Co o tym myślisz, kuzynie?

- Sądzę, że to skromny początek.

Ordonez skinął potakująco głową i zwrócił się do kościstego eks-hitlerowca.

- A ty, Kurt? Jaka jest twoja opinia?

- Traktuję tę propozycję jako gest, nic więcej. Domagamy się miliarda, a za sześć miesięcy, gdy rozpoczniemy przerzuty do Zachodniej Europy, będziemy domagać się jeszcze jednego.

- Nie wybiegajmy w przyszłość - rzeki pojednawczo Ordonez.

- Problem na teraz to jeden miliard.

- Don Angelo wykazuje zrozumienie - szybko dodał Davis - ale jak powiedziałem, mamy poważne kłopoty. Departament Skarbu depcze nam po piętach. Wiele prestiżowych banków zostało ukaranych za transfer nierejestrowanych pieniędzy: Hanover, Trust, Chemical Bank, Chase Manhattan, Crocker Bank, Bank of Boston. Rząd może planować wycofanie zielonych. Chodzą słuchy, że nowe pieniądze mają być barwione na czerwono. Musimy wyczyścić bardzo szybko nasz własny kapitał. Dlatego uważamy naszą ofertę za wspaniałomyślną.

Ordonez podniósł się i podszedł do okazałego, prymitywnego płótna, przedstawiającego indiańskich

wieśniaków przy zbiorze kukurydzy. Przez chwilę studiował

obraz, po czym odwrócił się do Sidneya.

- Rozumiem, że jest pan posłańcem, ale ostrzegam, aby nie obrażał pan mojego sposobu myślenia.

Cisneros odkaszlnął.

Ohlendorf zaczął skubać krostę na brodzie.

- Powtarzam: Proszę mnie nie obrażać, panie Davis. Macie przedsiębiorstwa, które zajmują się wyłącznie produkcją i rozpowszechnianiem kaset pornograficznych. Czyż nie tak?

Davis zeszywniał, starając się opanować. Nie mógł sobie pozwolić na okazanie strachu.

- Tak jest, najzupełniej - odparł. - Ale nasz interes z kasetami tu się nie liczy.

- Dopiero może przestać się liczyć - odparował zjadliwie Ordonez. - Sprzedaż kaset jest poza kontrolą. Handlują nimi niezależni właściciele sklepów w całych Stanach i Kanadzie. Izba skarbową nie jest w stanie stwierdzić, ile zostało wypożyczonych, skopiowanych czy sprzedanych. Dlatego możecie wykazać taki wzrost dochodów jaki zechcecie. I właśnie poprzez te przedsiębiorstwa Don Angelo może zrealizować moją prośbę.

Davis poprawił się nerwowo na krześle nic nie odpowiadając.

- Proszę powiedzieć Don Angelowi z całym należyty szacunkiem, że ma wyczyścić jeden miliard powyżej istniejącej stawki. A w zamian podniosę mu procent z dziesięciu do dwunastu. Oto moje stanowisko, panie Davis.

Sidney dopił swą agaradię, wstał i nalał sobie nowego drinka.

- O pańskim stanowisku mogliśmy się już przekonać - zauważył uszczypliwie -

poprzez morderstwo jednej z największych naszych gwiazd, Candy Lane.

- Pan się myli - odparł Ordonez, nieco zaskoczony agresywnym tonem Davisa. -

Czytałem o śmierci tej dziewczyny w „International Herald Tribune”. Pedro znalazł ją i podziwiał. Dlaczego pan sądzi, że mogliśmy zrobić krzywdę takiemu dziecku?

Davis wskazał na Ohlendorfa.

- Kiedy Kurt odwiedził mnie, wspominał o pańskim spostrzeżeniu dotyczącym trudności w robieniu filmów bez aktorów.

- Zbyt wiele pan z niego wyczytał - odburknął niecierpliwie Ordonez. - Postawmy sprawę jasno: jeden miliard na dwanaście procent. Macie tydzień na odpowiedź.

Davisowi drżała ręka, gdy zapalał papierosa. Zaczął mówić wypuszczając jednocześnie dym.

- Sądzę, że to nierozważne i szkodliwe dla mnie, aby wozic Don Angelowi ultimatum.

- Czy wie pan coś o naszej historii, panie Davis?

Sidney był zaskoczony pytaniem.

- Nie. Obawiam się, że nie - odpowiedział. - Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ historia jest wielką i jedyną nauczycielką życia. Odkąd Simon Bolivar wyzwolił nas od Hiszpanów w 1819 roku, byliśmy niemal nieustannie pogrążeni w wojnach domowych. Zginęło ponad dwa miliony naszych ludzi. Jesteśmy gwałtownym i prymitywnym ludem. Jeżeli nie zdoła pan przekonać Don Angela o naszej rozpaczliwej sytuacji - Ordonez wzruszył ramionami - będziemy musieli obarczyć za to pana osobistą odpowiedzialnością.

Sidney poczuł, jak jego pierś oblewa lodowaty chłód.

- Dlaczego mnie? Nie mam władzy, aby o czymkolwiek decydować. Występuję tu jako adwokat Don Angela, nic więcej.

- Niech pan nie zasłania się protokołem, panie Davis. Należy pan do ścisłego kierownictwa mafii. Istnieje różnica pomiędzy prawną reprezentacją a czynną współpracą.

Według mnie, jest pan doradcą Don Angela. Dlatego musi pan zrozumieć kolumbijską mentalność. Jest takie stare indiańskie powiedzenie: *La mortalidad es unica herencia; el engano es la unica garantia*. Ordonez zrobił pauzę i przetłumaczył - „Śmierć jest jedynym prawem, podstęp to jedyna gwarancja”. Nasze dzieci są na tym wychowane.

Zapadło milczenie i nagle pojawił się czarno ubrany Indianin z obstawy.

- Mój człowiek czeka na pana, panie Davis - powiedział Ordonez. - Nie chcę być niegrzeczny, ale mam jeszcze inne obowiązki. Rodzinne obowiązki. Było mi bardzo miło i życzę bezpiecznego powrotu.

- Dziękuję panu, Don Rafael.

- *Pora nada* - uśmiechnął się Ordonez.

Ohlendorf odczekał, aż adwokat opuści pokój, i zwrócił się do Ordoneza:

- Jutro wieczorem muszę być w Sao Paulo. Mam spotkanie z Banco de Brazil.

- Tak. Wiem. Uważaj na Brazylijki.

Kredowe policzki Niemca oblał rumieniec. Odwrócił się do Cisnerosa:

- *Auf Wiedersehen*, Pedro.

- *Vaya bien*, Kurt.

Wysoka postać, podobna do stracha na wróble, wymaszerowała z pokoju stukając obcasami butów po marmurze.

Ordenez chwycił butelkę agaradiante i wypełnił szklanę Cisnerosa.

- Wyjdźmy na werandę, kuzynie.

W liściach palm szumiał orzeźwiający wiatr, chłodząc parny, tropikalny wieczór. Gdy mężczyźni weszli na werandę, nocny ptak poderwał się z wrzaskiem do lotu.

Ordenez przyglądał się przez chwilę iluminowanym ogrodom, po czym zapytał:

- Powiedz mi, Pedro, co myślisz o tym interesie?

- Niepokoi mnie możliwość wojny - odparł Cisneros. - To nie będzie jak w Miami. Ich goryle znają naszych handlarzy. Znają lokalizacje naszych rafinerii. Tym razem my będziemy celem.

Ordenez przysiadł na niskiej balustradzie werandy.

- To co mówisz, to poniekąd prawda - pociągnął łyk mocnego trunku. - Ale pamiętaj, że mafia jest narażona w inny sposób. Jeśli będzie wojna, to rozegra się w Stanach. To oni, a nie my, mają na głowie policję federalną. A my mamy również cele. Możemy uderzyć w ich kasyna, handlarzy heroiną, bookmacherów, transport. I możemy zniszczyć ich przedsiębiorstwa pornograficzne.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do wojny - powtórzył Cisneros.

- Tak jak i ja, kuzynie. Ale możemy nie mieć wyboru. Chcę, żebyś wezwał Aurelia.

Przygotuj naszych żołnierzy z paszportami oraz magazyny broni w Stanach, i zawiadom naszych przyjaciół w Miami i Nowym Jorku.

Cisneros skinął głową i łyknął ze szklanki.

- Powiedz mi, Rafael. Ta dziewczyna, Candy Lane. Zabiłeś ją?

Ordenez zdjął okulary, a w jego oczach błysnęła groźba.

- Dlaczego pytasz?

- Mam powody.

- Przypuśćmy, że ją zabiłem. Jakie to ma znaczenie?

- Po prostu chciałem wiedzieć.

- Dziwi mnie twoja sympatia dla niej. Kobiety, które zajmują się pornografią, to *putos*.

- Ta dziewczyna poruszyła mnie. Przejąłem się jej śmiercią - Cisneros westchnął. -

Nigdy się z nią nie kochałem, ale robiła na mnie wrażenie. Może to jej młodość. Jej śmierć wywołała we mnie taki ból, jaki czuję, gdy zmuszeni jesteśmy zabijać kolumbijskich żołnierzy. Pewnie staję się już zbyt zmęczony. Pewnie widziałem za dużo śmierci. Mówię tobie o tych sprawach, bo jesteś ostatnim członkiem rodziny, jakiego mam.

Ordenez patrzył na swego kuzyna przez długą chwilę, zanim odpowiedział:

- Kiedy wyjechałeś, poszedłem polować na jaguara. Złapaliśmy jednego w światłach naszych reflektorów. Miałem na celowniku jego oczy, błyszczące jak szmaragdy. Nie mogłem pociągnąć za spust. I wtedy, widząc oczy tego jaguara, pomyślałem, że takie piękno może zabrać tylko Bóg, nie człowiek. Człowiek musi polować sam dla siebie. Musi poszukiwać swej własnej prawdy, bez względu na niebezpieczeństwa. Tylko wtedy osiągnie wewnętrzny spokój - Ordenez przerwał na chwilę. - Jesteś ze mną czy nie?

- Gdybym nie był z tobą, nie mówiłbym ci o moich uczuciach.

- Rozumiem, kuzynie, ale kiedy człowiek zaczyna się za bardzo przejmować, opuszcza go szczęście.

Na wiklinowym stoliku zadzwonił telefon. Ordenez podniósł słuchawkę. Stłumiony głos oznajmił zwięźle: *El pescado ha silo a gar rado*.

Ordenez rozłączył się i odwrócił do Cisnerosa.

- Transport z „Ave Marii” został przechwycony.

Cisneros jęknął.

- Chryste, myślałem, że... To ten przeciek. Meksykanie musieli zawiadomić narkosów z Los Angeles.

- Potrząsnął głową, załamany. - Przepraszam cię, Rafael.

- Nie, nie, zachowałeś się bardzo dzielnie. Nawet wobec tej łodzi patrolowej. Twoja decyzja wplynięcia do San Pedro była słuszna i nie podlega dyskusji - przerwał. -

Przynajmniej wiemy teraz na pewno, że był przeciek. Przeciek, który wyszedł od Pepe, Ramona albo Julito. Mają być zabici.

- Ależ, Rafael, ci ludzie są Kolumbijczykami, są rodziną. Stali się ofiarami podsłuchanej rozmowy.

- Być może. Ale najlepszy sposób utrzymania sekretu między trzema ludźmi to zabicie dwóch z nich. Ramon i Julito mają być sprzątnięci. Dobranoc, kuzynie. - Ordenez odwrócił

się raptownie i wyszedł.



Cisneros dopił swego drinka i opadł na krzesło. Zaświergotał nocny ptak.

Gdzieś w oddali echo niosło po dżungli ryk jaguara.

## Rozdział 22

Widok z okna biura Johna Nolana przypominał widokówkę z Los Angeles z lat trzydziestych. Oceaniczna bryza oczyściła niebo z żółtawego, piekącego oczu smogu i na błękitnym tle błyszcząły teraz w jasnym świetle schludne ulice, wysadzone rzędami palm.

Jack i Silvio patrzyli z rozbawieniem, jak Nolan pysznił się, stąpając jak paw, żuł nie zapalone cygaro i rozwodził się bez końca na temat swej triumfalnej konferencji prasowej.

Prasa i telewizja nazwały to wykrycie narkotyków Operacją Alfombra. Nolan przypisał

powodzenie akcji miesiącom żmudnych poszukiwań wymagających doskonałej koordynacji pomiędzy meksykańskimi władzami, FBI, DEA i jego własnym zespołem NIFTY z porucznikiem Jackiem Rainesem na czele. Nolan pozował do zdjęć w podziurawionym kulami laboratorium, na tle piętrzącego się stosu czystej kokainy. Akcja była komentowana na pierwszych stronach lokalnych i krajowych gazet oraz w TV. Zespół NIFTY otrzymał

gratulacje od Paula Andersona, szefa Agencji Zwalczania Narkotyków (DEA), od kierownika miejscowego FBI, władz miasta, burmistrza i gubernatora.

Jedynym zgrzytem była sprawa podniesiona przez Glorię Hunnicutt. Na konferencji Nolana pominęła ona akcję przechwycenia narkotyków, natomiast nieustannie domagała się informacji na temat śmierci Candy Lane oraz jej związków z kolumbijskimi szmuglerami i znakomitościami Hollywood.

- Jestem z was bardzo dumny, chłopcy - powiedział ciepło Nolan. - Należy wam się płatny urlop.

- Dotrzymaj tylko swojej obietnicy - uśmiechnął się Jack. - Czekam na nowe meble.

- To się załatwi. Wszystko po kolei. Tymczasem chcę, żebyście rzucili tę sprawę Candy Lane. Sekcja zwłok wykazała samobójstwo. To mi wystarcza.

- Nie możemy tego rzucić - odparł Jack.

Zachowanie Nolana nagle zmieniło się, a jego głos przybrał oschły biurokratyczny ton.

- To nie jest Wydział Zabójstw. Gównu mnie obchodzi, czy ta dziewczyna została zamordowana. Niech się tym martwi szeryf z Malibu.

- Mylisz się - nalegał Jack. - Candy Lane jest łącznikiem pomiędzy Kolumbijczykami a mafią, mówiąc konkretnie, Davisem i Maffatore. A jeśli mnie pamięć nie myli, powiedziałeś, że dałbyś wiele, aby przyskrzynieć tych gnojków.

- Nieważne, co powiedziałem. Chodzimy teraz po szczytach i nie chcę, żeby NIFTY

ugrzeźło w badaniu samobójstwa jakiejś nastoletniej aktoreczki porno.

- To może nie być samobójstwo.

- No to co z tego?

- To z tego, że zasługuje na poważne traktowanie.

- Torres stwierdza samobójstwo.

- Ale wskazał również, że mogła być sprzątnięta przez mordercę-maniaka.

Nolan zamrugał zmęczonymi oczyma.

- Co?

- Torres powiedział, że kokainowa walentynka mogła być podpisem jakiegoś członka straży obywatelskiej, świrusa, który postanowił zlikwidować pornografię. Zresztą brakuje pięciotysięcznej pensji Candy.

- Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze coś - dodał Silvio. - Mój informator doniósł, że Sid Davis spotkał się z Ordonezem w Santa Rosa. Kolumbijczycy chcą, żeby mafia wyprała im dodatkowy miliard przez swoje konta bankowe.

- Co to ma wspólnego z Candy Lane?

- Jeżeli Ordonez naciska mafię - odparł spokojnie Jack - Candy mogła być pierwszą ofiarą wojny pomiędzy nimi. Nie możemy tej sprawy odpuścić.

- To jest ślepy zaułek - stwierdził Nolan. - Przesłuchaliście ludzi z ostatniego filmu Candy i wracacie z niczym.

- Nie widzieliśmy Jeffa Kellermana, Sherry Nichols i guru.

- Jakiego guru?

- Meli-Ramdasa - wyjaśnił Silvio. - Przewodzi tej Regule Sziwy.

Nolan opadł na krzesło.

- Wy naprawdę myślicie, że ta sprawa może zmusić mafię do prania pieniędzy z koki?

- To jest numer, o którym wcześniej nie pomyśleliśmy - odpowiedział Jack.

- Okay... - westchnął Nolan. - Ale zróbcie mi przysługę, osobistą przysługę.

Podrzucie coś tej damie Hunnicutt. Cokolwiek, żeby tylko zlazła mi z karku.

- Weź Brody'ego na rzecznika - zaproponował Jack. - Od dawna ma z niej pociechę.

Nolan nacisnął guzik na konsoli.

- Helen?

- Tak, sir.

- Połącz mnie z sierżantem Brodym.

Jack obszedł biurko Nolana. Minęła chwila, zanim z głośnika dobiegł burkliwy głos Brody'ego.

- No jestem, szefie.

- Mam tu w gabinecie agenta Martineza i porucznika Rainesa. Raines ma dla ciebie specjalne zadanie.

- Phil?

- Yhm.

- Kiedy masz urodziny?

- Co?

- Urodziny. Kiedy to jest?

- Piętnastego listopada.

- Będziemy je obchodzić wcześniej. Mam dla ciebie parę rajcujących kawałków i trzeba nimi nakarmić Hunnicutt.

- Ołówek mam przygotowany.

- Powiedz jej, że Candy Lane, działając jako kurierka Leo Whelana, przewiozła potwierdzony czek dla osławionego kolumbijskiego szmuglera Pedro Cisnerosa, a w zamian otrzymała kilogram 70-procentowej kokainy, której część wręczyła swemu kochankowi i dobroczyńcy, Jeffowi Kellermanowi.

- Świetnie - stwierdził Brody.

Nolan pochylił się nad konsolą.

- Brody?

- Tak?

- Oczekuję ścisłego sprawozdania.

- Ma pan to u mnie, szefie.

- Okay. To wszystko.

Nolan wyłączył interkom.

- No dobra, to powinno podgrzać atmosferę. Słuchajcie, gdzie jest składowana ta 100-procentowa koka?

- W magazynie, w piwnicy. Jest bezpieczna - odpowiedział Jack.

Nolan wypuścił kłęb dymu pod sufit i zwrócił się do Silvia:

- Myślisz, że wojna jest możliwa?

- Jeśli żądania Ordoneza zostaną odrzucone, to mamy ją jak w banku.

Rozdział 23

Na ekranie stojącego przy łóżku telewizora pojawiło się zbliżenie kolorowego zdjęcia roześmianej Candy Lane. Wyglądało to tak, jakby była żywa i spoglądała na dwie kochające się nagie, spocone kobiety. Sherry Nichols objęła ramieniem Lisę i pocałowała ją namiętnie.

- Następnym razem zakuję cię w łańcuchy - wyszeptała.

- Albo mnie zabijesz.

- Chciałabym.

Lisa myślała, aby się podnieść, lecz jej nogi wciąż drżały i czuła zamroczenie.

- Chcesz linijkę? - spytała Sherry.

- Nie. Jest mi dobrze.

Patrzyły obie na ekran z uśmiechniętą twarzą Candy.

- Boże, ona była piękna - westchnęła Sherry.

- Rozmawialiśmy z nią.

- Co?

- Na seansie. U Sziwy. Głos Candy mówił do Karen.

- To kurwa.

- Kto? - Karen. Ona zniszczyła Candy.

- To mogło być zupełnie na odwrót.

- Nie. Karen zdominowała ją.

Sherry długo przypatrywała się pokazywanej twarzy Candy, zanim zapytała:

- A co mówił jej głos?

- Pomścij mnie.

- Ty naprawdę wierzysz w ten hokus-pokus?

- Z całego serca. Trzeba się tylko na to otworzyć.

Zadzwonił telefon. Sherry podniosła słuchawkę i oczy jej pociemniały.

- Okay... Tak... Będę - powiedziała i rozłączyła się.

- Kto to? - spytała Lisa.

- Glina. Silvio Martinez, jedzie tutaj.

- Spotkałam go - powiedziała Lisa. - Pracuje z porucznikiem Rainesem. Przesłuchiwał mnie.

- W jakiej sprawie?

- Candy, Wieloryba, Davisa, ciebie, Traynora, Stelli, wszystkich. - Lisa podniosła się.

- Lepiej wezmę prysznic i się ubiorę. Myślę, że nie powinien mnie tu widzieć.

- Co to za facet?

- Uprzejmy, ale jest coś... zresztą, nie wiem...

Sherry poczuła w sobie wzbierającą panikę. Usiadła i sięgnęła po papierosa.

- Lisa, do cholery, powiedz mi o tym glinie!

- To trudno określić. Jest miły, ale przestraszył mnie.

- W ten sposób mogę opisać każdego glinę, od którego dostawałam mandat. Co mu powiedziałaś?

- Że wszyscy kochaliśmy Candy.

- Ale dlaczego prowadzą śledztwo? Gazety pisały, że popełniła samobójstwo.

- Może to pic - Lisa wzruszyła ramionami i ruszyła do łazienki.

- Lisa! - zawołała Sherry.

Wiotka i kształtna Chinka odwróciła się.

- Wrócisz wieczorem? - spytała Sherry żałośnie.

- Słowo - powiedziała z uśmiechem Lisa, opierając się o ścianę.

- Stella wspomniała mi o filmie, który masz robić w San Francisco, „Wspomnienia o Candy”.

- No i co?
- Jestem w nim?
- Oczywiście.
- W głównej roli?
- Jesteś Azjatką, kochanie. Muszę obsadzić Stellę jako Candy, ale ty będziesz miała dużą rolę.

Lisa skinęła głową i weszła do łazienki.

Sherry podniosła się, chwyciła swe dzinsy i założyła je. Otoczyła wzrokiem sypialnię, spoglądając na oprawione fotografie Candy w różnych erotycznych pozach. Szybko zaczęła zdejmować je ze ścian. Jej działania graniczyły z manią prześladowczą, ale nie mogła sobie pozwolić na pokazywanie swej prywatnej kapliczki policji. Nurtowały ją też wątpliwości co do udziału Lisy w śmierci Candy. Nie ufała temu interesowi z Sziwą i podejrzliwie odnosiła się do wołającego głosu Candy. Sherry wiedziała, że wschodni czar Lisy maskował tłącą się w niej zazdrość wobec sławniejszych koleżanek.

## Rozdział 24

Jack Raines szedł pokrytą kurzem ulicą z westernu, mijając wyblakłe drewniane fasady saloonów, hoteli, banków, stajni i kuźni. Ulica ta była niegdyś miejscem ożywionej twórczości filmowej z udziałem nieśmiertelnych gwiazd, które nieskończenie wiele razy odjeżdżały konno w zachodzące na horyzoncie słońce. Z nielicznymi wyjątkami western stał

się już jednak anachronizmem.

Skręciwszy za rogiem, szedł dróżką wzdłuż błotnistej, zarośniętej laguny, aż do polany, gdzie stał rząd schludnych domków w hiszpańskim stylu. Miejsca do parkowania były oznaczone wymalowanymi za pomocą szablonu nazwiskami lokatorów poszczególnych domków. Jack potrząsnął głową w zadziwieniu, mijając Mercedesy, Jaguary, Ferrari, Lamborgini i Maserati. Domyślał się, że zestresowanym artystom, dla których bramy wytwórni mogły być wejściem, ale też i wyjściem, amerykańskie samochody nie dawały dostatecznego prestiżu ani oparcia.

Dom Jeffa Kellermana stał na skraju mrocznej laguny. Kabriolet 350 SL zajmował stanowisko oznaczone „J. Kellerman”.

W obszernym pokoju przyjęć rozbrzmiewały dźwięki lekkiego rocka. Ściany, wyłożone podrabianą dębiną, udekorowane były oprawionymi plakatami filmów Kellermana.

W podświetlonej szklanej gablocie eksponowano nagrody z kilkunastu drugorzędnych festiwali zagranicznych.

Za kontuarem recepcji siedziała przysadzista Murzynka. Rozmawiała przez telefon, przepisując

jednocześnie stronie scenariusza. Dwaj mężczyźni w dżinsach i skórzanych kurtkach stali pod przeciwległą ścianą, studiując na tablicy ogłoszeń listę odrzuconych kandydatów do filmu. Na sofie siedziały dwie aktorki i czytały scenariusz. Nikt z obecnych nie zwrócił uwagi na Jacka, gdy wszedł do biura i zbliżył się do recepcjonistki.

- Przechodzą teraz przez komisję - mówiła do słuchawki Murzynka. - Przykro mi, pan Kellerman przesłuchuje w tej chwili aktorów, nie mogę mu przeszkadzać. Tak, oczywiście, panie Steinman. Zadzwoń do pana, jak tylko będzie wolny. Dziękuję. - Odłożyła słuchawkę uśmiechając się uprzejmie do Jacka. - Czym mogę panu służyć?

Jack mignął złotą odznaką w skórzanym etui.

- Porucznik Raines na spotkanie z panem Kellermanem.

- Och, tak, pan porucznik. Oczekuje pana, ale w tej chwili ktoś u niego jest. Robimy obsadę do nowego filmu. Czy nie zechciałby pan usiąść i poczekać?

- Nie, nie zechciałbym.

- Mam wyraźne polecenie, aby mu nie przeszkadzać.

- Proszę mu powiedzieć, że przyszedłem.

Mężczyźni przy tablicy odwrócili się, aby spojrzeć na Jacka. Aktorki nie odrywały oczu od scenariuszy.

- Chwileczkę - odrzekła sucho recepcjonistka, podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik. -

Przyszedł pan Raines. Nie może czekać - przerwała skinąwszy głową. - Tak... tak, sir -

rozłączyła się i zapytała: - Czy może pan dać mu jeszcze dziesięć minut, poruczniku?

Jack poczuł przyływ gorąca gdzieś na dnie żołądka. Przypomniał sobie słowa Karen:

„Kellerman obiecał Candy rolę w swoim nowym filmie. Obiecywał jej w poprzednim. To, czego chciał, to oczywiście pieprzyć się z nią...”

Przeszedł obok kontuaru recepcji i nieśpiesznie skierował się ku drzwiom w głębi.

- Nie wolno panu tam wchodzić! - krzyknęła recepcjonistka.

Jeff Kellerman był niski, szczupły i dobrze ubrany. Nosił przyciemnione okulary, które miały dodawać mu tajemniczości. Miał lekkiego zeza, kartoflowaty nos i grube, skrzywione usta. Siedział na krawędzi wielkiego biurka, uśmiechając się życzliwie do wysokiej, kościstej dziewczyny o kruczonych włosach. Jego uśmiech zmienił się w gniewny grymas, gdy wszedł Jack.

- Do cholery, co to ma znaczyć, poruczniku - zawołał oburzony.



Za Jackiem otworzyły się drzwi i wpadła recepcjonistka.

- Staralam się go zatrzymać, ale...
- W porządku, Martha - Kellerman machnął jej ręką, aby wyszła.
- Umówił się pan na tę godzinę - stwierdził Jack.
- Przykro mi, ale trudno ustalać dokładne terminy podczas przygotowań do filmu.
- Więc co myślisz, Jeff? - wtrąciła nieśmiało aktorka.
- Zobaczymy, kochanie, zobaczymy.
- Jak chcesz, żebym wpadła do ciebie, to w porządku.
- Będę w kontakcie - rzucił Kellerman, siadając za biurkiem.

Aktorka podniosła torebkę.

- Ta rola jest dla mnie świetna. Wiem, że mam za mały biust, ale chętnie sobie zoperuję.
- Pogadamy, Loretta - warknął niecierpliwie Kellerman.

Jej oczy zgasły, przyjmując porażkę.

- Okay - skinęła głową i wyszła.
- Proszę spocząć, poruczniku.

Jack usiadł na skórzanym fotelu naprzeciw reżysera o podejrzanej sławie.

- Kawy?
- Nie.
- Coś mocniejszego?
- Tak, może małą dawkę Prousta.
- Czego? - spytał zakłopotany Kellerman.
- Zostawmy te ceregiele, okay?
- Nie rozumiem pańskiej niechęci odparł niewinnie Kellerman. - Zgodziłem się na to spotkanie bez obecności mojego adwokata. Mam zamiar panu pomóc. Kochałem Candy.

Naprawdę kochałem. To straszna tragedia.

- Dla jej ojca i dla nikogo więcej - powiedział Jack. - Nie rób ze mnie wała, Jeff. Ty i Candy byliście ze sobą blisko. Z tego, co powiedziała Karen Dara, bardzo blisko. Ściśle biorąc, obiecałeś Candy rolę w twoim nowym filmie.

- Źle pana poinformowano.

- Kiedy widziałeś Candy ostatni raz?

- Nie wiem, zdaje mi się, że z miesiąc temu.

- Gdzie?

- W moim domu, w Bel-Air.

- Byliście sami?

- Niezupełnie. Candy przyprowadziła ze sobą koleżankę, aktorkę.

- Pamiętasz jej nazwisko?

- Stella „jakaśtam” - wzruszył ramionami. - Ruda.

- I co się działo?

- Obejrzeliśmy jeden z moich filmów, przekąsiliśmy coś, kilka drinków i... no, i poszło.

- We troje?

- Co to ma wspólnego ze śmiercią Candy?

- Odpowiadaj na pytanie - Jack uśmiechnął się złowrogo.

- Nie aranżowałem żadnych sytuacji. Po prostu tak wyszło.

- A co z Karen Dara?

- Czasami przychodziła z Candy. - W oczach Kellermana zakręciły się łzy. - Myślę tak, jak powiedziałem. Ja kochałem Candy. Nie tylko zmysłowo, lecz ulotnie, intelektualnie, poetycznie. Dałem jej Prousta, bo chciałem ją oświecić. Zachowywałem się jak gówniarz.

Candy była wizją, marzeniem. Zawsze ją sobie wyobrażałem jako samotną postać o świcie, ubraną w przezroczystą szatę, tak jak Pauline Keal opisuje „bergmanowski świt”. Zleciłem napisanie dla niej scenariusza. Ja... - połykał łzy - ja nie potrafiłem jej się oprzeć. Byłem nią przytłoczony. Często leżeliśmy w łóżku oglądając jej filmy. Ale ja nie widziałem w nich pornografii. Widziałem piękno, tęsknotę, pożądanie i talent. Nigdy jej nie wykorzystywałem.

Kochaliśmy się wzajemnie. Byliśmy jak dwoje dzieci, połączonych w zmysłowym, lecz niewinnym

związku.

Zadzwonił telefon i Kellerman wcisnął guzik.

- Tak?

- Steinman jest na linii. Dzwoni już trzeci raz.

Twarz mu poczerwieniała i warknął:

- Powiedz temu zwiędłemu kutasowi, żeby się odpierdolił. Porozmawiam z nim, kiedy będę miał czas i ochotę.

- A co z ludźmi z produkcji?

- Przesuń ich na siódmą.

Puścił guzik i odchylił się na oparcie fotela, przecierając ze znużeniem oczy.

- Proszę wybaczyć mi ten język, ale tu się robi przebojowy film, a oni mędzą nad uchem. Zabierają tylko tlen z powietrza. - Pokiwał ze smutkiem głową. - Niszczę każdy znaczący dla mnie związek przez obsesyjne poświęcenie się memu rzemiosłu. Ale po drodze -

westchnął - pomogłem paru ludziom.

Jack podniósł się i skwitował.

- Jesteś po prostu Joanną d'Arc.

- Nie, poruczniku. Nie jestem ani świętym, ani grzesznikiem. Jestem artystą.

- To pewne. Zażywałaś z Candy kokę?

- Kokainę? - Kellerman wypowiedział to słowo w taki sposób, jakby było częścią nieznanego, tajemniczego języka. - Ja? Kokainę? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nigdy, poruczniku. Nie wierzę w narkotyki. Wierzę w ludzkiego ducha. Pauline Keal uwieczniła moją filozofię w druku: „Każda wypowiedź Jeffa Kellermana wybornie oddaje jego pełną miłości wizję życia”.

Jack poczuł nagłą ochotę, aby spleścić jego kulfoniasty nos i rozkwasić szczenięcą mordę.

- Posłuchaj uważnie, nadęty bucu - głos obniżył mu się z wściekłości. - Obiecałeś dać szansę naiwnemu, zagubionemu dziecku. Nie miałeś nawet zamiaru spełnić tej obietnicy.

Wykorzystywałaś tę dziewczynę. Byłaś jej ostatnią nadzieją. Twoje kłamstwa sprawiły, że wykonała ten jeden, ostatni krok do samobójstwa. Mógłbyś równie dobrze pociągnąć za spust. Jeżeli wytropię w śniegu twój ślad, prowadzący do Candy, to pożałujesz, że Pan Bóg nie zrobił cię zakonnicej.

- Trop na śniegu? - zapytał nieśmiało Kellerman.
- 70-procentowej koki. Takiej, jaką wachała Candy przed śmiercią.
- Nie mam z tym... nic wspólnego.
- Znasz Sidneya Davisa?
- Oczywiście. Sidney jest moim adwokatem.
- A Leo Whelana?
- Znam Leo - nieomal wyszeptał.
- Dostawałeś od Leo panienki?
- Pan Whelan przypadkowo zapoznał mnie z kilkoma dziewczętami.
- Candy była jedną z nich?
- Nie. Spotkałem ją na przyjęciu.
- U kogo?
- U Johna Traynora.

Jack podszedł powoli do ściany i przyjrzał się fotografii Kellermana w uścisku ze sławną aktorką, na scenie nocnego klubu.

- Ile Whelan liczy sobie za wynajmowanie panienek ze swojej hodowli?
- Nigdy nie płaciłem żadnej kobiecie za seks.

Jack zwrócił się ku poblądnemu reżyserowi.

- Świadczyłeś na korzyść Whelana na jego procesie w osiemdziesiątym trzecim.
- No to co?
- Znasz Angela Maffatore?
- Spotkałem go, ale go nie znam.

- Grasz główną rolę u Whelana w ściąganiu dla niego dziewczyn z normalnych filmów. Dajesz pornografii błogosławieństwo, a w zamian masz panienki i kokę. - Jack wybuchnął wściekle. Odpowiadaj, skurwysynu!

Kellerman poruszył się na krześle, podniósł karafkę i nalał sobie szklanekę wody. Ręka drżała mu

nieznacznie, gdy podnosił ją do ust i pił.

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, poruczniku.

- To dobry pomysł, Jeff. Podrzucę ci jeszcze kilka innych dobrych pomysłów.

Trzymaj się przez jakiś czas z daleka od koki i panienek. Uważam, że jesteś moralnie odpowiedzialny za śmierć panny Lane. I pozwól, że powiem ci, że nie wyglądała ona ładnie.

Nie miała na sobie przezroczystej szaty i nie było bergmanowskiego świtu. Leżała nago w upalnym słońcu Malibu, muchy i mrówki ucztowały w najlepsze, udo miała zżarte do kości, a woń jej ciała czuję do teraz. I gdyby była moją córką, zrobiłbym z ciebie worek gówna. Ale ty masz szczęście, Jeff, ponieważ jej ojciec jest jednym z tych staromodnych Amerykanów, którzy wciąż wierzą w zasady. Ten biedny palant wini siebie, że nie potrafił sprostać roli ojca i matki jednocześnie. Ale ja winię ciebie. I zamierzam przyskrzytnić ci dupę, kochanie.

Kellerman odchrząknął i zapytał niepewnie:

- Dlaczego mnie? Candy obracała się wśród wielu ludzi.

- Nie takiej klasy jak ty, Jeff. Nie wśród ludzi opisywanych przez Pauline Keal - Jack przerwał mierząc palcem w Kellermana. - Nie powinieneś zgrywać się na „gwiazdę” wobec tej dziewczyny. Zostawiając zasady i moralność na boku, powinieneś wiedzieć, że, tak czy owak, mężczyzna zawsze odplaca się panience.

Jack odwrócił się i wyszedł.

Kellermanowi zrobiło się słabo. Mdliło go w żołądku, a w głowie pulsował tępy ból.

Spojrzał na telefon, westchnął ciężko i wykręcił prywatny numer Sida Davisa.

Jack wszedł do hallu i spytał recepcjonistkę, czy mógłby zadzwonić do swego biura.

Kobieta wskazała mu telefon na stoliku przy sofie.

- Proszę wykręcić dziewiątkę, a potem swój numer.

Ze słuchawki dobiegł znajomy pomruk Brody'ego.

- Masz wiadomość. Dzwoniła Karen Dara. Powiedziała, że pilne. Dałem jej twój domowy telefon.

- Okay. Jest coś od Silvia?

- Z tego, co wiem, ciągle siedzi u Sherry Nichols.

- Jadę do domu - zapowiedział Brody'emu.

- Dobra. A tak przy okazji, to jestem umówiony z Glorią Hunnicutt. Zawiozę jej tę bombę, którą mi dałeś. Cały dzień biorę witaminę E.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Phil.

## Rozdział 25

John Traynor siedział na białej sofie, z drinkiem w jednej ręce i ze słuchawką w drugiej. Reflektorki pod sufitem rzucały snopy światła na jaskrawe, abstrakcyjne płótna na czarnych ścianach. Grała płyta ze składanką Crosby'ego, Stillsa i Nasha.

- Więc dziewiętnastego zaczynamy zdjęcia? - spytał Traynor.

- Zgadza się - odparł Wieloryb. - Zarezerwuję twój apartament w St. Francis.

- Kto w głównej roli?

- Stella Pierson. Sherry zdecydowała, że z utlenionymi włosami Stella może zagrać Candy.

- Kto jeszcze?

- Karen Dara.

- Cholera.

- Spokojnie. Nie masz z nią scen.

- A dalej?

- Chang i ta blondynka, która pomagała ci przy ostatnim filmie, oraz jakiś miejscowy talent z Frisco.

- Słuchaj, Leo. Muszę zgłosić temu porucznikowi, że wyjeżdżam z miasta.

- No to zgłoś. Jak będą problemy, daj mi znać. Davis już wrócił.

- Okay.

- Odpoczywałeś?

- Była tylko Stella.

- Dobra. Bądź w formie. To jest kino z dużym budżetem. Nie możemy pozwolić sobie na czekanie, aż ci zadziała.

- Będę w porządku.

- Wysyłam ci scenariusz.

- Okay.

- Na razie, John.

Whelan rozłączył się.

Traynor odłożył słuchawkę i przeszedł przez obszerny pokój do dużego przyciemnionego lustra. Podziwiał swoje odbicie. Świeżo zapuszczone wąsy i krótko obcięte włosy czyniły go młodszym. Odwiedził znanego w Beverly Hills dentystę, który po dokonaniu wielu pomiarów zapewnił go, że jego krzywy uśmiech zostanie skorygowany.

Traynor poczynił poprawki w swym wyglądzie za radą Jeffa Kellermana, z którym łączyła go więcej niż przelotna przyjaźń.

Związek z nagradzonym reżyserem filmowym był dla Traynora kosztowny.

Dostarczał Kellermanowi opłacone wcześniej pieszczoszki i stężoną kokainę, ale traktował te wydatki jak inwestycję w swą własną przyszłość. Wiedział, że jego dni jako męskiego króla porno są policzone. Jego potencja seksualna poważnie osłabła. Występy wymagały od niego ogromnej koncentracji i stałego pobudzania. Zręczna technika montażu Sherry Nichols i używanie dublerów pozwalały na podrabianie jego filmowych orgazmów, ale nawet znaczące umiejętności Sherry nie mogły zastąpić erekcji. Jego przyszłość wyraźnie wiodła ku Kellermanowi. Wkrótce będzie musiał przypomnieć mu wyświadczone przysługi.

Odwrócił się od lustra i przeszedł po grubym dywanie do sypialni.

Stella, w majteczkach i rozpiętej męskiej koszuli, siedziała na wielkim łóżku z materacami wypełnionymi wodą i zajadała frytki, oglądając na ekranie telewizyjnym kasetę z

„Tootsie”. Machnęła wchodzącemu Traynorowi, nie odrywając wlepionych w ekran oczu.

Traynor podniósł pilota i wyłączył kasetę.

- No i coś zrobił - zawołała rozdrażniona.

- To był Leo. Grasz główną rolę we „Wspomnieniach o Candy”.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Hura! - wykrzyknęła, skoczywszy na równe nogi w tańcu radości.

- Hej, hej, rozerwiesz materace i będziemy pływać.

Usiadła z powrotem na łóżko jaśniejąc w uśmiechu.

- Trzeba to uczcić. Zamów coś u Chińczyków i będziemy jeść, oglądać film, puścimy sobie dyma, a potem zrobię ci najwspanialszy masaż, jaki miałeś w życiu.

Nagle w sypialni rozległo się echo dzwoneczków u wejściowych drzwi.

- Kogo tu niesie, do cholery? - Stella zrobiła kwaśną minę.

- Pewnie posłaniec ze scenariuszem.

Włączyła guzik telewizyjnego pilota i ekran rozświetlił się. Stella zachichotała, widząc, jak Dustin Hoffman poprawia sobie pas od pończoch.

Dzwonki zadzwięczały ponownie, gdy Traynor był już u szczytu schodów. Spojrzał przez wziernik i westchnął otwierając drzwi.

- Och, kogo ja widzę - Traynor uśmiechnął się blado.

Rozległo się głuche puknięcie. Z czoła Traynora wyprysnęła żółtoczerwona maź.

Upadł w tył i zsuwając się po krętych schodach w dół plamił białą wykładzinę krwią i odpryskami kości.

Stella oglądała z rozbawieniem Dustina Hoffmana udającego aktorkę angażowaną przez reżysera. Zauważywszy znajomą postać wchodzącą do sypialni, machnęła jej ręką na przywitanie.

- Cześć - uśmiechnęła się.

- Co jest?

Nastąpiły dwa raptowne stłumione wystrzały i twarz Stelli eksplodowała. Białe, satynowe prześcieradła natychmiast pokrył ornament z kropel krwi.

## Rozdział 26

Jack sączył zmrożoną wódkę i przyglądał się światłom miasta, które jaśniały w zapadającym zmierzchu. Ta barwa przypominała mu wyjątkowe światło późnego popołudnia w Santa Anita. W zimową niedzielę, u kresu dnia, góry piętrzące się po drugiej stronie okazałego toru wyścigowego staną się purpurowe, a główną trybunę obleje kolor fiołkowy, Szmer przebiegnie przez tłum, gdy konie będą paradować dostojnie, jeden za drugim, prowadzone na stanowiska przed głównym wyścigiem. I w tym momencie, w zimowym świetle, jeżeli będziesz wysoko na trybunach i rozejrzysz się, to poczujesz się tak, jak gdyby Degas namalował cię na płótnie. W epoce triumfującego blichtru dostojne piękno tych starych torów wyścigowych niosło w sobie jakieś pokrzepienie.

Porzucił tarasowy widok, wszedł do salonu i włączył kasetę z klasycznym Stanem Getzem. Telefon zadzwonił w chwili, gdy jego altowy saksofon wchodził w pierwszy refren

„Quiet Nights”.

Głos Jenny brzmiał jak powiew rzeńskiego powietrza.



- Cześć, tata.
- Jak ci leci, dziecko?
- Świetnie, dziękuję za czek.
- Jak twoje bachory?
- W porządku. W zeszłym tygodniu mieliśmy trochę emocji. Widziałeś pożar?
- Jaki pożar?
- Ten w Ojai.
- A tak, pokazywali to na okrągło.
- Musieliśmy ewakuować obóz.

Jack poczuł ukłucie wstydu. Wiedział, że jej obóz leżał niedaleko od Ojai, lecz nie przyszło mu do głowy, że Jenny była w niebezpieczeństwie.

- Nie pomyślałem, że pożar mógłby zagrozić obozowi - odpowiedział zakłopotany.
- Strażacy zatrzymali go osiem kilometrów od obozowiska.
- Mogłem zadzwonić.
- Nie połączyłbyś się. Linie były uszkodzone. A przy okazji, szef obozu widział cię w telewizji.
- Widział mnie?
- Właściwie to widziała, bo szef jest kobietą. Mówiła, że to było coś z dużym wykryciem narkotyków. Mam nadzieję, że nie narażałeś się na jakieś wariackie ryzyko.
- Znasz mnie. Jak tylko zaczynają się kłopoty, to zaraz zmiatam.
- Kiedy przyjedziesz?
- Zamierzam cię odwiedzić w niedzielę.
- Spróbuj. Tęsknię za tobą.
- Postaram się.
- Uwielbiam cię.
- Ja też cię uwielbiam.

- Cześć, tato.

- Cześć, dziecko.

Odłożył słuchawkę, przeszedł do kuchni, wyjął z lodówki mrożoną porcję gotowanego kurczaka dla widzów i nastawił piecyk na 350 stopni. W sypialni wybrał spośród ustawionych alfabetycznie kaset „Casablankę” i odłożył ją na telewizor. Rozebrawszy się, przeszedł do łazienki i odkręcił kurki prysznica. Na chwilę zatrzymało go jego własne odbicie w lustrze nad umywalką. Wydawało mu się, że blizna na prawym policzku coraz bardziej purpurowieje. Stare rany, nowe kolory.

Wszedł pod prysznic i pozwolił strumieniowi wrzących igiełek smagać się po barkach i szyi. Myślał o Kellermanie, Traynorze, o ciele Candy obsiadłym przez muchy i smutnych, zrezygnowanych oczach Landleya. Czuł w sobie wzbierającą złość. Będzie musiał panować nad sobą, takie uczucie bywa niebezpiecznym doradcą, kiedy jest się w trakcie badania tak złożonej sprawy. Zwrócił twarz pod strumień wody i namydlił ciało. Skupiał myśli wokół

Candy i ludzi obracających się w kręgu zmarłej dziewczyny. Czy to było samobójstwo? Jeśli tak, to co się stało z pięcioma tysiącami dolarów? Czy to Candy narysowała serce przebite strzałą? I czy inicjały P.C. oznaczają Pedro Cisnerosa? A może te inicjały nosił jeszcze ktoś inny? I jak mieszczą się w tej sprawie Whelan, Davis i Maffatore? Czy Candy była pierwszą ofiarą rozpalającego się konfliktu między Ordonezem a mafią? Pytania kłębiły się i napierały.

Ale jeden obraz pozostawał niezmienny: wzdęte, poparzone słońcem ciało Candy.

Zakręcił kurki i wyszedł spod prysznica. Wycierając się do sucha obiecał sobie, że śmierć Candy nie zamieni się w zapomnianą teczkę poźółkłych akt. Tę sprawę doprowadzi do końca.

W sypialni założył wypłowiałe dżinsy oraz białą koszulkę z niebieskimi, hebrajskimi literami, pamiątkę swej podróży po Ziemi Świętej. Przeszedł na bosaka do salonu i włączył

kasetę z Sinatrą. W kuchni, włożywszy kurczaka do piecyka, nastawił dzwonek na pięćdziesiąt minut. Zmieszał wódkę z tonikiem i wyszedł na taras.

Sinatra śpiewał „Witchcraft”, a Jack poczuł się zupełnie osamotniony. Ta stewardesa, z którą umawiał się czasami, latała na stałych trasach pomiędzy Panamą a Limą. Marge Canova, policjantka w stopniu porucznika, pracująca w Parker Center, wyjechała na wakacje do Meksyku. Ale i tak w obu tych związkach brakowało treści. Były pozbawione emocji, za to pełne powierzchownego gadulstwa i nic nie znaczącej seksualnej gimnastyki. Jediną kobietą, z którą łączyło go coś więcej, była Włoszka Gabriella Bercovici, archeolog, która pomagała mu w tropieniu doktora Sorensona. W ciągu dwóch pełnych udręk miesięcy zdołali podzielić się doświadczeniem całego życia. Wciąż z nią korespondował, a w czasie Wielkanocy mieli wspaniałe spotkanie w Nowym Jorku. Myślał o tym, aby zabrać do Rzymu na Boże Narodzenie Jenny i przedstawić ją Gabrielli.

Zadzwonił głośno telefon, wytrącając go z marzeń. Podeszedł do barku i podniósł słuchawkę.

Odezwał się woźny z dołu:

- W hallu jest panna Karen Dara.

- Przyślij ją na górę.

- Proszę chwilę poczekać, poruczniku.

Jack słyszał, jak woźny mówi do Karen:

- Apartament czternaście trzydzieści cztery.

- Poruczniku? - woźny wrócił do rozmowy.

- Tak?

- Idzie już do pana. Silvio Martinez dzwonił z dziesięć minut temu. Połączyłem go, ale nikt nie odpowiadał.

Brałem prysznic.

- Zostawił wiadomość: „Sherry Nichols trzyma się wersji całego zespołu”.

- Dzięki, Arthur.

Odłożył słuchawkę i pomyślał o Karen Dara. Przywołał obraz z filmu; Karen i Candy, objęte w długim, namiętym uścisku. Potrząsnął głową, zadziwiony. Rozumiał Candy, Traynora i innych, Ale Karen pozostawała tajemnicą. Była bystra, atrakcyjna, dowcipna i miała styl. Dlaczego wybrała pływanie w bagnie pornografii? Dla pieniędzy?

Ekshibicjonizmu? Może dla perwersyjnego poczucia władzy, władzy podniecania milionów ludzi własnym ciałem? Napił się wódki i wzruszył ramionami. Kto mógłby to stwierdzić? I kto osądzić?

Rozległ się dzwonek. Odstawił swego drinka na barek, podszedł do drzwi i otworzył je.

- Cześć, Jack - Karen uśmiechnęła się.

Gdy wchodziła do salonu, snuł się za nią słodki, odurzający zapach perfum.

Przystanęła na chwilę, z jedną stopą odsuniętą od drugiej, jak najbardziej rasowa modelka pozująca do zdjęcia. Miała na sobie biały kostium i ciemnoniebieską bluzkę, a jej szyję otaczał pojedynczy sznur koralu. Odrzuciła w tył swe miękkie, jasne włosy i zagadnęła:

- Czy coś się szykuje?

- Mrożony kurczak. Specjalność tego domu. - Patrzył na nią przez chwilę. - Drinka?

- Chętnie. Trochę dżinu.

- Dżinu nie ma. Szkocka, wódka, wino albo piwo.

- Proszę wódkę z lodem.

Usiadła na barowym stołku przypatrując się, jak przygotowuje drinki.

- Przepraszam, że tak wtargnęłam.

- Nie ma sprawy. Zaczynałem chodzić po ścianach. Niekiedy bycie samemu jest świetne. Innym razem... - wzruszył ramionami.

- Wiem - skinęła głową.

Podał jej drinka i podniósł własną szklankę.

- Zdrowie.

- Zdrowie - uśmiechnęła się.

Sinatra śpiewał „I've Got the World on the String”.

- Nieźle brzmi - powiedziała. - Nikt jeszcze nie frazował piosenki tak jak Sinatra. -

Wyjrzała na taras i spostrzegła migoczące światła Hollywood Hills.

- Miłe miejsce.

- Odpowiada mi... i mojej córce.

- Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

- Jestem wdowcem.

- Och... w jakim wieku jest twoja córka?

- Jesienią skończy siedemnaście lat.

- Trudny wiek.

- Jak dotąd nie ma problemów. Zdaje się, że mam szczęście.

- Trzeba uważać, kiedy zacznie studia, ale niebezpieczeństwo nie musi pochodzić od rówieśników - stwierdziła Karen schodząc ze stołka i powoli przechodząc w stronę tarasu. -

Trzeba uważać na wykładowców. Miałam tego pecha, że zakochałam się w profesorze filozofii. Oczywiście byłam bardzo młoda, byłam wciąż dziewczyną, jeśli chodzi o ścisłość. On mnie zniszczył.

Dopiero później dowiedziałam się, że przeleciał wszystkie dziewczyny z pierwszego roku. Nazywał się Sanford Mengers. Starsi przezywali go trafnie doktor Mengele.

Postępował podobnie, z wyjątkiem dokonywania eksperymentów medycznych.

- Dostałem wiadomość, że dzwoniłaś do mnie w pilnej sprawie - przerwał jej bez ogródek Jack.

- Nie interesuje cię moja skazona młodość? - uśmiechnęła się.

- To nie dlatego. Nie chcę sobie wyobrazać, jak moja córka wędruje przez te akademickie zaułki.

Spojrzała na niego, w jej zimnych oczach odbijał się blask światła tarasu.

- Ktoś chciał mnie zabić - oznajmiła chłodno. - Było późno. Około pierwszej w nocy.

Właśnie wyjechałam ze świątyni Sziwy. Jechałam na południe Autostradą Wybrzeża Pacyfiku

- popijała wódkę, a lekki wietrzyk poruszał kosmykami jej włosów. - Czarny Buick chciał

zepchnąć mnie z jezdni. Jechał tuż za mną przy szybkości 160 kilometrów na godzinę.

Cholernie zaryzykowałam, ale udało mi się go zgubić.

- Widziałaś twarz kierowcy?

- Nie. Było ciemno, a ja byłam przerażona.

- Kiedy to się stało?

- We wtorek, w zeszłym tygodniu.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

- Nie wiem.. - wzruszyła szerokimi ramionami. - Zdaje mi się, że nie chciałam uwierzyć, że to coś poważniejszego niż jakiś pirat drogowy. Ale jednak niepokoiło mnie to -

umilkła - myślę, że po Candy...

- Mogę się mylić - powiedział - ale nie sądzę, żeby to miało jakiś związek. To, co mówisz, wygląda na robotę jednego z tych wariatów, co szaleją w nocy po autostradach.

Zawodowcy nie zabijają w ten sposób.

- Może nie, ale wypadek na autostradzie mógłby zrećznie maskować morderstwo.

- Dlaczego ktoś miałby cię zabić?

Spojrzała na niego znad krawędzi swej szklanki.

- Nie mam pojęcia - odparła.
- A co robiłaś w tej świątyni Reguły Sziwy?
- Przeprowadzaliśmy seans.
- To znaczy kto?
- Ja, Lisa Chang i guru Meli-Ramdas.

- Dlaczego seans?
- Chcieliśmy nawiązać kontakt z duchem Candy.
- W jaki rodzaj narkotyków guru zaopatruje swoich uczniów?

Wydawała się zdziwiona.

- Skąd o tym wiesz?
- Rozpracowywałem kiedyś podobną bandę oszustów. Religie egzotyczne są zmorą Los Angeles, tak jak smog i obumieranie palm. Co miała do powiedzenia Candy?
- Nieważne - odpowiedziała szorstko.

Wszedł za nią z powrotem do salonu. Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej paczkę Gauloisów. Przetrzęsając dalej jej zawartość mruknęła:

- Cholera.
- Co się stało?
- Zapałki.

Wyjął wojskową zapalniczkę, pstryknął dźwigienką i przytknął płomyczek do jej papierosa.

- Dzięki. Skąd wzięłeś ten zabytek? - zapytała, wskazując na część ekwipunku armii amerykańskiej.
- Dostałem od starej bajzelmamy w Sajgonie.

Wydmuchnęła dym przez nos i podeszła do baru.

- Naprawdę, nie powinieneś sobie robić żartów z mojej religii.
- Masz rację. Jeżeli to kupujesz, świetnie. Ale ręczę ci, że gdybym wszedł tam z paroma wytrawnymi gliniarzami, znaleźlibyśmy profesjonalny sprzęt akustyczny, którym można tak manipulować głosem, że odbija się dając echo, podnosi się albo obniża, zmienia barwę i tonację. Znaleźlibyśmy również specjalne stoły i krzesła z ukrytymi sprężynami. To wszystko bzdura. Na taką zabawę zwykle są

naciągane bogate wdowy, które palą się, aby pogadać sobie z ich zmarłymi mężami.

- Ty naprawdę cierpisz na krańcowy cynizm - odparła zjadliwie.

- Wszyscy mamy jakieś słabości - wzruszył ramionami. - Mogę ci dolać?

- Nie, ale chętnie zapaliłabym małego skręta.

- Nie mogę ci służyć.

- Nie spodziewałam się tego - odrzuciła włosy pozwalając mu doświadczyć całej siły spojrzenia jej połyskujących oczu. Wyjęła z kieszeni skręta owiniętego w celofan.

- Wierzę, że się nie pogniewasz?

- Wcale. Używanie marihuany nie jest już w tym stanie przestępstwem. Prawdę mówiąc, to chyba mniej szkodliwe, niż te francuskie gwoździe, które palisz.

Zapaliła skręta i uśmiechnęła się.

- Och, co za trafny ogólnospołeczny komentarz. - Zaciągnęła się głęboko i długo wstrzymywała wydech. Nad barem uniósł się mały obłoczek gryzącego dymu. Poczowała pierwsze odurzenie trawą.

- Teraz mogę dostać tego odświeżacza.

Zalał wódką nowe kostki lodu i pchnął szklankę na drugą stronę baru.

- Chcesz macha?

- Nie, dziękuję.

- Hawajska. Mam kuzyna w Maui, który mi to przysyła.

- To niebezpieczne.

- Tak jak wszystko. To znaczy, relatywnie biorąc.

- Tak przypuszczam.

Przechyliła się ponad barem. Dotarł do niego zapach jej perfum.

- Masz ładne oczy, Jack.

- Dziękuję.

Sinatra śpiewał „Fly me to the Moon”.

- Kto cię tu przysłał, Karen? Leo, Sid Davis czy Don Angelo?

- To nie jest zbyt skomplikowane. Przyszłam tu, ponieważ ty jesteś gliniarzem, a ja obywatelką. I ktoś usiłował mnie zabić. A teraz jestem tutaj i na lekkim odlocie przyszło mi do głowy, że to mogłoby być wcale nie takie straszne, gdybyśmy zrobili krok dalej. Z

pewnością mamy coś do powiedzenia na temat nic nie znaczących przygód.

- Pochlebiasz mi. Ale dlaczego ja?

- Ponieważ miałeś wujka, który walczył w Hiszpanii. Cholera, czy zawsze musi być jakiś powód? Ty jesteś sam. Ja jestem sama. Dlaczego nie?

- Zaraz się rozplaczę.

- Czego się obawiasz?

- Mam przedstawić listę?

- Może nie chcesz kochać się z zawodową kochanką? Onieśmiela cię mój ekranowy *image*? Albo myślisz, że mogłabym cię zdominować?

- Nie zadaję się z emocjonalnymi kalekami.

Jej otwarta dłoń mignęła w przelocie z trzaskiem uderzając go w policzek.

Zamachnęła się drugą ręką, lecz pochwycił jej nadgarstki.

- Przepraszam - powiedział spokojnie. - Nie powinienem tego mówić. Ale jest późno, a ja jestem bardzo zmęczony.

Uwolnił jej ręce. Roztarła przeguby dłoni i wrzuciła wygasłego skręta do torebki.

Podszedł z nią do wyjścia i otworzył drzwi.

- Przykro mi z powodu tej uwagi.

- Nic się nie stało. Ludzie mówili mi już gorsze rzeczy.

- Stało się. Nie jestem w porządku.

Podeszła blisko ku niemu.

- Co znaczą te hebrajskie litery na twojej koszulce?

- „Uśmiechnij się”

- Skąd ją masz?

- Z Izraela.



- Z tego, co czytałam, to oni nie śmieją się zbyt często, czy tak?

- Robią to między wojnami.

Otoczyła ramieniem jego szyję i przyciągnęła ku sobie. Pocałowała go lekko w usta, wyszła na korytarz i odwróciła się.

- Nie martw się tym pocałunkiem. Mój lekarz mówi, że nie przenoszę niczego, co nie mogłoby zostać uleczone małą lampką Lavoris.

## Rozdział 27

Przy potężnej bramie z kutego żelaza, prowadzącej do domu, stało czterech strażników. Dodatkowe patrole chroniły prywatną drogę u podnóża wzniesienia, na którym stała willa Maffatorego. W przeciwieństwie do ostrych środków bezpieczeństwa, podjętych wokół posiadłości, na tarasie za domem panował błogi spokój.

Nad basenem z podgrzewaną wodą unosiły się kłęby pary. W gniazdach, wysoko wśród sosnowych gałęzi, świergotały sójki. Okna domu o jasnobrązowych ścianach dekorowały skrzynki szkarłatnych pelargonii. Delikatne podmuchy wiatru kołysały purpurowymi kwiatami jakiejś egzotycznej rośliny, która pięła się po ścianie tarasu.

Obok basenu, przy dużym stole przykrytym szybą, w cieniu pasiastego parasola, siedzieli trzej mężczyźni. Spocony Sidney Davis zajmował miejsce naprzeciw Angela Maffatore. Pomiędzy nimi siedział Vince Mangano o zasuszonej, wąskiej twarzy, reprezentujący radę krajową. Przyleciał na to spotkanie z Nowego Jorku. Popijał kawę, paląc nieustannie ciemnobrązowe Shermany.

- Siedzimy tu od dwudziestu minut i mędzimy coś niewyraźnie. Więc co jest, kurwa, grane z tym dzikusiem? Chce ubić interes czy nie?

Oczy Maffatorego zasłonięte były ciemnymi okularami. Nalał sobie soku pomarańczowego do szklanki.

- Nigdy nie spotkałem Ordoneza - powiedział.

- Zawierałeś układ w Miami, w osiemdziesiątym pierwszym.

- Spotkałem się z jego kuzynem Cisnerosem w Cancun, w Meksyku. - Maffatore popijał słodki sok. - Sidney właśnie wrócił z Santa Rosa. Jego zapytaj o Ordoneza.

Mangano ryknął na przejętego adwokata:

- No to gadaj, do cholery!

Sidney otarł z czoła krople potu.

- Przedstawiłem naszą propozycję oczyszczenia dodatkowych czterystu milionów.

Ordonez upiera się przy miliardzie i podnosi nam stawkę na dwanaście procent.

- To wszystko wiem - warknął Mangano. - Chcę usłyszeć, co sądzisz o tym Metysie.

Sidney poprawił się niespokojnie i sięgnął po papierosa. Nigdy dotąd nie był tak przyciskany przez członka rady krajowej. Przekroczył granicę. Zadawał się z ludźmi spoza kręgu swych klientów, będących znanymi kryminalistami. Nie mógł już ukrywać się za tarczą przepisu o „uprzywilejowanych kontaktach” klienta z adwokatem. Jego rodzące się znużenie prawem autorskim mogło okazać się fatalne w skutkach, a do tego pamiętał o groźbie Ordoneza: „Jeżeli nie zdoła pan przekonać Don Angela o naszej rozpaczliwej sytuacji, będziemy musieli obarczyć za to pana osobistą odpowiedzialnością”.

Sidney przysunął krzesło bliżej stołu, aby ukryć się przed dokuczliwym skwarem.

- Ordonez jest człowiekiem, który uważa się za bohatera, współczesnego Simona Bolívara. Wierzy, że przeznaczenie powołało go, aby poprowadzić Indian do wielkiej rewolucji agrarnej, rewolucji opartej na jednej tylko uprawie: liści koki. Jest przekonany, że ich uprawa i przetwarzanie ostatecznie zniszczy panujące społeczeństwa białej Ameryki Północnej i Europy. Dochody z koki mają wynieść Indian do władzy, a on, Ordonez, stanie się Jezusem Chrystusem tamtego regionu.

Mangano przetarł dłonią swą kościstą twarz.

- Chcesz powiedzieć, że on naprawdę wierzy w te pierdoły?

- Tak, wierzy.

Mangano zapalił nowego papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Myślałem, że Ordonez jest człowiekiem interesu.

- On jest bardzo trzeźwym człowiekiem interesu - odparł Sidney. - Ale jest także wizjonerem.

- Dla mnie to jakiś świrus.

- Nie tak bardzo - ostrzegł Sidney. - Poza wszystkim, kokaina zmienia umysł człowieka, a gdy kontrolujesz umysł, to kontrolujesz wszystko.

- Oszczędź mi tej filozofii, dobra? - burknął Mangano.

Sidney nie odpowiedział. Czuł się jak bezbronne zwierzę, zbłąkane w niebezpiecznych ostępach dżungli. Maffatore zachowywał milczenie, kryjąc oczy za czarnym szkłem okularów.

Nagle Mangano ze złością trzasnął pięścią w stół.

- Całe to pierdolenie o rewolucji to mydlenie oczu. Tutaj nie ma filozofii. Ordonez myśli, że jesteśmy bandą ciemniaków. Obraża nas. Jeżeli wyczyścimy mu miliard więcej, on da nam dodatkowe dwa

procent, a my zostaniemy z nie wypranym miliardem naszej własnej gorącej forsy. - Spojrzał na Maffatorego. - Czy ty w ogóle rozumiałeś, co tu się z nami dzieje, Angelo?

- Uważaj, jak się do mnie zwracasz, Vincenzo - odparł spokojnie Maffatore.

Wąskie usta Mangano zwiotczały, a w jego oczach pojawił się ślad niepokoju.

- Nie miałem nic złego na myśli, Don Angelo, ale mam dostarczyć radzie wiadomość.

Mieliśmy tydzień na odpowiedź dla dzikusów. I muszę wiedzieć, co robimy.

- To ty mi powiedz - westchnął Maffatore. - Nie mam żadnego pomysłu. Albo czyścimy ten miliard, albo zaczynamy wojnę. Akceptuję, cokolwiek zdecydujecie.

Arogancki ton Mangana natychmiast zmienił się w uniżoność. Podniósł ręce do góry w bezradnym geście i przemówił miękko po włosku:

- *Tu sei il capo dei capi. Tu controlli tutta l'organizzazione. Nessuno actro po desiderare.*

- Mangano przerwał i przerzucił się na angielski. - Rada jest w twoich rękach, Don Angelo.

Żyjemy i umieramy dzięki twoim decyzjom.

Sidney wyczuwał, jak w nagłej przychylności Mangana czai się strach. Po raz kolejny dziwił się, co on, wybitny adwokat, robi w tym miejscu, czego szuka między takimi bandytami.

Maffatore zdjął okulary, a jego oczy wpatrzone były w Mangana. Po chwili westchnął

ciężko i wzruszył ramionami.

- Być może za długo żyję. Pogrzebałem dwóch synów, zabitych w zapomnianych wojnach o wpływy. Pogrzebałem moją ślubną Philomenę w jej wiosce Lercara Friddi na Sycylii. Nie mogłem pochować jej na Brooklynie obok synów. Chciała wrócić na własną ziemię. Moja rodzina rozeszła się nawet po śmierci. Chciałbym się wycofać, aby spędzić resztę moich dni w spokojnej radości z tego - wskazał rękami - tego raj. Jestem dostatecznie stary, aby wiedzieć, że sukces oznacza tylko jedno: być zdolnym do wydobycia się z kłopotów.

- Ach, Don Angelo, dostaniesz bzika nic nie robiąc - powiedział przymilnie Mangano.

- Umrzesz na raka. Wysiądzie ci serce. Wysiądzie ci głowa. Człowiek musi mieć problemy, żeby trzymały go przy życiu.

Maffatore zerknął na Sidneya.

- Co postanawiamy z Ordonezem?

- Nie jestem pewny. Mieliśmy tydzień na odpowiedź. Ten tydzień minął dwadzieścia cztery godziny

temu. Ale zakładam, że Ohlendorf wciąż czeka na mój telefon.

- Gdzie on jest teraz?

- W Lozannie.

- No więc - Mangano obrócił się do Sidneya. - Jesteś *consigliere*. Co proponujesz?

- Nie jestem *consigliere*. Jestem prawnikiem. Don Angelo jest moim klientem. Nic więcej.

Mangano poderwał swą małą dłoń, zaciskając ją na gardle białego jak kreda adwokata.

- Mów do mnie jak do przygłupa, a będziesz zajadał własne gówno!

- *Basta*, Vincenzo! - rozkazał Maffatore. - Dosyć.

Mangano puścił Sidneya.

Maffatore podniósł się, podszedł wolno do oblanego potem adwokata i ścisnął mu ramię.

- Vincenzo ma rację. Jest za późno, żeby udawać prawnika. Nie tutaj i nie teraz. W tej chwili nasze problemy są także twoimi.

- Rozumiem - powiedział Sidney. - Miałem na myśli to, że pracuję dla pana.

- A więc musisz podejmować nasze problemy.

- Zna pan moje nastawienie - rzekł zrezygnowany Sidney. - Martwią mnie polityczne i ekonomiczne straty, wojny z Ordonezem.

- Co przyniesie nam wojna, Vincenzo? - zapytał Maffatore *capo* rady krajowej.

- Poniesiemy straty. Tak jak i dzikusy. Znamy ich handlarzy i rafinerie. Możemy podrzucić fedziom kilka ich transportów. Moglibyśmy całkiem nieźle rąbnąć Ordoneza.

- Zgoda, ale słyszałeś pana Davisa - Maffatore specjalnie użył jego nazwiska. -

Opisuje Ordoneza jako samozwańczego proroka, a prorocy lubią cierpieć. Ordoneza nie obchodzą handlarze, transporty i rafinerie. A my to właśnie będziemy niszczyć. Cena śniegu wzrośnie. W tym czasie oni dołożą nam. Vegas, związki, hotele, nocne kluby, sprzedawcy heroiny i szczególnie przemysł porno. Walka będzie toczyć się w Miami, Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles, tutaj. Tutaj, w Ameryce. Fedzie będą się cieszyć. Otworzą sobie szampana. Będzie źle, Vince - Maffatore odwrócił wzrok ku miastu. - Będzie źle - zamruczał.

- Byłeś w Santa Rosa - Mangano ciepło i poufnie zwrócił się do Sidneya. - Czy byłyby jakieś możliwości, żeby stuknąć Ordoneza?

- Nie jestem ekspertem w pięknej sztuce dokonywania zamachów, ale według mnie nie macie szans. Willa jest otoczona tropikalną dżunglą. Prowadzi tam jedna droga, patrolowana przez jego prywatną armię. Posiadłości strzegą przez okrągłą dobę Kubańczycy uzbrojeni w kałasznikowy kaliber czterdzieści siedem. Nawet armia kolumbijska nie może go dostać.

Zapadła cisza.

- Dzwon do Ohlendorfa, Sidney. - Westchnął po chwili Maffatore. - Powiedz mu, że bierzemy miliard na dwanaście procent.

Zielony telefon na stole odezwał się głośno. Maffatore podniósł słuchawkę.

- Tak? Sprowadź go tutaj.

- Kto to? - spytał zaskoczony Mangano.

- Leo Whelan.

- Czego on chce, do cholery?

- Zobaczymy.

Whelan zbiegał ociężale po trawiastym zboczu, trzymając na ramieniu zdjętą marynarkę. Jego koszula pociemniała od potu. Gdy łapał oddech, jego brzuch rozdymał się jeszcze bardziej. Otarł oblane potem czoło, błyskając w słońcu diamentowym pierścieniem.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, Don Angelo, ale...

- To jest Vincent Mangano - przerwał Maffatore.

Wieloryb skinął głową.

- O co chodzi, Leo?

- John Traynor i Stella Pierson zostali zastrzeleni. Właśnie podało radio.

Maffatore opadł na krzesło. Pokryta zmarszczkami, opalona twarz starca przybladła.

- To skurwiele! - zaklął. - Dzikusy kurewskie! Na pewno zabili też Candy, Nie mogli odczekać jednego dnia dłużej. Spojrzał na Sidneya. - Mówiłem ci, krew jest wszystkim. Krew jest przeznaczeniem. A Ordonez ma właśnie taką kurewską krew Metysa!

- Nie mogę wystartować z produkcją - biadolił Leo. - Nie mam żadnego aktora ani aktorki o randze gwiazdy, z którymi mógłbym zacząć robotę. Miałem kręcić „Wspomnienia o Candy” w San Francisco, a teraz...

- Stul mordę, Leo! - zagrział Maffatore. - Siadaj!

Wieloryb wbił się w krzesło zniżając wzrok ku diamentowi na palcu.

Maffatore pochylił się nad stołem do Mangana.

- Vince, zawiadom Nowy Jork. Przekaż radzie, że mamy wojnę.

## Rozdział 28

W ślepej uliczce przy wejściu do willi Traynora stał rząd służbowych pojazdów.

Samochody prasy i wozy transmisyjne TV parkowały po bokach stromej drogi dojazdowej.

Jack, idąc w stronę domu, zastanawiał się, skąd prasa zawsze dostaje cynk. Nieustanne poszukiwanie tematu śmierci w massmediach przypominało mu krążenie nad dżunglą sępów, które pojawiały się natychmiast po zakończeniu wymiany ognia.

Spostrzegł Silvia stojącego za żółtą taśmą, rozciągniętą przez mundurowych policjantów z posterunku w Hollywood.

Jack mignął swym znaczkiem, przekroczył taśmę i podszedł do niego.

- Rozpierducha - rzucił Silvio.

- Kto tym kieruje? - zapytał Jack.

- Ten olbrzym, szef detektywów z posterunku w Hollywood.

Podeszli do ciemnego Chevroleta, na zderzaku którego rozparty był człowiek-góra.

- To mój kolega, porucznik Raines - powiedział Silvio.

Mężczyzna wyciągnął do przywitania największą dłoń, jaką Jack widział w życiu.

- Steve Riddle.

Jack podał mu swoją i jęknął pod uściskiem.

- Mam rozkazy, żeby przekazać panu ten bajzel - stwierdził Riddle.

- Dotykaliście czegoś?

- Moi chłopcy nie. Dostaliśmy telefon trochę przed ósmą i przyjechaliśmy o ósmej dwadzieścia. Lekarz, fotografowie, ludzie z laboratorium i daktyloskopii przyjechali około wpół do dziesiątej.

- Więc nic nie było ruszane?

- Jak powiedziałem, niczego nie dotykaliśmy. - Umilkł. - Cholerne słońce.

- Chodźmy do środka - zaproponował Jack.

- Już tam byłem - odparł Riddle.

- Kto znalazł ciała?

- Meksykańska służąca.

- Gdzie ona jest?

- Siedzi nad basenem.

- Przesłuchałeś ją?

- Nie. Była w szoku. Żegnała się tylko i mamrotała coś po hiszpańsku.

- Okay... Chcę, żeby się wszyscy wynieśli - powiedział Jack. - Chciałbym, żebyś postawił całodobową straż, jednego człowieka z tyłu i jednego od frontu, aż do czasu, gdy dom zostanie opieczętowany.

- Nie ma sprawy.

\*

Ciało Traynora spoczywało u podnóża spiralnych schodów, głową w dół. Plamy krwi na białej wykładzinie znaczyły drogę, którą toczyły się zwłoki. Wykoślawione rysy jego twarzy przypominały zmierzwną glinianą masę. Pomocnik lekarza sądowego klęczał obok i nakładał celofanowe torebki na zeszywniałe palce Traynora.

Jack i Silvio obeszli zwłoki schodząc ostrożnie w dół. Pomocnik wstał spostrzegłszy Jacka.

- Pocisk rozpryskowy. Roztrzaskał mu twarz. Wygląda jak w pieprzonym science fiction.

- Gdzie Torres?

- W sypialni.

Silvio podszedł za Jackiem do szklanych drzwi, wychodzących na basen. Meksykanka siedziała przy stole, patrząc nieobecny wzrokiem na dwóch mundurowych policjantów, którzy gawędzili paląc papierosy.

- Silvio...

- No?

- Idź tam. Pogadaj z kobietą po hiszpańsku, niech się uspokoi. Ciągle jest nieprzytomna. Spróbuj ją ocucić.

- Okay.

- I wyrzucić tych gnojników. Dlaczego, do cholery, palą na służbie?

- Policjanci z Hollywood - rzucił zgryźliwie Silvio.

Jack westchnął.

- Czy Brody złapał kontakt z Karen Dara?

- Jeszcze nie.

- Zadzwoń do niego i powiedz, że telefon guru jest zapisany w mojej teczce z aktami sprawy. Ona może tam być.

Stella Pierson siedziała na łóżku. Siła wystrzału rzuciła ją o wezglowie. Jej twarz wyglądała jak wymieszana wielobarwna glina, zastygła w kształcie sterczącego ryja. Otwarte oczy stanowiły ostatni rozpoznawalny znak tego, co kiedyś stanowiło ludzkie oblicze. Białe, satynowe prześcieradła spryskane były kroplami krwi.

Gabriel Torres wręczył asystentowi pobraną próbkę.

- To wszystko - stwierdził. - Możecie ją zabrać.

Przysadzisty lekarz spojrzał na Jacka.

- *Buenos dias, compadre.* - Oczy miał podkrążone ze zmęczenia. - Ostrzegałem cię -

rzucił, wskazując na nocny stolik, gdzie widniało serce przebite strzałą usypane z kokainy. -

Taka sama walentynka. Te same inicjały P.C. Mamy seryjnego mordercę.

- Może - odparł Jack. - Chemicy zbadali ten śnieg?

- Tak. Siedemdziesięcioprocentowy.

Weszło dwóch mężczyzn z noszami i czarną torbą na ciało.

- Chodź - Torres chwycił Jacka za ramię. - Wyjdźmy stąd.

Ruch w salonie znacznie przycichł. Wyszli fotografowie, a specjaliści od odcisków palców pakowali walizki z przyborami. Jack zerknął w stronę basenu i dostrzegł Silvia pocieszającego meksykańską służącą.

- Chodźmy do kuchni - zaproponował Torres.

Minęli salon i przeszli przez wnękę do lśniącej glazurą kuchni.



Torres wyjął z marynarki srebrną piersiówkę i nalał dwie spore miarki tequili.

- Walnij to. - Przechylili kieliszki, krzywiąc się od ukłucia wódki pędzonej z kaktusów.

- Jezu, ale poranek.

- Co stwierdziłeś? - zapytał Jack.

- Znaleźliśmy na górnym stopniu schodów pojedynczą łuskę dowodową, kaliber dwadzieścia dwa. Traynor musiał otworzyć drzwi i dostał stojąc piętnaście centymetrów od lufy. Pocisk eksplodował w głowie, rozsadzając mu twarz. Stąd ta miazga. Taki wygląd zapewniają tylko pociski rozpryskowe. Znaleźliśmy jeszcze dwie łuski w sypialni.

- Czy ciała są w jakikolwiek sposób pokaleczone?

- Nie wykryłem tego.

- Kiedy zostali zastrzeleni? Czas jest bardzo istotny.

- Wolę najpierw zrobić badania toksykologiczne, zanim coś powiem.

- Przynajmniej orientacyjnie.

- Zastrzelono ich nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu. Prawdopodobnie między drugą a szóstą wczoraj po południu.

- Łączyłbyś ten sposób zabójstwa z Candy Lane?

- Hm. Candy została zabita automatyczną Berettą dwadzieścia pięć, a w tym przypadku to broń automatyczna dwudziestka dwójka. Nie znamy marki, ale pociski rozpryskowe to rzadkość. Kokainowa walentynka jest taka sama i wszystkie trzy ofiary zostały zabite z niezwykle bliskiej odległości.

- To znaczy, że co?

- Że znały zabójcę.

- Co wykluczałoby ideową straż obywatelską.

- Nie. Ktoś bliski im mógł się nawrócić. To twój problem, *amigo*.

Weszli do salonu, gdy obsługa z kostnicy wyносиła po schodach zapakowane w czarną torbę ciało Stelli. Torres uściśnął ramię Jacka i powiedział:

- Rano będę coś miał dla ciebie.

- Dzięki, Gabby.

Lekarz przeszedł pokój do spiralnych schodów i wspiał się z trudem po zaplamionych krwią stopniach.

Jack wyszedł na taras, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem. Silvio poklepał dłoń służącej, podniósł się i odprowadził Jacka na bok.

- Już jest z nią lepiej. Powiedziałem, że potrzebujesz jej pomocy i żeby się nie bała. Jej angielski jest taki sobie, ale jak będziesz wolno mówił, to zrozumie.

Silvio przedstawił Jacka. Kobieta była w średnim wieku, miała surowe rysy i nieruchome, czarne oczy. Jej stoicka twarz przypominała mu rzeźbione głowy Azteków.

- Pani Lopez, potrzebujemy pani pomocy - zagadnął ciepło, siadając obok.

Silvio pozostał na stojąco.

- O której godzinie pani tutaj przyszła? - spytał Jack.

- Przed ósmą, myślę...

- Proszę sobie przypomnieć, co pani zobaczyła i co zrobiła.

- Za... zadzwoniłam do drzwi, jak zwykle. Ale tylko żeby senior wiedział, że już jestem. Czasami zostaje w łóżku. Używam swoich kluczy. Otwieram drzwi i... *Madre de Dios*

- przeżegnała się - widzę seniora Traynora. Widzę twarz. Widzę krew. Krzyczę...

Jack pogładził jej dłoń.

- Proszę mówić dalej, pani Lopez.

- Zakrywam oczy. Schodzę po schodach na dół. Myślę zadzwonić na policję. Chcę przypomnieć numer. Staram się myśleć. Idę do sypialni.

- Po co?

Pytanie zaskoczyło ją i spojrzała na Silvia.

- *Por quere entra la camara?* - zapytał.

- *No se.*

- Nie wie, dlaczego tam poszła - wyjaśnił.

- Okay. Co się działo dalej?

- *Que?* - zapytała.

- *Que pasa en la camara?* - tłumaczył Silvio.

- Widzę dziewczynę. Krzyczę. Upadam na kolana. Biegnę do salonu. Biorę telefon.

Wykręcam, wiecie, *nueve-uno-uno*.

- Dziewięć-jeden-jeden.

- Pamiętam, żeby zadzwonić ten numer.

- Dobrze pani zrobiła “ powiedział łagodnie Jack.

- Rozmawiam z dyżurną. Ona mówi, żeby zostać, czekać na policję. Wychodzę tutaj.

To wszystko, co ja widziałam. To wszystko, co ja wiem.

- Dziękuję za pomoc, pani Lopez - powiedział Jack wstając. - Przykro mi, że musiała to pani widzieć. Przykro, że to pani musiała być tą osobą, która ich znalazła. Znajdziemy kogoś, kto panią odwiezie do domu.

\*

Jack i Silvio przetrząsali dom: szafy, szuflady, regały, kieszenie ubrań, kosmetyki, sekretarzyk z dokumentami i biurka.

Znaleźli dwanaście tysięcy dolarów w nowych studolarówkach, ważny paszport, notes z telefonami zawierający listę nazwisk zbliżoną do tej z notesu Candy Lane. Na kartce ze sprawami do załatwienia widniała notatka Traynora, aby zadzwonić do Davisa.

- Wygląda, jakby byli zabijani przez profesjonalistów - komentował Silvio. - Ale jeżeli Ordonez chce zniszczyć interes pornograficzny mafii, to dlaczego nie stuknie Whelana?

Dlaczego zabija aktorów?

- Whelan nie ma trzydziestocentymetrowego fiuta - odparł Jack. - Nie jest gwiazdą i nie potrafi reżyserować. Wieloryb jest człowiekiem od interesów i można go zastąpić.

Wyszli z domu na jaskrawe słońce. Horda dziennikarzy i ekip telewizyjnych pominęła Silvia, który przeszedł do swego samochodu. Gestykulujące i rozwrzeszczane stado obiegło natomiast Jacka. Stał i podniósł w górę rękę:

- Uwaga! Szef Operacyjnego John Nolan wyda dziś wieczorem oficjalny komunikat.

- O której dokonano morderstwa?

- Czy nagrywali porno?

- Znaleźliście śnieg?

- Kim była kobieta Traynora?

Jack zignorował pytania i przebrnął przez tłum rozgniewanej prasy do swego Pontiaca. Otworzył drzwi i rzucił marynarkę na tylne siedzenie. Na jego koszuli widniały ciemne plamy potu. Wziął parę głębokich oddechów i wsiadł do auta. Uruchomił silnik i włączył wentylację.

- Chcę panu podziękować, poruczniku - w otwartym oknie pojawiła się uśmiechnięta twarz Glorii Hunnicutt. - Ciągnę temat, który dał mi sierżant Brody.

- Jaki temat?

- Ten o Candy Lane i Kolumbijczyku Cisnerosie oraz w jaki sposób Jeff Kellerman zdobywał u niej określone względy. Nie mogłam powiedzieć, że dostawał od niej śnieg, ale zwrot „określone względy” w pełni zadowalała prawników z mojej sieci, a robi tę samą robotę, nie myśli pan?

- Miło mi, że ci się wiedzie. Gloria.

- Powiedz, znaleźliście następną walentynkę?

- Zapytaj Brody'ego - odparł Jack i wrzucił bieg. On jest twoim wyznawcą. Gloria.

Powiada, że jesteś wielką artystką.

- Jestem po prostu dobrą dziennikarką, poruczniku.

Jack nacisnął gaz i z piskiem opon zjechał na drogę.

Zerknąwszy we wsteczne lusterko zauważył, jak czarna chmura spalin osiada na platynowej fryzurze królowej plotki. Zredukował bieg zjeżdżając w dół stromą szosą, wijącą się zbieżem wzgórze w kierunku Sunset Boulevard.

## Rozdział 29

Nocne niebo było krystalicznie czyste. Za panoramicznym oknem połyskiwały niezliczone, wielobarwne światła. Nolan przemierzał nerwowo pokój. Jego zwykle szara cera zaróżowiła się, a lewą stronę twarzy przebiegał nerwowy tik.

- Bóg jeden wie, ile brudu wyłazi przy tej robocie - utyskiwał. - A ja mam znosić politykę, biurokrację, znieczulicę społeczną, niedostateczny budżet i niekompetentny personel. - Zatrzymał się. - Wy uczycie się zadowalać tym gównem. Ja odrobiłem swoje na ulicach. Widziałem cały ten koszmar. Chodziłem po kolana we krwi i ekskrementach. To jest taka robota. Wybraliśmy ją, aby chronić obywateli i im służyć, ale do ciężkiej cholery, nie będę: tolerował jakichś pieprzonych tajemnic. Prosiłem was, żeby odłożyć tę sprawę i spocząć wygodnie na laurach. Przechwyciliśmy śnieg o handlowej wartości trzystu milionów dolarów, największy skok w historii L.A. Ale wy, chłopcy, uparliście się - przerwał, chwytając się za brzuch. - I teraz mamy tajemnicę w całej

okazałości.

Używał słowa „tajemnica”, jak gdyby był to najbardziej jadowity wyraz w języku angielskim. Jack i Silvio nie odzywając się wymienili między sobą spojrzenia. Nolan pchnął

przez biurko w ich stronę najnowsze wydanie „Herald Examiner”.

- Sztandarowa historia - powiedział. - „Kto zabija gwiazdy porno?” Od tego się zaczyna, a kończy na Kolumbijczykach i mafii. Wszystko to było w wiadomościach o szóstej

- Nolan opadł na fotel. - Dostanę teraz w dupę od komisarza, burmistrza i innych ważniaków.

Policja z Malibu przekazała nam śmierć Candy Lane, bo znaleźli w jej domu stężoną kokainę.

A zrobiwszy to, elegancko wróciła sobie w rutynowy dryf. Hollywood oddaje nam morderstwa Traynora i Stelli Pierson z powodu kokainowej walentynki. Wyjaśniłem Jego Czcigodności burmistrzowi, że nie jesteśmy wydziałem zabójstw. I wiecie, co mi powiedział?

„Operacyjny jest wydziałem śledczym i zajmuje się wszelkimi przejawami działalności przestępczej. Liczę na ciebie, John, że rozwikłasz te walentynowe morderstwa”.

Nolan wysunął górną szufladę i wyjął niebieską butelkę Brioschi. Wyrząsnął do szklanki z wodą kilka kryształków tabletek żołądkowych, zaczekał, aż rozpuszczą się z szumem, i wypił jednym haustem. Czknął, potarł brzuch i skrzywił się.

- No dobra. Słucham, panowie.

Jack podniósł się, podszedł do wielkiego, panoramicznego okna i przyjrzał się tęczowym światłom jaśniejącym aż po brzeg oceanu.

- Kontemplujesz widok? - zapytał sarkastycznie Nolan.

Silvio zauważył, że mała blizna na policzku kolegi nieomal płonie. Miał tylko nadzieję, że Jack nie wyładuje swego gniewu.

- Sprawy mają się tak - przemówił ze spokojem Jack. - Candy Lane, osaczona narkomanka biorąca trzy gramy dziennie, nastoletnia gwiazda filmów erotycznych, zostaje znaleziona z kulą. Wykryliśmy, że miała kontakt z Cisnerosem, Whelanem i Davisem, a to oznacza Maffatorego i mafię. Miała również kontakty ze światem kina niepornograficznego w osobie Jeffa Kellermana. Candy Lane była biseksualna. Zaangażowała się w lesbijski związek z Karen Dara, być może też ze swoją reżyserką Sherry Nichols i z Lisą Chang, która wprowadziła ją do sekty o nazwie Reguła Sziwy. Została zabita z bliska, Berettą kaliber 25.

Wszystkie okoliczności śmierci wskazują na samobójstwo. - Zbliżył się wolno do biurka Nolana. - Ale znajdujemy walentynkę usypaną ze śniegu z inicjałami P.C. i zakładamy, że jest to dedykacja samobójczyni dla Pedra Cisnerosa, z którym mogły ją łączyć miłosne stosunki.

Tej nocy, przed śmiercią, Whelan wypłacił Candy pięć tysięcy dolarów w nowych, studolarowych banknotach. Tych pieniędzy brakuje.

- Mogła zatrzymać się po drodze do domu i kupić kokę za pięć tysięcy - odparł Nolan.

- Do licha, Jack, nie twórz tajemnic. Traynor i Pierson są ofiarami morderstwa, ale nie Candy.

Lekarz sądowy stwierdził samobójstwo.

- Powiedział również, że ktoś mógł przystawić jej Berettę do skroni, a potem odcisnąć jej palce na rewolwerze.

- Torres wspomniał także o walentynie, że jest tradycyjnym znakiem firmowym seryjnych morderców - wtrącił Silvio.

- A biorąc pod uwagę okoliczności śmierci Traynora i Stelli - dodał Jack - tak zwane samobójstwo Candy w oczywisty sposób staje pod znakiem zapytania.

- Siadaj - warknął Nolan. - Denerwujesz mnie.

- Urodziłeś się już zdenerwowany.

- Nie bądź taki mądry.

- Dalej - ciągnął Jack. - Odwiedzam Kellermana. Bajerował Candy obietnicami kariery aktorskiej, ale nie sądzę, by figurował na liście potencjalnych morderców. Dostaje panienki i śnieg od Whelana, ale nie mogę tego udowodnić. Kellerman jest tylko przypadkowym elementem, pływającym kawałkiem gówna, które ujawniło się przy okazji tak złożonej sprawy - Jack zapalił cygaretkę. - Dalej, otrzymuję pilną wiadomość od walecznej gwiazdy porno, Karen Dara. Przychodzi do mojego mieszkania i mówi, że ktoś chciał ją staranować na Autostradzie Wybrzeża Pacyfiku.

- Kiedy? - spytał Nolan, wykazując odrobinę zainteresowania.

- Wkrótce po śmierci Candy. Karen przyjmuje chłodną, apatyczną maskę, ale boi się i powiada, że brała udział w seansie, w świątyni Sziwy. Komunikowała się z duchem Candy.

- Co?! - wykrzyknął Nolan z niedowierzaniem.

- To jej religia, John.

- Chcesz mi powiedzieć, że ona wierzy w te brednie?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Jedź dalej, na Boga - Nolan sposepniał. - Te seanse to najstarszy pic świata.

Mówiłeś, że Karen Dara to wykształcona i bystra baba.

- I pełna sprzeczności - dodał Jack.

Nolan zapalił cygaro i wypuścił chmurę dymu pod światła w suficie.

- Okay... okay... komunikowała się z duchem zmarłej dziewczyny. I co nieboszczka panna Lane miała do powiedzenia?

Jack usiadł obok Silvia.

- Nie wiem. Wjechałem na tę jej religię, tak jak ty teraz, John. I zamknęła się. Wierzę, że historia z samochodem jest prawdziwa, ale to raczej jakiś psychiczny, pirat drogowy, nic więcej.

- Rozważałeś możliwość, że to ona mogłaby stuknąć Candy? - zapytał Nolan. -

Kochała się z nią i wie, jak używać broni.

- To możliwe, ale brakuje motywu.

- Pamiętaj jednak - wtrącił Silvio - że Karen nie ma alibi na czas popełnienia morderstwa.

- Tak jak wszyscy w tej sprawie.

- Ale ona towarzyszyła Candy na Key Biscayne w czasie weekendu z Cisnerosem -

upierał się Silvio.

- No to co? - zapytał Nolan.

- Każdy, kto robił z nim interesy, mógł wiedzieć zbyt dużo.

- To są domysły - stwierdził Nolan i spojrzał na Jacka. - Jedź dalej. Chcę wiedzieć wszystko, aż do tej chwili.

- Traynor i Karen Dara nienawidzili się wzajemnie. Stella Pierson była pieszczoszką, która właśnie miała awansować.

- Skąd to wiesz?

- Traynor powiedział mi o ciągnącym się konflikcie z Karen. A Stella oświadczyła nam, że będzie gwiazdą w nowym filmie pod tytułem „Wspomnienia o Candy”.

- Lisa Chang i Sherry Nichols potwierdziły to - dodał Silvio.

- Wśród tych pornograficznych potworów może być sporo zazdrości - rozważał

Nolan. - To mi wygląda na wewnętrzne porachunki. Cała trójka została zastrzelona z bliskiej odległości. Żadnego włamania, walki. Zabójca musiał być dobrym znajomym, któremu ufali, kimś, kto poświęcał czas na rysowanie walentynki.

- Silvio ma inną teorię, która może wszystko wyjaśnić powiedział Jack.
- Nie wiem, czy to wszystko wyjaśni, ale Pepe powiedział, że Ordonez odrzucił ofertę, którą złożył Davis w Santa Rosa.
- Jaką ofertę?
- Maffatore zgodził się kompromisowo czyścić dodatkowe czterysta milionów. Te zabójstwa mogą być sposobem Ordoneza na rozbięcie przemysłu pornograficznego mafii.
- No tak, to najlepsza teoria, jaką mamy - stwierdził Nolan. Obszedł biurko i przysiadł na oparciu obitej skórą sofy. - Jeżeli te zabójstwa są otwarciem w wojnie między Maffatorem a Ordonezem, to znaczyłoby, że sen spełnia się na jawie. FBI, DEA, straż przybrzeżna, Służba Graniczna, na Boga, nawet prezydent miałoby powód do toastów. Ale w tej chwili to wszystko hipotezy, a ja za pół godziny mam konferencję prasową w Parker Center. Co mam powiedzieć?
- Śledztwo jest w toku - zaproponował Jack. - Badamy różne poszlaki. Jutro w południe lekarz sądowy ustali moment zgonu Traynora i Stelli Pierson. Ich zabójstwo może mieć związek z międzynarodowym szmuglem narkotyków. Dolej trochę wody, żeby mogli wypełnić dwie kolumny.
- Trzeba wspomnieć o tym kutasie Kellermanie - dodał Silvio. - To da im namiar na Hollywood.
- A co z walentynkami? - spytał Nolan.
- Pozwól Brody'emu sprzedać to osobiście Hunnicutt - powiedział Jack.

Nolan skinął głową i wstał.

- Dajemy obstawę dla Nichols i Chang?
- To nie są gwiazdy - stwierdził Jack. - Zresztą musiałbyś chronić cały zespół

techniczny, który pracował przy ostatnim filmie Candy. Ktoś, kogo powinniśmy pilnować, to Karen Dara.

- Myślcie sobie, co chcecie - westchnął Nolan - ale zamierzam zapalić świeczkę w kościele. Zamierzam pomodlić się, aby te morderstwa były pierwszymi strzałami w wojnie Kolumbijczyków z mafią. Poza oczywistymi korzyściami z faktu, że gnojki skoczyłyby sobie do gardeł, miałibyśmy z głowy ten tajemniczy interes - Nolan przerwał na chwilę. - Okay...

ciągnijcie dalej i uważajcie na siebie.

\*

Jack usiadł za swym biurkiem i nalał do papierowego kubka miarkę irlandzkiej whisky. Spojrzał na zużyte, wykoślawione meble, potrząsając głową. Nolan nawet nie kiwnął



palcem w sprawie obiecaney wymiany zdezelowanych gratów.

Jack przełknął mocny trunek i poczuł jego ciepło rozchodzące się po żołądku. Wstał i otworzył okno. Do środka wpadł powiew parnego, nocnego powietrza.

Spoglądał na nie kończący się strumień samochodowych świateł na rozjeździe autostrady. Wydawało mu się, że otaczają je kręgi miękkiej poświaty. Najwyraźniej słabły mu oczy. Będzie musiał sprawić sobie minusowe szkła. Telefon na biurku zadzwonił ostro.

Podniósł słuchawkę.

- Raines.

- Chciałeś mnie widzieć? - zapytała Karen Dara.

- Zgadza się.

- Kiedy?

- Zaraz. Czy na tych mokradłach w Venice jest jakaś bezpieczna restauracja?

- Wbrew pozorom tak. Jest nowa, droga i dobra. Ale możesz znać ludzi stamtąd.

- To co?

- Chcesz, żeby całe miasto wiedziało, że chodzisz na kolacyjki z Karen Dara?

- Czy nie potrafisz, choćby na chwilę, przestać siebie nianawidzić?

- Kiedy tam będziesz?

- Zaraz wyjeżdżam. Zarezerwuj stolik.

- Już to zrobiłam.

W słuchawce zapadła cisza. Odłożył ją, chwycił leżącą na sofie marynarkę i otworzył drzwi. Z hali biurowej dochodził stuk maszyn i dzwonienie telefonów. Właśnie przekroczył próg, gdy zadzwonił jego telefon.

Przechylił się nad biurkiem i podniósł słuchawkę.

- Porucznik Raines?

- Przy aparacie.

Mówi Lisa Chang. Staralam się złapać detektywa Martineza, ale on...

- O co chodzi? - przerwał Jack.

- No więc, to dotyczy zabójstwa Johna Traynora i Stelli Pierson. Pomyślałam, że pan powinien czegoś się dowiedzieć. - Jej głos załamał się lekko i Jack wyczuwał, że kobieta stara się zachować panowanie nad sobą.

- Proszę spokojnie mówić, panno Chang - odezwał się ciepło.

- To w sprawie Karen Dara. My, to znaczy ja, Karen Dara i guru Meli-Ramdas przeprowadziliśmy seans.

- Karen mi mówiła.

- Och - w jej głosie brzmiało zdziwienie. Odchrząknęła. - Czy Karen powiedziała panu, co duch Candy polecił jej zrobić?

- Nie.

- W takim razie chyba nie powinnam tego mówić. W końcu to również moja religia.

Ale nic na to nie poradzę, zwłaszcza po tym, co się stało.

- Zapewniam panią, że cokolwiek pani powie, zostanie to utrzymane w tajemnicy - skłamał.

- No więc, głos Candy wzywał Karen do poszukiwania zemsty.

- Zemsty na kim?

- Na wszystkich.

- Czy Karen coś odpowiedziała?

- Nie przypominam sobie. Chyba nie. To był taki duchowy kontakt, ale myślę, że powinnam panu o nim powiedzieć.

- Pani insynuuje, że Karen Dara zamordowała Traynora i Stellę.

- Nie, nie - zaprzeczyła nerwowo. - Ja po prostu, ja, no... boję się. Musiałam to komuś wyznać.

- Okay, zrobiła to pani.

- Śmiertelnie się boję, poruczniku.

- Rozumiem te obawy, ale w naszym mniemaniu jest pani bezpieczna. Nikomu pani nie zagraża.

- Stella też nikomu nie zagrażała.

- Stella to przypadek.
- Więc sądzi pan, że nie jestem w niebezpieczeństwie?
- Nie. Ale jeżeli się pani boi, możemy panią umieścić w strzeżonym odosobnieniu.
- Nie chcę być zamknięta w jakiejś celi.
- Trudno mieć o to do pani pretensje. Moja rada, to żeby się pani uspokoiła i była w kontakcie z moim biurem. Jeśli mnie nie ma, może pani zapytać o Silvia Martineza lub sierżanta Brody'ego.
- Dziękuję, panie poruczniku. Mam nadzieję, że nie gniewa się pan za mój telefon.
- W żadnym wypadku. Żegnam, panno Chang.

## Rozdział 30

W czasie jazdy z domu Karen do restauracji dyskutowali o podwójnym morderstwie.

Jack starał się pominąć wyjątkowo drastyczne okoliczności tych zabójstw, lecz ona domagała się szczegółów z dziwną natarczywością, zaspokajając niemal perwersyjną potrzebę szokujących wrażeń. W końcu opowiedział jej wszystko. Zapadła w melancholijne milczenie, spoglądając przez okno na mijane rzędy jednopiętrowych, niszczących domów. Otrząsnęła się z przygnębienia, gdy skręciwszy w Market Street zobaczyli barwnie oświetlone wejście do restauracji nazwanej po prostu „Market Street 72”.

Dwóch Irańczyków w czerwonych marynarkach zajęło się Pontiakiem, odprowadzając go na parking. Minęła właśnie pora kolacji i grono dobrze ubranych gości tłoczyło się w wyjściu, czekając na swe samochody. Mężczyźni taksowali wzrokiem Karen, gdy przechodziła wraz z Jackiem przez wąską uliczkę.

Miała na sobie czarną, jedwabną sukienkę, będącą wzorem prostoty. Wokół jej szyi układał się sznur pereł, przeguby dłoni otaczały trzy cienkie, włoskie bransolety ze złota. Fale rozczesanych na środku jasnych włosów obramowywały twarz. Towarzyszył jej zapach drogich perfum, jak gdyby poruszała się w odrębnym, wonnym kręgu powietrza.

Restauracja urządzona była w obszernym, sześciennym wnętrzu. Na kremowych ścianach wisiały dwa wielkie, abstrakcyjne płótna. W tyle oświetlone reflektorem pianino dekorował bukiet peruwiańskich lilii. Wystrój był spokojnym połączeniem Art Deco i zwykłego współczesnego umeblowania.

Zajęli stolik w głębi, obok pianina. Grała na nim składankę tematów Cole'a Portera jakaś kobieta z martwym uśmiechem na twarzy, jakby jej obecność tutaj była podejrzana.

Zgrabna kelnerka o brutalnych, zimnych oczach przyjęła ich zamówienie, składające się ze świeżych ostryg i białego wina, a następnie kurczaków z rożna. Jack zapalił cygaretkę i właśnie chciał coś powiedzieć, gdy podszedł *maître* niosąc butelkę Dom Perignon. Za nim kroczył meksykański

posługacz ze srebrnym wiaderkiem do lodu.

- Z pozdrowieniami od pana Bennetta - powiedział *maitre*.

Jack rozejrzał się po sali i dostrzegł jaśniejącą, łysą głowę. Gwiazdor telewizji pomachał mu i Jack odpowiedział tym samym.

- Nie wiedziałam, że zadajesz się z bogatymi i sławnymi - zagadnęła Karen.

- Parę lat temu wyświadczyłem mu małą przysługę.

*Maitre* wystrzelił korek i nalał odrobinę szampana do kieliszka Jacka. Wypił ją i skinął głową.

- Dobry.

Szef sali przystąpił do napełniania ich kieliszków, po czym umieścił butelkę w wiaderku z lodem.

- Dobrze by było, gdyby przekazał pan kelnerce, że może nie przynosić białego wina.

- Tak, sir.

Podnieśli kieliszki.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie.

- Jaką przysługę zrobiłeś panu Bennettowi? - zapytała Karen, popijając szampana.

- Był poddany klasycznemu szantażowi. Młodzi chłopcy. Przyciskał go jakiś alfons.

Mieli zdjęcia. Te sprawy.

- Wykroczyłeś poza prawo?

- W pewnym sensie. Chłopcy byli nieletni. Ale nie cierpię szantażu. To jedno z tych przestępstw, których nie mogę znieść.

- A on zawiesił działalność? Mam na myśli chłopców.

- Mam nadzieję. Chociaż wątpię.

Pianistka grała „Don't Cry for Me, Argentina”.

- Smutna melodia.

- Yhm.

- Fatalnie wyglądasz, Jack.

- Nie spałem.

- Ja też nie.

- Dlaczego jeździłaś do tej Sziwy?

- Mówisz o dzisiejszym dniu?

Skinął głową.

- Kiedy dowiedziałam się o Johnie i Stelli, po prostu miałam odlot. Tam teren otoczony jest drutem kolczastym, a guru zatrudnia silną straż. Wydawało mi się, że to bezpieczne miejsce.

Kelnerka przyniosła ostrygi.

- Skąd się tu wziął ten szampan? - spytała.

- To prezent - wyjaśnił Jack.

- Zamówiłam już wino - powiedziała lodowato.

- No cóż, zdarza się - odparł z uśmiechem Jack. - Tak to już bywa na tym świecie.

- Życzę smacznego.

Ostrygi były świeże i zimne. Miały wyborny, lekko metaliczny smak i morską woń.

Pochłaniali je, popijając szampanem.

Jack zauważył brodatego mężczyznę, zerkającego na Karen, i zastanawiał się, czy to jej czysta, szlachetna uroda zwracała jego uwagę, czy też rozpoznawał ją z filmu.

- Nie miałem zamiaru najeżdzać na tę całą Regułę Sziwy - powiedział. - Nikt nie ma prawa krytykować osobistych wierzeń kogoś innego.

- Dajmy temu spokój.

- Nie. Chcę to wyjaśnić. Te wschodnie religie są w większości bzdurą, dlatego zareagowałem w ten sposób. Ale być może jestem na bakier z religią w ogóle. Kiedy ostatni raz poszedłem się wypowiedzieć policyjnemu kapelanowi, powiedział, że jedyny dla mnie ratunek to zostać protestantem.

Roześmiała się, a jej zielone oczy rozbłyły.

- Zdaje się, że mój wujek wybił mi z głowy wypełnianie praktyk kościelnych, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

- Masz na myśli wujka, który wyruszył na wojnę do Hiszpanii?

- Aha. Tego, którego zabili nad Ebro.

Pianistka grała „What’s Now”.

- Tak, w tamtych czasach ludzie mieli jasno określone poglądy - stwierdziła. - Czarne i białe. - Przełknęła ostatnią ostrygę. - A teraz wszystko jest szare. Religia, polityka, dobro, zło. Wszystko trudne do zdefiniowania i niemożliwe do zrozumienia. - Wyjęła papierosa z niebieskiego pudełka Gauloisów. Meksykański posługacz podał jej ogień. Zaciągnęła się i wypuszczając dym stwierdziła:  
- To wszystko jest jak nierdzewna stal.

Szampan uderzył mu do głowy, poczuł się lekko i radośnie.

- My stajemy się jak nierdzewna stal - powiedział. - Ale nie urodziliśmy się tacy.

Wyszedłem z akademii policyjnej przygotowany na zbawianie świata. Pierwsze wezwanie radiowe miałem o czwartej piętnaście nad ranem, do kłótni domowej. Mąż bijący żonę. To było w mieszkaniu przy Romaine Street. Nigdy nie zapomnę tego, co tam zobaczyłem.

- Dlaczego to robisz? - spytała łagodnie.

Wzruszył ramionami.

- Dookoła giną bez powodu ludzie. Starasz się utrzymać w sobie wiarę, że można kogoś uratować. Nie ma w tym nic szlachetnego. To jest coś, co się wybiera. Nawet trudno zrozumieć, skąd się bierze takie pragnienie. Po jakimś czasie przestajesz zastanawiać się nad motywami. Płacisz dentyście, utrzymujesz rodzinę i starasz się nie zwariować.

- Zdaje się, że sobie z tym poradziłeś.

- Do pewnego stopnia. Ale są rzeczy, z którymi człowiek nigdy nie da sobie rady.

Kelnerka podała kurczaki z rożna i dopełniła kieliszki.

Pianistka grała skoczną przeróbkę „Avalon”.

Jedli przez chwilę w milczeniu. Gwiazdor telewizji pozdrowił Jacka, opuszczając restaurację w towarzystwie jakiejś niegustownie ubranej, nadmiernie wymalowanej kobiety.

- Sądzę, że teraz uwierzyłeś w ten wypadek na autostradzie.

- Wierzyłem ci już tamtej nocy.

Karen przytknęła serwetkę do ust.

- Dlaczego nie łączysz tej sprawy z zabójstwami?

- Jeżeli założymy, że Candy została zamordowana. Okoliczności jej śmierci, to znaczy strzał z broni automatycznej z bliskiej odległości, były takie same jak w przypadku Traynora i Stelli, z kokainową walentynką włącznie. Do tego doszły pociski rozpryskowe. Bardzo profesjonalne. Użycie samochodu jako morderczej broni nie łączy się z tym.

Kelnerka zebrała ich talerze.

- Czy będzie coś jeszcze?

- Chciałabym Courvoisiera - uśmiechnęła się Karen.

- W takim razie dwa - powiedział Jack.

Karen zapaliła nowego papierosa.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem ostatnią dochodową i pewną gwiazdą erotyki?

- Myślę o całodobowej obstawie dla ciebie.

- Nie, dziękuję. Nie chcę, żeby jacyś ludzie weszli w moim życiu. Pojadę do świątyni Sziwy i będę tam mieszkać, dopóki nie wyjaśni się sprawa tych zabójstw, dopóki to się nie skończy.

- Nie ukryjesz się. Jeżeli robią to zawodowcy, wytropią cię nawet w Zanzibarze. A jeśli to jakiś maniak, jakiś strażnik moralności, będziemy musieli przychwycić go, zanim cię dopadnie. Ale te potwory są trudne do wytropienia. Powinnaś zastanowić się nad ochroną policyjną.

Kelnerka przyniosła brandy wraz z przykrytym rachunkiem.

- Spróbuję szansy sama - odrzekła Karen i wypłała trochę brandy. - Nie jestem bezbronna. Mam tutaj w torebce trzydziestkę ósemkę i nie boję się jej użyć.

- Ta broń cię nie ochroni. Pamiętaj, jeżeli Candy została zamordowana, to ten, kto zabił ją i pozostałych, był kimś, kogo oni znali i ufali mu.

- Ale nikt z ludzi, z którymi pracuję, nie miał motywu.

- Lisa Chang sądzi, że ty miałaś motyw, bardzo poważny motyw. Powiedziała, że głos Candy rozkazał ci pomścić jej śmierć.

- Czysty wschodni umysł - odparła pogardliwie Karen. - To był duchowy kontakt. Nic więcej. To był metafizyczny symbol niepokoju duszy, która odeszła. Nie traktuję dosłownie duchowego łączenia się z głosami zmarłych.

Wypił brandy jednym haustem i zapytał:

- Nie zrażaj się, ale muszę zadać ci to pytanie. Gdzie byłaś wczoraj między drugą a szóstą po południu?

- W domu. Około czwartej dzwoniłam do twego biura.

- Mogłaś zadzwonić z budki.

- Zgadza się. Dzwoniłam, żeby załatwić sobie takie alibi na jeden półdupek -

przyznała sarkastycznie. - Potem pojechałam do Traynora i rozwaliłam ich z zimną krwią.

Okay? Sprawa jasna.

Położył na rachunku swą kartę American Express, a kelnerka zabrała ją.

- Słuchaj, Karen. Nie przepadam za tą historią, ale jestem jej częścią, tak samo jak i ty.

Jesteś potencjalną ofiarą i podejrzaną. Podobnie Lisa Chang. Podobnie Sherry Nichols. Tak jak wszyscy z ekipy filmowej, którzy pracowali przy ostatnim filmie Candy. A może Silvio ma rację? Może te zabójstwa to pierwsze strzały w wojnie pomiędzy mafią a Kolumbijczykami? Z drugiej strony, to serce przebite strzałą wskazuje na obecność jakiegoś opętańca. Nie wiem. Ale muszę zadawać takie pytania.

Powróciła kelnerka z pokwitowaniem i kartą kredytową. Dodał hojny napiwek i oderwał swoją kopię kwitu.

Karen położyła na jego dłoni swoją.

- Byłam w domu. Próbowałam złapać cię w biurze, potem dzwoniłam do mieszkania.

Nienawidziłam Traynora, ale nie do tego stopnia, aby go zabić. I z pewnością nie miałam nic przeciwko Stelli.

\*

Jack jechał powoli przez ponure, słabo oświetlone i puste ulice. We wnętrzu samochodu rozchodził się zapach jej perfum, a złote bransolety podzwaniały, gdy przyglądała włosy.

- Co teraz będziesz robić? - zapytał. - Mam na myśli pracę.

- Postaram się zachować zdrowie.

- A co z pieniędzmi?

- To nie problem. Czeki ciągle nadchodzą. Mam udziały w dochodach z kaset.

Miliony moich amerykańskich bliźnich rozbudza swe uśpione zmysły oglądając mnie podczas występu.

- Brzmi to jak coś, czego i ja powinienem spróbować.



- Byłeś przy moim ostatnim, najlepszym dziele, i najwyraźniej nie zrobiłam furory. W

gruncie rzeczy wyrzuciłeś mnie za drzwi - umilkła na moment. - Skręć za rogiem w lewo, jest tam awaryjna droga dojazdowa dla pojazdów służbowych. Możesz zaparkować na chodniku przed domem.

Skręcił w szeroki, wyłożony płytami deptak i zwolnił zbliżając się do jej domu.

Wysokie uliczne latarnie jarzyły się we mgle pomarańczowym światłem, a ocean migotał w księżycowym blasku. Opustoszała, szeroka plaża usiana była puszkami, których zygzakowaty szlak ciągnął się aż do mola w Venice. Morze było niespokojne, ale łoskot łamiących się grzyw wydawał się tylko podkreślać ciszę nadbrzeżnej ulicy.

Zajechał pod wejście do domu i wyłączył silnik.

- Poczekam, aż wejdiesz do środka.

Spojrzała na niego uważnie, starając się przeniknąć jego szczelnie zakryte wnętrze.

- Nie przypuszczam, abyś chciał wejść.

- To byłoby niebezpieczne. Myślę, że jestem zakochany w tej dziewczynie z hiszpańskiego plakatu. Odprowadzę cię do drzwi.

Obszedł samochód i otworzył go od jej strony. Wsiadła i zwróciła się ku niemu z uśmiechem.

- Może mogłabym cię zachęcić do spaceru po plaży? Jest w niej i w morzu coś takiego, co dobrze robi duszy.

- Chciałbym, ale muszę wracać.

- Do czego? Do Sinatry i widoku hollywoodzkich wzgórz? - Uśmiechnęła się jak dziecko kryjące w zanadrzu sekret. - Więc dobrze, idziesz ze mną czy nie, ja wyruszam.

- Zrzuciła buty na schodach. - Chodź. Zdejmij buty i skarpetki. Jeżeli zabiją mnie tam samą, nigdy sobie tego nie wybaczysz.

Przeszli ulicę na bosaka. Pomógł jej przejść przez murek i stanęli na chłodnym, wilgotnym piasku. Minawszy kępę palm znaleźli się na rozległej plaży, zalanej blaskiem księżyca.

Wędrowali wzdłuż linii, do której dopływały spienione fale. Usiłowała wciągnąć go w rozmowę, ale on odpowiadał zdawkowo, wyraźnie pochłonięty czymś innym.

- Co ci jest? - spytała w końcu.

- Myślałem o tym, jak fatalnie zachowałem się tamtej nocy. Szkoda, że nie mogę tego rozegrać jeszcze raz.

- Powiedziałaś ci, żebyś o tym zapomniał. Zresztą, miałeś rację. Ja jestem emocjonalną kaleką. Zawsze brakowało mi tego, co Francuzi nazywają *amour-propre*.

- Robisz sobie kpiny z gliniarza analfabety. Co to, do cholery, jest *amour-propre*?

- *Amour-propre* - uśmiechnęła się - nie ma nic wspólnego z miłością. Oznacza szacunek do samego siebie, a tego zawsze miałam bardzo mało. Nawet jako dziecko.

Zwłaszcza jako dziecko. Nikt tu nie zawinił. Mój ojciec i matka byli przyzwoitymi średniakami. Mieszkaliśmy w jednym z tych przelotowych miast w Ohio.

- Przelotowych?

- Takich niewidocznych miasteczek, nad którymi latają Boeingi z Los Angeles do Nowego Jorku i z powrotem. Byłam chudą, zezowatą jedynaczką. Nieustannie wyśmiewaną gapą nad gapy. Skomleniem starałam się wkupić w łaski rówieśników. Po przejściu przez chirurgię okulistyczną i psychiatrię zebrałam się na odwagę, żeby pójść do *college'u*. O tym profesorce mówiłam ci prawdę.

- O doktorze Mengele?

Skinęła głową.

- Tak go nazywano w chwilach czułości. Byłam wtedy dziewicą. Do tego czasu moja wiedza o seksie sprowadzała się do widoku chłopców onanizujących się na tylnych siedzeniach starych Chevroletów. Dalej moja wyobraźnia nie sięgała. Zdobyć czyjeś względy, umówić się na randkę, iść do kina... no wiesz, znasz ten obrazek.

Zamilkła na chwilę, marszcząc czoło w skupieniu. Wiatr niósł zapach soli i ryb. W zalewanym przez fale piasku brodziła gromadka ptaków wyszukując zagrzebane w nim kraby.

- Ten profesor naprawdę mnie zniszczył ciągnęła. Wykorzystał mnie, co samo w sobie nie jest takie straszne. W tym sensie, że dotyczy to obojga ludzi. Ale on wykorzystywał mnie dotkliwie, poniżająco. Byłam jak jedna z tych zagubionych, głupich bohaterek współczesnych romansów. Płakałam, groziłam samobójstwem, a nawet gorzej. Wiedziałałam, że obraca moją najlepszą przyjaciółkę, ale zniosłam to. Wszystko zniosłam. To były dwa lata bezlitosnej agonii. Ale zdołałam to odwrócić. W końcu ten gnojek kajał się przede mną na kolanach.

Byłam jak Dietrich w „Błękitnym Aniele”. Kazałam mu się czołgać. Rozpoznałam ostatecznie moją własną seksualność. Widzisz, w ciągu tych dwóch lat moje ciało rozkwitło.

Moje oczy stały się bardziej zielone, a włosy zmieniły kolor z mysiego na jasnopopielaty blond. Wydarzyło się coś wspaniałego.

- To stałoby się niezależnie od profesora.

- Być może, lecz gdy zdoła się wynieść swój szacunek dla siebie z niebytu, to można odczuć to jako

wielkie osiągnięcie. Chociaż - przerwała ze smutkiem - ostatni rok szkoły był

też ostatnim, kiedy czułam się dobrze ze sobą. Po *college'u* pojechałam do Nowego Jorku i mieszkałam wspólnie z jedną modelką w East Village. To był czas dzieci kwiatów, LSD, trumien przyjeżdżających z Wietnamu, Nixona, Lenny Bruce'a i „The Beatles”. Próbowałam wszystkich narkotyków i walczyłam o wszystkie sprawy. Byłam rewolucjonistką wewnątrz rewolucji prowadzonej przez samolubnych udawaczy. Przez jakiś czas pozowałam i chodziłam z paroma szybkimi facetami, ale stare obrzydzenie do siebie powracało.

Przechodziłam z jednego łóżka do drugiego. Nie potrafiłam związać się emocjonalnie z sobą ani z kimkolwiek innym. Upadłam tak nisko, jak tylko można, a najbardziej przerażające było to, że nie byłam w stanie określić tego, co mnie niszczyło.

- Starłaś się szukać pomocy?

- Wydałam małą fortunę na psychiatrów i nic. W końcu przeniosłam się z Nowego Jorku do San Francisco. Larry Getchell zapytał mnie, co myślę o występowaniu w filmach erotycznych - zamilkła na chwilę. - Zawsze byłam dziwnie zafascynowana pornografią. To jest krańcowa forma ekshibicjonizmu i niesamowicie potężny odłot. Na początku było fantastycznie. Potrafiłam odróżnić siebie od ekranowego obrazu, ale po jakimś czasie to miesza się w piekło. Redukujesz się do surowego mięsa. Powtarzam sobie, że w taki czy inny sposób każdy się sprzedaje, ale prawda jest taka, że prędzej czy później nie cierpisz siebie i wszystkich dookoła. Dlatego tak wielu z nas ratuje się narkotykami.

- Dlaczego tego nie rzucisz?

- Mam zamiar, ale to nie takie proste.

Rzucili się do ucieczki przed wielką falą, która przewaliła się daleko w głąb plaży.

- Opowiedz mi o Candy - zagadnął łagodnie Jack.

Karen wzruszyła ramionami.

- Liczyła na mnie, a ja ją zawiodłam.

Spojrzał na oświetlony blaskiem księżyca ocean.

- Wiesz, są tacy ludzie, którzy chcą przegrać. Dla jakichś powodów szukają porażek. I nie ma żadnej siły, żeby coś z tym zrobić. - Milczał chwilę. - Kiedyś taki jeden stary, wypalony gliniarz powiedział mi: „Nie pozwól, chłopie, żeby ulica cię dopadła. Te gnojki mają swoje piekła i zabijesz się usiłując ich wyciągnąć”.

- Mówisz więc: pozwalamy temu wszystkiemu normalnie się dziać.

- Mówię: robimy, co w naszej mocy.

Zatrzymała się, podniosła kawałek drewna, przesunęła palcem po jego gładzi i nagłym ruchem wyrzuciła w ocean. Spojrzała na Jacka z uśmiechem.

- Być może powinnam spakować manatki i wyjechać do Francji. Wynająć pokój w pensjonacie w Cannes, pisać wiersze, żywić się Camembertem i chrupiącymi bułkami.

Właściwie byłam tam już w siedemdziesiątym ósmym. Ekskluzywne życie, z żonatym mężczyzną, znanym agentem literackim. Nigdy nie przeczytał moich wierszy, ale twierdził, że mam duszę poetki.

- Może miał rację?

- Miał pełną gębę czczych komplementów. Lubił się ze mną kochać i to było w porządku. Ale dlaczego tego nie powiedział? „Karen, twoja poezja jest okropna, ale jesteś świetną dupą. Jesteś warta biletu pierwszej klasy na samolot, paru ciuchów i biżuterii”.

Dlaczego mężczyźni tego nie mówią?

- Sądzą, że to w złym tonie.

- Zdaje się, że nigdy nie powinnam opuszczać przelotowego Ohio. Chowałam dzieci i zbierałam antyki. Wrobiło mnie moje zniszczone, wykolejone ego.

Uklękała, podniosła muszelkę i zanurzyła w morskiej pianie, aby oczyścić z piasku jej idealny, wachlarzowaty kształt. Gdy wstała, obróciła ją w dłoni, oglądając z uwagą, jak niezwykle dzieło sztuki.

- Przez całe życie - westchnęła - szukałam takiej magicznej osoby, takiego kogoś, komu można by było to wszystko opowiedzieć, a on słuchałby nic nie mówiąc, ale wiedziałabym... po prostu wiedziałabym, że wszystko zrozumie. - Cisnęła muszelką w fale i zwróciła się ku niemu. - Kiedy widziałeś mnie na ekranie, odrzuciło cię, co?

- To nie przez film. Na Boga, ty chyba myślisz, że jestem mnichem. Jeśli już, to ten film podkreślił moje gasnące zmysły. Nie ufałem ci.

- A teraz?

- Nie jestem pewny.

Spojrzała na rozkołysane ciemne morze.

- Jack - wyszeptała.

- Słucham.

- Za sześć godzin wszędzie słońce i to już nigdy nam się nie przytrafi. - Podeszła do niego blisko i spojrzała mu w oczy. - Niczego nie musisz robić, po prostu zostań ze mną przez resztę tej nocy.

Księżyc obrysowywał linię jej policzków, zapalał oczy kocim blaskiem i zmieniał

kolor jej włosów nieomal w biały. A on pomyślał o tych wszystkich światłach, ustach, oczach, ramionach i dłoniach, o powracających piosenkach i zapachu perfum, o tych wszystkich nocach i miejscach, o kobietach, z którymi dzielił magiczne chwile. I wiedział, że mężczyzna nigdy nie powinien dopuścić, aby te wspomnienia zetlały. Jeżeli raz pozwoli się im ulecieć, światła zgasną, a dusza wyschnie i obumrze. Objął ją ramionami, a ona przyłgnęła do niego. Poczul dotyk jej piersi. Wiatr rozpylał po ich policzkach chłodne, słone kropelki.

Pocałowali się lekko, a potem pośpiesznie, jeszcze, i jeszcze raz. Ich usta zwały się w gorącym, zachłannym pocałunku. Oddychali gwałtownie, poddając się rozpalającej namiętności.

Obejmowali się kurczowo na zalanej blaskiem księżycą, opustoszałej plaży, przypadkowe postacie złapane w tryby bezlitosnej wendety, której ani nie rozumieli, ani też nie potrafili powstrzymać.

## Rozdział 31

O trzeciej nad ranem czasu wschodniego uderzyli ludzie mafii. Pierwszy atak nastąpił

we wschodnim Harlemie i jak po zapaleniu zapalki w suchym lesie, płomienie przemocy rozgorzały w całym kraju.

Manuel „Wielki Manny” Pachecko, główny handlarz koką na East Side, został

zastrzelony z broni maszynowej przez dwóch mężczyzn w trakcie spożywania półmiska gorącego ryżu w restauracji La Cubana przy 114 Ulicy i Madison Avenue.

Ira Spear, szanowany księgowy i dorywczy handlarz, został przecięty na pół ogniem karabinów maszynowych, gdy wsiadał do pociągu na Penn Station.

Lorenza Corderę, obywatela Kolumbii, ważną figurę w systemie prania pieniędzy, znaleziono przewieszzonego na oparciu krzesła w teatrzyku porno przy Times Square, z rękojęścią lancetu wystającą z prawego oczodołu.

Ramon Contreras i jego szwagier Julio Cardenas, z twarzami roztrzaskanymi przez czterdzieści pięć kul, zostali znalezieni przy torach kolejki na Long Island. Obu mężczyzn, oskarżonych o szmuglowanie narkotyków, zwolniono wcześniej za kaucją i oczekiwali właśnie na proces w sądzie federalnym.

Guillerma Ruiza znaleziono zastrzelonego w jego samochodzie na Merritt Parkway, bocznej drodze do Greenwich, w Connecticut. Policja stanowa odkryła w bagażniku Jaguara trzy miliony w studolarowych banknotach.

Trzech obywateli kolumbijskich zastrzelono koło wysadzonej w powietrze rafinerii kokainy w Baltimore Hollow na Long Island.

Luisa Herrere i jego chemika Arthura Mendozę obrzucono granatami podczas pracy w tajnej rafinerii

we Fly Creek w stanie Nowy Jork. W Miami dwóch mężczyzn wystrzeliło z rozpedzonego motocykla raketę RPG do czarnego Rolls-Royce'a. Pocisk spopielił ciało jednego z wielkich *coqueros*, Gabriela Cinfuentesa, wraz z jego obstawą i kubańską kochanką.

Dzięki donosowi agencji amerykańskich służb celnych zajęli na międzynarodowym lotnisku w Miami kolumbijski samolot transportowy Avianca 747. Agenci wykryli tonę czystej kokainy ukrytej w pudełkach z ciętymi kwiatami.

W Cicero w stanie Illinois, wśród tłących się ruin kokainowej rafinerii ulokowanej w piwnicy eleganckiego sklepu odzieżowego, znaleziono zwęglone ciała czterech Kolumbijczyków, W Chicago kolumbijscy handlarze Roberto Cadiz, Fernando Pinzon i Luis Arquelo zostali zmieceni ogniem karabinów w chwili, gdy opuszczali nocny klub przy Rush Street.

W Los Angeles Ramon Cabrillo i Julito Camera pływali z głowami zanurzonymi w wodzie w fontannie na Olvera Street.

Handlarz w West Side o nazwisku Chucho Gomez został zakłuty na śmierć, gdy siedział na tylnym pokładzie swej trzydziestometrowej łodzi w porcie jachtowym. Obcięte genitalia wepchnięto mu do ust. Policja odkryła pięć kilogramów rozrzedzonej kokainy i 300

tysięcy dolarów w ściennym sejfie w głównej kabinie.

Roland Cannwell, dyrektor kolumbijskiego banku w Orange County, został

zastrzelony w apartamencie motelu w Newport Beach. Cannwell nie zdążył już odbyć spotkania z kosztowną „call girl”, która szczęśliwie zamarudziła u poprzedniego klienta, nie będącego w stanie utrzymać erekcji. Jednakże przyjechała do motelu dostatecznie wcześnie, aby móc zidentyfikować galaretowate szczątki pana Cannwella.

Leonardo Sanchez y Sanchez, obywatel kolumbijski i pracownik Banku Światowego, wypchnięty został ze swego apartamentu na czternastym piętrze hotelu Sheraton West. Jego ciało spadało na Wilshire Boulevard w dół, ciągnąc za sobą strumień studolarowych banknotów. Głowa seniora Sancheza uderzyła o dach żółtej taksówki. Początkowy szok przechodniów zmienił się natychmiast w radosną pogoń za fruwającymi pieniędzmi.

Wstępniak w „Los Angeles Times” opisywał niezwykły widok oddziału policji, który nie mógł dotrzeć do zwłok niefortunnego samobójcy z powodu pazerności goniących za dolarami mieszkańców miasta.

O północy 8 sierpnia nastąpiło okrutne kontruderzenie Kolumbijczyków. Nie oszczędzano nikogo - upatrzonych ofiar zamachu, ich rodzin ani niewinnych przechodniów.

Nazwiska zabitych tworzyły swoiste „Who's Who” amerykańskiego podziemia: przewodniczący związku zawodowego transportowców Wschodniego Wybrzeża i sześciu jego podwładnych, dyrektor wielkiego kasyna w Atlantic City, zarządca hotelu Las Vegas wraz z żoną, swoim gorylem i czterema turystami, którzy pechowo wychodzili z nim bocznymi drzwiami hotelu. Bukmacherzy i naganiacze

byli wysadzani w powietrze, rozstrzelani oraz obrzucani granatami.

Uderzono w handlarzy heroiną w Harlemie, San Francisco, Filadelfii i Nowym Orleanie.

Likwidowani byli kierownicy teatrzyków porno. Niszczono laboratoria produkujące filmy.

Długie, zbrojne ramię Ordoneza udało się dotrzeć do jednego z członków rady krajowej, Tony „Rekina” Armattiego. Podczas kolacji w lokalu na południowym Brooklynie zastrzelono również jego żonę, syna, siostrzenicę i wnuka oraz dwóch ludzi z obstawy. Dwaj inni goście siedzący obok zostali ciężko ranieni.

Wojna trwała przez dziesięć dni i nocy. Z punktu widzenia mass mediów konflikt wybuchł we właściwym momencie. Nie było w tym czasie terrorystycznych uprowadzeń samolotów, nowych raportów o prezydenckiej chorobie, żadna ze sław nie zaraziła się AIDS, nie dokonywano istotniejszych zamachów ani też nie stwierdzono donioślejszych katastrof ekonomicznych. Strajk baseballistów trwał tylko dwadzieścia cztery godziny. Doskwierał

przeraźliwy brak ciekawszych informacji.

Mass media były zmuszone nagłaśniać tragedię konfliktów rasowych w Afryce Południowej - abstrakcyjną dla większości Amerykanów.

Wobec względnego spokoju w stosunkach międzynarodowych, media rzuciły się na temat wojny miejscowych gangów. Sieć telewizyjna przedstawiała graficzną mapkę rzezi.

Morderczy konflikt zdobywał sobie miejsce w tytułach pierwszych stronic. „Time” i

„Newsweek” poświęciły wojnie główne artykuły, w których opisywano ją jako konflikt mafii i Kolumbijczyków wokół praw terytorialnych do przemysłu kokainowego o wartości 100

miliardów dolarów.

21 sierpnia Angelo Maffatore, Sidney Davis, Vincent Mangano i czterej inni członkowie rady krajowej spotkali się na tajnej naradzie w hotelu w Hot Springs, w stanie Arkansas.

Gdy tylko wybuchł konflikt, Davis wysłał przezornie swą żonę i dwóch synów za granicę na letni wypoczynek. Prosił Don Angela, aby zezwolił mu towarzyszyć rodzinie, ale starzec odmówił, tłumacząc, że w obecnej chwili pomoc Sidneya będzie nieodzowna.

Przywódcy mafii uczcili śmierć członka rady, Tony Armattiego, i rozpaczali nad spustoszeniem dokonanym w łonie organizacji. Wezwali Don Angela do zawarcia rozejmu z Ordonezem, rozejmu z honorem.

W tym samym czasie Rafael Ordonez wysłuchiwał Cisnerosa, który donosił o żądaniach wspólników z Ekwadoru, Boliwii, Peru i Brazylii, aby odbyć spotkanie dla analizy finansowego pogromu, jaki spadł na ich przemysł. Producenci liści koki dławili się towarem w sytuacji, gdy rynek amerykański zamarł w następstwie zabójstw handlarzy i utraty tajnych rafinerii.

Nolan wystrzelił korek z butelki kalifornijskiego szampana i napełnił nim kieliszki.

Szef Operacyjnego był niezwykle ożywiony. W uszach wciąż dźwięczały mu pochwały i gratulacje kolegów. Wojna pomiędzy mafią a Kolumbijczykami zachwyciła wszystkie krajowe i lokalne agencje do zwalczania narkotyków.

Prasa przyjęła teorię Nolana, że Candy Lane, John Traynor oraz Stella Pierson byli pierwszymi ofiarami konfliktu. Wydziałowi NIFTY przyznano zasługę ujawnienia powiązań przemysłu pornograficznego mafii z kolumbijskim systemem prania pieniędzy.

- Za wojnę - Nolan wznosił toast. - Żeby się nigdy nie skończyła.

- Amen - wykrzyknął Silvio.

Jack nie przyłączył się.

- Co jest z tobą? - zapytał Silvio.

- Nie znoszę być mendą, ale zdaje się, że wojna wygasa.

- To tylko przerwa na oddech - uśmiechnął się Nolan. - Liżą rany i przegrupowują się.

Tej sprawie jest daleko do końca. Moja nowenna została wysłuchana. Ten wybuch jest niebieskim błogosławieństwem.

- Duch Święty nie bierze w tej wojnie udziału - odparł Jack. - Zaczęła ją jakaś trzecia siła.

- Jakie to ma znaczenie? - rzucił Nolan. - Główni dostawcy nie żyją. Rafinerie są w ruinach. Cena koki skoczyła do trzech stów za gram. Mafię skopano po jajach.

Kolumbijczycy sprzątnęli najważniejszych ludzi prawie w każdym jej interesie. Dzień, w którym zaczęła się ta wojna, powinien być ogłoszony świętem narodowym.

- Zgadza się przyznał Jack. - Ale jest faktem, że mamy wciąż na głowie trzy nie wyjaśnione zabójstwa i, być może, dalsze w przyszłości.

- Znowu do tego wracamy? - westchnął Nolan.

- Na to wygląda - uśmiechnął się ironicznie Jack.

- Na moim biurku ta sprawa jest zamknięta - uciął stanowczo Nolan.

- Daj spokój, John, nie przemawiasz teraz do prasy. Kolumbijscy zamachowcy nie rysują walentynek przy rozwalaniu ludzi. Mamy do czynienia z obłąkanym strażnikiem moralności i nie skończy się na Traynorze, Pierson ani Candy!



- Powtarzam ci - odezwał się ze złością Nolan - że mam gdzieś tych degeneratów. To jest szambo tego społeczeństwa. A jeśli chodzi o fakty, masz rację, że jest tam jakiś wariat, jakiś strażnik, co rozpętał wojnę, i jestem jemu czy jej dożgonnie wdzięczny.

- Mylisz się, John - wtrącił się ze spokojem Silvio. - Nikt bardziej ode mnie nie nienawidzi tych kolumbijskich *coqueros*. Ale Jack dobrze mówi. Nie możemy odpuścić tego maniaka. Dzisiaj rozwala aktorów porno. Jutro weźmie się za zwolenników aborcji albo za ludzi z hiszpańskimi nazwiskami. Jeśli zlekceważysz coś takiego, nie jesteś już więcej gliną.

Pozwalasz polityce wchodzić w miejsce prawa.

- Okay... okay... - Nolan skinął głową. - Zbadajmy fakty. Lekarz sądowy ustalił

moment śmierci Traynora i Pierson pomiędzy trzecią a czwartą po południu czwartego sierpnia. Sprawdziliście Lisę Chang, Sherry Nichols i Karen Dara?

- Przesłuchałem Nichols i Chang - odpowiedział Silvio. - Były razem na późnym lunchu w Dolce Vita. Jack badał Karen Dara.

- Dara nie ma alibi - stwierdził Jack. - Dzwoniła do mnie, do biura, około czwartej.

Ale mogła to zrobić z miejsca morderstwa. Zapewnia, że była w domu, ale nie ma potwierdzenia.

- A więc - Nolan rozparł się w fotelu i popił szampana - chcesz przymknąć ją pod zarzutem zabójstwa?

- Prokurator wyrzuciłby mnie za drzwi.

- Dokładnie - zgodził się Nolan. - Dopelniliśmy swoich obowiązków. Przesłuchaliśmy ewentualnych podejrzanych i wracamy z niczym. Teoria trzeciej siły to tylko przypuszczenie.

Aktorzy zostali sprzątnięci przez Kolumbijczyków. To tyle.

- A Whelan? - zapytał Jack.

Oczy Nolana rozwarły się w zdumieniu.

- Sugerujesz, że Leo Whelan pozabijał swoje własne gwiazdy, że ten facet sam zniszczył swój interes?

- Sądzę, że Whelan i Sid Davis mogliby nam coś powiedzieć o prawdziwych przyczynach wojny.

- Wszystko to sprzedał wam informator Silvia. - Nolan westchnął. - Wiemy, jak to się zaczęło. Czy nie potraficie, na Boga, cieszyć się pierwszorzędnym zwycięstwem nad tymi gnojkami? Nie możecie w odpowiedzi wykrztusić z siebie „tak”?

Jack przysiadł na oparciu skózanego fotela.

- Więc zastrzelono trójkę ludzi, która nikomu nie zaszkodziła, nikogo nie naciągnęła i nie obraziła, a my pijemy sobie szampana.

- To są dwie różne sprawy!

- Powiedz to ojcu Candy! Powiedz to rodzinie Stelli Pierson! I jeszcze Karen Dara!

- Wiesz, co ja myślę? - twarz Nolana poczerwieniała. - Myślę, że jesteś osobiście zainteresowany tą kobietą. Nie mogę cię za to potępiać, ale nie rób z siebie durnia.

- Jeśli o to chodzi, to boję się o nią. Jest ostatnią gwiazdą, która jeszcze żyje.

- Z tego, co wiemy, to właśnie ona mogłaby być waszym stróżem moralności - odparł

Nolan. - Powiedziałaś, że komunikowała się z duchem Candy i ten duch czy głos, czy cokolwiek do cholery to jest, zażądał od Karen szukania zemsty.

- To prawda - przyznał Jack. - Karen Dara jest zarówno podejrzaną, jak i potencjalną ofiarą. Dlatego musi być trzymana pod ochroną.

- Dawaliśmy jej ciągłą obstawę przez dwa tygodnie, z niemałym kosztem dla podatników. Chciałbyś, żebym wezwał jeszcze Gwardię Narodową?

Powstrzymywana wściekłość Jacka wybuchła nagle.

- Odpierdol się, John! Jak chcesz mojej rezygnacji, to ją masz!

- Zaraz, zaraz - wykrzyknął Silvio. - Pracujecie ze sobą, panowie, od lat. Nie pakujcie się w coś, czego będziecie potem żałować. Wszyscy jesteśmy pod presją. Ale teraz dajcie spokój. Obaj.

Nolan przetarł zmęczone oczy, westchnął i zerknął na Jacka.

- Postaram się uwierzyć, że tego nie powiedziałaś. A teraz wyjaśnij mi dokładnie, czego ode mnie chcesz, bo ja już nic nie rozumiem. Nie mamy w tej sprawie żadnych szans.

- Chcę twojej zgody, żebym mógł poprzetrzącać parę kostek. Chcę przesłuchać tego guru, pogadać z Sidem Davisem i Leo Whelanem.

- Jesteśmy razem od piętnastu lat - powiedział Nolan. - Ścinaliśmy wspólnie parę ostrych zakrętów i zawsze, w stu procentach, stałem za tobą. Kiedy zabito twoją byłą żonę, wysłałem cię na drugi koniec świata, żebyś znalazł jej mordercę. Naciągałem formalne uprawnienia tego urzędu, aby ci pomóc. Zrobiłem to, ponieważ brałem pod uwagę twoją rodzinę. A mówiąc o rodzinie, ty musisz brać pod uwagę swoją córkę. Wokół tych zabójstw szaleje mordercza wojna. Sid Davis, Leo Whelan i ten guru mogą być jej celami i nie dopuszczę, żebyś dostał się pod lufę, tropiąc jakiegoś hipotetycznego świrusa. Z drugiej strony, i to obiecuję, że jeżeli ktokolwiek związany z ostatnim filmem Candy zostanie jeszcze zabity, to zdejmujemy rękawiczki. Możesz być spokojny. A w tej chwili nie wsadzaj w to nosa.

Taki jest rozkaz.

### Rozdział 33

Smagane wiatrem czarnozielone fale wznosiły się na wysokość trzydziestu metrów, a ryk morza wdzierał się między rozświetlone biurowce po zachodniej stronie Sunset Boulevard. Kurz, brud i śmieci z ulicy unosiły się na powierzchni ciemnej toni.

Nagą i odrętwiałą z przerażenia Karen Dara porwał szalejący żywioł. Przywarło do niej wzdęte ciało martwej Candy Lane. Głos zmarłej dziewczyny zawodził na świszczącym wietrze: „Pomścij mnie, Karen, pomścij mnieeeee...”

Rozkołysana fala popychała je coraz dalej. Obok przepływały wielkie plastikowe piersi, waginy i penisy. Ekipa zdjęciowa kierowana przez Jeffa Kellermana filmowała z tratwy obie kobiety. Upiorne głowy Johna Traynora i Stelli Pierson, wypłynąwszy na powierzchnię, łypnęły na Karen złowrogo, po czym zanurzyły się w głębinę. Ciało Candy Lane zniknęło. Karen pozostała sama.

Szum wiatru przerodził się w rozdzierający jęk.

I wtedy ją zobaczyła.

Z ciemnej toni wypłynęła kobra. Jej łeb spłaszczył się wachlarzowato, ogromniejąc do rozmiarów wieży, i przemieniła się w gigantyczną falę. Karen została wessana u jej podnóża i wyrzucona na grzbiet wodnej ściany. Ryk oceanu ogłuszył ją. Monstrualna fala zaczęła spadać w dół.

Karen wrzasnęła przewracając się na łóżku.

Jack chwycił ją za ramiona, lecz wciąż krzyczała. Objął ją przytulając do siebie. W końcu ucichła.

- Mój Boże... mój Boże... - dyszała ciężko.

Trzymał ją aż do chwili, gdy przestała drżeć. Jej oddech uspokoił się.

- Przepraszam. Przepraszam - wyszeptała.

- Zwyczajny nocny koszmar - uśmiechnął się. - W tej sypialni to nie nowość.

Zimne kropie potu toczyły się po jej policzkach, spływały na piersi i rosiły brzuch.

Wyjęła z paczki Gauloisa. Drżącą ręką zapaliła zmiętego papierosa i zaciągnęła się mocno algierskim tytoniem.

- Chcesz o tym mówić? - zapytał.

Skinęła głową i opowiedziała mu senny majak. Skończywszy, oparła się o wezglowie łóżka.

- Co powiesz na wyjaśnienie w stylu taniego Freuda? - zagadnął.

- Proszę bardzo.

- Czy brałaś udział w którymś z ostatnich seansów?

- Tak, kilka wieczorów temu. Usiłowałam z pomocą Meli-Ramdasa i jednego z jego uczniów połączyć się z Candy.

- Udało się?

- Tak. Było tak samo jak przedtem. Jej głos błagał o zemstę.

- Możesz się na mnie wściec - powiedział - ale mam zamiar udowodnić ci, że ten nadnaturalny kontakt to nic innego jak narkotyczne oszustwo.

- Wiem o tych trickach. To nie przekreśla faktu, że potrafię dosięgnąć ducha Candy.

Czuję jej obecność i tylko to ma znaczenie. - Wypiła trochę brandy i zgmiotła papierosa. -

Wierzyła we mnie, a ja pozwoliłam jej umrzeć.

- To jest głupie rozczulanie się nad sobą. Powiedziałem ci tamtej nocy na plaży.

Candy zniszczyła się sama. Nie jesteś za to odpowiedzialna..

- Byłam jedyną osobą, której ufała.

- Noszę odznakę, która mówi ludziom, że mogą na mnie liczyć, ale ja częściej ich zawodzę.

- To nie to samo.

- To jest to samo. Pamiętasz, jak wspomniałem o pierwszym otrzymanym wezwaniu?

Skinęła głową.

- Domowa kłótnia. Powiedziałeś, że nigdy nie zapomnisz tego, co zobaczyłeś w tamtym mieszkaniu.

- Zgadza się. Kobieta szlochając pochylała się nad swym mężem. W jednej ręce trzymała rzeźniczy nóż, a w drugiej ligninę, którą przytykała mu do gardła. Było przecięte od ucha do ucha.

Karen potrząsnęła głową szepcząc: „O Jezu”.

- To było moje wprowadzenie do służby. Gdzieś tam są ludzie wołający o pomoc, a ty pojawiaasz się jak jakiś pieprzony rycerz ubrany na niebiesko, ludzie uczipiają się ciebie i zawodzą „Bogu dzięki, że pan jest”, ale ty nie masz nic do roboty. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto jest już po wszystkim. Więcej czasu spędza się z ofiarami niż z przestępcami. Robisz, co tylko w twojej mocy, po czym usiłujesz się z tego otrząsnąć i prowadzić normalne życie. Jedyną rzeczą, która pozwala to

ciągnąć dalej, jest fakt, że nie jestem odpowiedzialny. W najgorszym przypadku jestem jedynie akompaniatorem w tej pełnej przemocy, nie kończącej się operze, której nie można ani kontrolować, ani zrozumieć.

- To dlaczego to robisz?

- Ego. Czyste, niezmacone ego. Przypuszczam, że w dziwny sposób każdy glina jest ekshibicjonistą. Mundur, odznaka, pistolet. Wymyślono to, żebyś poczuł się wyjątkowo, żebyś mógł się odróżnić. Ale za to oddanie się własnemu ego płacisz cholerną cenę, a nocne koszmary są jej częścią.

Milczeli przez chwilę spoglądając w martwy ekran telewizora.

- Po południu dzwonił do mnie Whelan - powiedziała. - Myślą o rozpoczęciu nowego filmu.

- Kiedy?

- Zdaje się, że jak tylko Leo dostanie zgodę od Davisa lub Maffatorego.

- To znaczy, że oczekują zakończenia wojny.

- Leo powiedział, że przygotowywane jest spotkanie z Ordonezem.

- Tyle się domyślam.

Dopił swoją brandy i oparł się na poduszkach.

- Masz zamiar znowu występować?

- Nie wiem.

- A chcesz tego?

Zwróciła ku niemu oczy, w których odbił się blask ulicznych latarni.

- To moje zajęcie - urwała. - Czyż nie tak?

Rozdział 34

Po szczegółowej naradzie obie strony zgodziły się na spotkanie w hotelu Camino Real w meksykańskim Cancun. Teren Karaibów był bezpieczny, neutralny i wygodny. Maffatore wynajął prywatny samolot na czterogodzinną podróż z Los Angeles. Ordonez przepłynął

tysiąc mil morskich z Barranquilla do Cancun na pokładzie swego jachtu, zbudowanego w Norwegii.

Mężczyźni siedzieli przy wielkim stole w restauracji nad brzegiem basenu, w cieniu białych markiz. Kojący wietrzyk niósł ze sobą aromat pieczonych krewetek i oleju słonecznikowego. Ubrani w paradne stroje muzycy w wielkich sombreroach grali „Cuando Caliente del Sol”.

Maffatore nigdy wcześniej nie spotkał Ordoneza i był pod wrażeniem jego arystokratycznej prezencji i nieskazitelných manier. Starego mafioso zdumiewała również przemiana w wyglądzie Pedra Cisnerosa. Od czasu ich spotkania latem 1981 roku Cisneros bardzo się postarzał.

Mężczyźni zjedli obfity posiłek, oszczędnie zakrapiany zimnym winem Hidalgo. Obaj przywódcy nie poruszali w czasie lunchu zasadniczego tematu ich spotkania, zadowolając się rozmową o pogodzie, zagrożeniu nuklearnym i ogólnym zmierzchu zachodniej cywilizacji.

Szachowa rozgrywka rozpoczęła się dopiero po podaniu deseru i kawy. Ordenez wyjął

z kieszeni zwiniętą bibułkę, położył na stole i wyjął z niej olśniewający szmaragd.

- Na dowód mojego szacunku, Don Angelo - uśmiechnął się. - Kolumbijski, bez skazy i bardzo unikalny.

- Och - westchnął Don Angelo - wprawia mnie pan w zakłopotanie. Przyszedłem z pustymi rękami.

- Proszę to przyjąć. Ma pan synową, prawda?

- Tak. Jest wdową po moim najstarszym.

- Proszę podarować jej ten kamień. Każda kobieta marzy o posiadaniu doskonałego szmaragdu.

- To bardzo miło z pana strony - odparł Maffatore i włożył podarunek do kieszeni.

Ordenez zapalił papierosa i zagadnął.

- Jest takie indiańskie wierzenie, mówiące o straszliwym amazońskim chrząszczu nazywanym machaca. Powiadają, że jego ukąszenie powoduje śmierć, chyba że ofiara dokona natychmiast aktu płciowego.

Maffatore wzruszył szczupłymi ramionami i odparł.

- Interesujące, ale zachodzi pytanie, dlaczego chrząszcz kąsa? Dlaczego wybiera tę, a nie inną ofiarę?

- Oto zagadka, Don Angelo.

- Tak, zagadka jest prosta, ale nie odpowiedź.

- Dla mnie i odpowiedź jest jasna - stwierdził Ordenez. - Obaj zostaliśmy ukąszeni przez machacę.

- Maffatore przyjrzał mu się uważnie.

Davis zerkał na obu.

Cisneros obserwował uderzająco piękną, czarnowłosą dziewczynę, gotującą się do skoku z pływackiego słupka.

Meksykańska orkiestra grała „Amapolę”. Maffatore pochylił się i odgonił muchę z resztek karmelkowego kremu, po czym podniósł swe czarne oczy ku Ordonezowi.

- My nie zaczęliśmy tej wojny.

- Przeciwnie, Don Angelo. Pańscy ludzie uderzyli bez ostrzeżenia, nie sprowokowani.

- Nie sprowokowani - zachnął się Maffatore. - Wasze ultimatum dopiero co wygasło, gdy zamordowaliście dalszych dwóch aktorów. Nie dał mi pan wyboru.

- I to jest zagadka. Ohlendorf przebywał w Lozannie, oczekując odpowiedzi na moją propozycję. Czy myśli pan, że nie zgodziłbym się na dodatkowe dwadzieścia cztery godziny?

Wiem, że nie może pan działać bez konsultacji z radą krajową. Byłem zmartwiony i zaskoczony, gdy pańscy ludzie uderzyli na naszych handlarzy w Harlemie. W tej sytuacji ja również nie miałem wyboru. Gdybyśmy kontaktowali się bezpośrednio, ta wojna w ogóle by nie wybuchła. Musi mi pan wierzyć. Nigdy nikogo nie zamordowaliśmy w Los Angeles.

- Candy Lane została zabita jeszcze przed tym, jak Sidney spotkał się z panem w Santa Rosa - powiedział Maffatore.

- Nie z mojego rozkazu.

- Czy nie przekazał nam pan, że filmy nie mogą być robione bez aktorów?

- To prawda. Zrobiłem taką uwagę. Był to błąd, za który przepraszam, ale pozostaje on do tej chwili jedynie niefortunnym wyrażeniem. Niczym więcej.

- Czy chce pan powiedzieć, że jesteśmy kiwani przez jakąś trzecią siłę?

- Dokładnie. Zostaliśmy sprowokowani do tej wojny przez zamachowca, jakiegoś wariata albo agentów DEA. Ta wojna - Ordonez westchnął boleśnie - nieomal wpędziła mnie do grobu przez problemy z plantatorami z Boliwii, Ekwadoru, Peru i Brazylii. Ci ludzie mają dwa i pół miliona hektarów liści koki. Ode mnie zależy utrzymanie naszej gospodarki w zdrowiu i pomyślności. Co ja mogłem im powiedzieć? Tylko prawdę: że nie ja wywołałem ten konflikt i że spotkam się z panem, aby rozwiązać nasze problemy. Ale ucierpiałem przez utratę szacunku i zaufania.

- My również ucierpieliśmy - stwierdził Maffatore. - Żadne z naszych przedsięwzięć nie uchroniło się przed pańskimi zamachowcami. Wasi ludzie zabili nawet jednego z członków rady krajowej. Antony Armatti, mój przyjaciel od czterdziestu lat, został

zamordowany wraz z całą rodziną.

Davis czuł, jak krople potu spływają mu po piersi. Miał nadzieję, że Maffatore nie posunie się zbyt daleko wobec kolumbijskiego króla narkotyków.

Cisneros palił nieustannie, obserwując kobiety w bikini, wylegające się nad brzegiem basenu.

Maffatore zapalił małe cygaro i zapytał:

- Dlaczego pańscy ludzie zabijają niewinne kobiety i dzieci?

Ordonez uśmiechnął się.

- Gdyby był tutaj Aurelio, dowódca moich oddziałów, powiedziałaby: „Jesteśmy Kolumbijczykami”. I miałby rację. Nie możemy tłumaczyć się z bardziej agresywnych cech naszej natury.

- Słyszysz? - powiedział Maffatore spoglądając na Davisa. - Mówiłem ci. Krew jest wszystkim. - Starzec zwrócił się ponownie ku Ordonezowi. - Trudno mi panu ufać. Uważam, że człowiecza krew określa jego przeznaczenie i, z całym należnym szacunkiem, jak to pan sam przyznaje, jesteście przekłeci przez waszą indiańską krew. Jesteście bardziej niebezpieczni od nas, Sycylijczyków. A ja nigdy nie ufałem nawet Sycylijczykom.

- Być może to tłumaczy pańską długowieczność, Don Angelo. Ale co do krwi, to nie zgadzam się. Według mnie to geografia przesądza o losach. Gdyby Kolumbia nie leżała pomiędzy Pacyfikiem, Karaibami i Amazonką, gdybyśmy nie mieli niespełna tysiąca kilometrów do miast amerykańskiego wybrzeża, to nie prowadzilibyśmy narkotykowego interesu. Gdyby Kolumbia była na Alasce, bylibyśmy nacierzami.

- Nie - Maffatore zaprzeczył z uśmiechem. - Zabijalibyście młode foki.

Ordonez roześmiał się.

Sidneya skrzyknęło w krzesło.

A Ordonez wezwał kelnera.

- *Dame una cognac, por favor.*

- *En seguida* - odpowiedział wezwany.

Ordonez starał się ukryć zdziwienie zachowaniem Cisnerosa, który przywołał kelnera w trakcie rozmowy. Wiedział, że jego kuzyn był bliski wybuchu. W czasie czterodniowego rejsu z Barranquilla Pedro żył jak odludek, przesiadywał na rufie, wpatrując się tępo w morze.

Nie zajął się nawet brazylijskimi dziewczętami, które Ordonez sprowadził na pokład.

Wypadło na Maffatorego, aby zwrócić mu uwagę.

- Ostrożnie z tymi kelnerami, Pedro. Niektórzy z nich pracują dla meksykańskiej tajnej policji.

- W dupie ich mam, w dupie mam tych wszystkich sombrerozców! Słuchajcie, przepłynęliśmy tysiąc mil, żeby się tutaj z panem spotkać. Przestańmy się czarować.

Zostaliśmy wszyscy wrobieni w tę wojnę. Więc teraz zawrzyjmy pokój i zastanówmy się, kto nam



zaszkodził.

- *Calma, mi primo, calma* Ordonez uciszył Cisnerosa. - Don Angelo nie myli się. Nie wolno ci wołać kelnerów, gdy rozmawiamy.

- Wybaczcie - odparł Cisneros. - Jest gorąco, ta przeklęta muzyka i muchy. Chcę się napić.

Kelner przyniósł Cisnerosowi koniak i zapytał:

- *Algo mas!*

- *No, gracias* - odprawił go Ordonez.

Posągowa, rudowłosa piękność odziana w skąpe bikini minęła niespiesznie ich stół, uśmiechając się do Ordoneza.

Davis odchrząknął i powiedział:

- Zgadza się z Pedrem. Daliśmy się nabrać. To, co jest teraz do zrobienia, to ogłosić zawieszenie broni i podjąć kroki dla naszej ochrony.

- Brawo, Sidney! - wykrzyknął Ordonez.

Maffatore spojrział na zielonkawe morze i kremowe obłoki gromadzące się na horyzoncie. Starzec wiedział, że nadchodzi chwila szczerości. Nie ufał przystojnemu, kolumbijskiemu *coquero*, lecz nie miał innego wyboru. Interes musiał być ubity.

- W porządku - odezwał się spokojnie. - Powiedzmy, że przez przypadek czy według czyjegoś planu daliśmy się wciągnąć w wojnę. Nie jestem tego taki pewien, ale - wzruszył

ramionami - prawda bywa czasem tak brutalnie prosta, że trudno w nią uwierzyć. - Odwrócił

się do Sidneya. - Przedstaw nasze propozycje.

Sidney wraz z Don Angelem opracowywali ten fragment rozmowy przez trzy dni czekając na przybycie jachtu Ordoneza. Obaj wiedzieli, że ich wstępny projekt będzie odrzucony i wiedzieli również, że zaakceptowana zostanie ich kontrpropozycja.

Sidney mówił spokojnie i z rozmysłem.

- Jesteśmy gotowi czyścić dodatkowy miliard za te same dziesięć procent. W zamian chcemy rozpocząć sprzedaż w pewnych miejscach.

- Gdzie? - zapytał Ordonez.

- W Miami, Los Angeles i Nowym Jorku.

Ordonez zabębnił palcami po blacie stołu.

- Co myślisz, kuzynie?

- W amerykańskich miastach Włosi i Kolumbijczycy nie mogą handlować obok siebie.

- To prawda - przyznał Ordonez i zwrócił się do Maffatorego. - Jeżeli założycie własne agendy, prędzej czy później dojdzie w Miami do kolejnej wojny. Zresztą, uprawiając kokę, przetwarzając ją i szmuglując, nie mogę sobie pozwolić na wpuszczanie kogoś trzeciego między siebie a konsumenta. To żaden interes.

- No dobrze - Maffatore wzruszył ramionami. - Zostawmy to.

Sidney odczekał na właściwy moment i zgodnie z założeniami zaproponował:

- Przypuśćmy, że zostawimy sprawy tak, jak wyglądały przed wojną. Ale jako gest dobrej woli zgodzimy się czyścić dodatkowe pięćset milionów.

Zaległa cisza, a po chwili Ordonez zagadnął Cisnerosa.

- No jak, kuzynie?

- Jeżeli to zakończy wojnę, zgadzam się.

Ordonez zabębnił palcami i skinął głową.

- W porządku. A żeby pokazać wam, że w mojej gorącej krwi nie płynie nic innego, jak tylko dobra wola, podnoszę wam procent z dziesięciu na dwanaście. Mam tylko jedną prośbę. Po roku wznowimy negocjacje, mając w pamięci sumę jednego miliarda.

- Przybite - odrzekł Maffatore. - Ale musimy podjąć kroki dla zabezpieczenia się przed nowymi zabójstwami, aby nie zepchnąć się w nową wojnę. Nasze interesy w pornografii rozwijają się gwałtownie. Kwitnie sprzedaż kaset. Chcę rozpocząć produkcję nowych filmów.

- Ma pan moje błogosławieństwo, Don Angelo. Ale morderstwa aktorów to wasz kłopot. Nie możemy tu nic poradzić.

- Rozumiem - starzec podniósł się powoli. - Miło mi było, po tylu latach, pana spotkać. Jest pan prawdziwym mafioso, Don Rafael, człowiekiem, który wyznacza szlak.

Ordonez wstał, a za nim pozostali.

- Jestem takim człowiekiem jak pan - stwierdził Ordonez. - Człowiekiem wybranym przez los, aby prowadzić swój lud ku potędze, do honoru i godności, których go pozbawiono.

- Nie mam takich ambicji. Nigdy nie dbałem o władzę, a przeznaczenie mam gdzieś -

powiedział Maffatore. - Mam swoje ogrody, basen, psa oraz trochę wspomnień. Jestem samotny, tak, ale niekiedy człowiek w ten sposób kończy. Samotnie, ze zwykłymi przyjemnościami.

- Jest między nami tylko jedna różnica - uśmiechnął się Ordonez. - Wy zwodzicie oczy Ameryki, a my wodzimy ją za nos.

\*

Zachodzące słońce malowało szkarłatne słoje na niebie w kolorze indygo, a barwa morza przeszła z bladoniebieskiego w fioletowy.

Dziób „El Encanto” rozcinał łagodne wzniesienia fal, rozpryskując srebrzysty, wodny pył. Połyskujący jacht płynął z szybkością osiemnastu węzłów, powziąwszy kurs na południowy zachód.

Pedro Cisneros wylegiwał się na leżaku na rufie. Stopy opierał o burtę. Ciemne okulary odsunął na czubek głowy. Popijał rum z wydrążonego ananasa i wpatrywał się martwym wzrokiem w spienione kręgi, pozostawiane na wodzie przez dwie jachtowe śruby.

Ordonez stał pod markizą w salonie na tylnym pokładzie i pił drinka z Aureliem Estrellą, człowiekiem, który dowodził jego oddziałem zamachowców.

- *Por la victoria* - wzniosł toast Aurelio.

- *Salud* - podjął Ordonez.

Napili się.

- Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo - stwierdził Aurelio.

- Na dzisiaj - przestrzegł Ordonez.

- Tego starego Sycylijczyka nie musimy się obawiać.

- Nigdy nie lekceważ takich ludzi jak Maffatore. Żeby utrzymać się przy życiu przez pół wieku na szczycie tak zdradzieckiej organizacji, potrzeba rozumu i odwagi.

Aurelio napił się i kiwnął swą szklanką w stronę rufy.

- Niech pan spojrzy na Pedra, jak siedzi i duma. Do nikogo nie otwiera gęby. W

oczach ma mgłę. - Angelo przerwał. - On jest niebezpieczny, Don Rafael.

W świadomości Ordoneza rozległ się ostrzegawczy dzwonek, ale jego zachowanie wyrażało spokój i ciekawość.

- Jeżeli istnieje jakiś problem, musisz mi o nim powiedzieć bez obawy i wahania.

- Pedro bardzo dobrze zaplanował wojnę - stwierdził Aurelio. - Zapewnił naszym ludziom doskonałe dokumenty. Broń ulokowana była w bezpiecznych miejscach, cele wybrano starannie. Ale w trzecią noc wojny, w pensjonacie na Key Biscayne, Pedro obraził

mnie w obecności moich ludzi. Nie powiedziałem niczego przeciw panu. Zrozumiałem, że Pedro utracił swoją odwagę. - Aurelio przerwał i dodał po chwili: - Dlatego używa kokainy.

- Widziałeś mojego kuzyna, jak zażywał biały proszek? - zapytał Ordonez z prawdziwym zdumieniem.

Aurelio skinął głową.

- Musimy się z nim rozmówić i to szybko.

- Gdzie widziałeś Pedra z kokainą?

- Na Key Biscayne, przed moimi ludźmi.

- Postąpiłeś słusznie mówiąc mi o tym, Aurelio.

Ordonez odstawił swego drinka na bar, oparł prawą stopę o fotel i wysunął z przypasanej do nogi pochwy inkrustowany złotem automatyczny rewolwer. Otworzył

bębenek, naładował i odbezpieczył broń.

- Mówię panu o tym z ciężkim sercem - dorzucił Aurelio - ale nasza sprawa jest ważniejsza od jakiegokolwiek człowieka.

- Tak. Ta sprawa jest wszystkim - zgodził się Ordonez i wypalił trzy kule w twarz Aurelia. Oczy znieważonego szefa zamachowców rozwarły się z niedowierzaniem. Runął na pokład.

Cisneros oraz trzech marynarze wbiegli do salonu i zatrzymali się obojętnie, zobaczywszy roztrzaskane szczątki Aurelia, broczące pokład krwią.

- Wyrzucicie go za burtę i sprzątnijcie ten bajzel - zarządził Ordonez, po czym wyszedł na rufę.

Cisneros ostrożnie podążył za nim.

Ordonez spoglądał na gorejącą słoneczną kulę, jak chowała się za linią horyzontu.

Usłyszeli plusk ciała wpadającego do wody.

Ordonez zdjął okulary i zwrócił się do Cisnerosa.

- Aurelio mówił przeciwko tobie, kuzynie. A gdy człowiek zwraca się przeciwko mojej krwi, pewnego dnia zwróci się przeciwko mnie samemu - przerwał, wzdychając. - Ale ten zamachowiec powiedział coś, co mnie zmartwiło. Oskarżył cię o używanie kokainy.

Cisneros oblizał nerwowo wargi.

- W Miami. Raz. Byłem wyczerpany. Planowanie, wojna, fałszywe dokumenty, dostawcy broni - wszystko spadło na mnie.

- Kokaina jest diabłem białego człowieka - odparł spokojnie Ordonez. - My jesteśmy Indianami. My nigdy nie używamy białego proszku. Czyniąc tak, łamiemy święte przymierze z naszym Bogiem Manco Capac, a tego nie mogę tolerować, nawet wobec mojej własnej krwi.

- Wybacz mi, Rafael. Przysięgam ci, że to już nigdy więcej się nie powtórzy. Starłem się powiedzieć ci w Santa Rosa, że nie jestem sobą. Jestem bardzo zmęczony. Użyłem kokainy tylko dla zdobycia energii.

Ordonez przez długą chwilę mierzył swego kuzyna stalowym spojrzeniem i w końcu skinął głową.

- W porządku. Sprawa jest zamknięta. Gdy wrócimy, będziesz towarzyszył Kurtowi w podróży do Szwajcarii. Odpoczniesz w Lozannie. Szwajcarzy z wypoczynku stworzyli sztukę.

- Ordonez uśmiechnął się. - A teraz chodź, powiedziałem kucharzowi, aby przygotował kilka przysmaków. Napijemy się dobrego wina Santa Tomas. A potem chciałbym, abyś wziął sobie jedną z tych ślicznotek. Brazylijki są jak kwiaty, otwarte kwiaty. Wystarczy je dotknąć. -

Ordonez klepnął Cisnerosa w ramię i zeszli po lśniącej mahoniowej drabince do jadalni.

Kilka metrów za rufą statku dwa rekiny szarpały krwawe szczątki Aurelia Estrelli.

## Rozdział 35

- Wspaniale wyglądasz, tato.
- Wypadałoby. Przez ostatnie dwa tygodnie niczym się nie zajmowałem.
- Byłeś na wyścigach?
- Jeśli o to chodzi, to miałem wyjątkowo dobry dzień na starym torze w Del Mar.
- Handicapy jak diabli, co?
- Mistrz pokazał, co potrafi.

Jack otaczając ramieniem swą córkę przechadzał się z nią po lesie. Słońce prześwitywało w gałęziach drzew. Wydawało się, że przez ostatnie siedem tygodni Jenny urosła z pięć centymetrów. Jej długie, proste włosy mocno pojaśniały. Na widok jej profilu, łudząco przypominającego matkę, czuł klucie w sercu.

Przedstawiła mu młodego człowieka o grubych rysach i kwadratowej szczęce, z którym łączyła ją wakacyjna „przyjaźń”. Jack zachowywał się uprzejmie, lecz z rezerwą, wciąż miał trudności z przyswojeniem sobie faktu, że Jenny nieubłaganie oddalała się w swój własny świat, z jej własnymi przyjaciółmi i własną filozofią.

- To już tam, na wzgórzu, tato.

Wspięli się stromą ścieżką ku grzbietowi wymijając zdeformowane, szerniałe drzewa.

- Wiatr zmienił się w ostatniej chwili - wyjaśniła. - Gdyby pożar przekroczył tę linię, rozniósłby się na obóz.

Osiągnąwszy szczyt zobaczyli spustoszony krajobraz zwęglonych pni i spopielalej ziemi.

- Przypomina mi to dżunglę po napalmie - stwierdził Jack.
- Zaczęliśmy zalesiać cały teren.
- Przywrócić ten las do życia to spora robota.

Wśród zrujnowanych drzew zaszumiał lekki wiatr, podrywając w górę papierowe kubki i pozostawione przez strażaków śmieci.

- Chodźmy - powiedziała. - Chcę przedstawić cię Carmen.
- Kto to jest Carmen?
- Mój koń.

Poprowadziła go krętą ścieżką wśród wysokich sosen, wypełniających las rześkim, ożywym aromatem. Zapach ten przypominał mu minioną bez troskę, dawno zapomniane radosne chwile. Ćwierkały ptaki, brzmiały cykady, a wśród gałęzi przemykały wiewiórki.

W słonecznej smudze stanął nieruchomo jeleń. Strzygł uszami, wpatrzony w nich lśnięcymi, czarnymi oczyma.

- Boże, jaki wspaniały - wyszeptała Jenny.

Grzebnąwszy racicą, zwierzę umknęło w zarośla.

- Zdumiewające, jak można strzelać do czegoś tak pięknego - rzuciła ruszając dalej.

Gdy za nią szedł, nagle powrócił do niego fragment zapisu Candy: „...zagubiona w światłach/ podążająca za snem, który/ nigdy się nie spełni”. Candy i Jenny były dziećmi tego samego pokolenia, a jednak, dzięki bożej łasce albo losowi, sile charakteru lub łutowi szczęścia, Jenny nie została wchłonięta przez koszar, który zniszczył Candy. Ich generację trafiły strzykawki i narkotyki oraz sprzedajna, uproszczona moralność, którą wspierały wyrafinowane technologicznie mass media, nieustannie powtarzając mrożące krew w żyłach akty przemocy przerywane jedynie bezmyślnymi reklamami.

Schodząc po stromym zboczu musieli się podtrzymywać. Obserwował jej ruchy, patrzył na wystający podbródek, proste ramiona, wysoką, kształtną figurę dojrzewającej kobiety.

Gdy zbliżali się do stajni, wiatr przyniósł ostrą woń koni, siana i nawozu.

- Widywałeś się z kimś? - zapytała nagle.

- Z nikim szczególnie.

- A jak tam Phil Brody?

- Taki jak zawsze - uśmiechnął się. - Phil to stary mędrzec naszego wydziału. Nie pracuję już teraz z nim tak blisko jak kiedyś. Mam nowego współpracownika, Silvia Martinez. Jest weteranem walki z narkotykami.

- Jak wam idzie?

- Bardzo dobrze.

Weszli do stajni i Jenny podbiegła do dużej gniadej klaczy, która wychylała się z boksu jakby w oczekiwaniu na towarzystwo. Jenny pogładziła ją po łbie i wetknęła do pyska kostkę cukru.

- Czyż nie jest piękna?

- Skąd się wzięło jej imię?

- Ona jest po championie z hiszpańskiej hodowli, więc właściciel nazwał źrebię Carmen. Nie ma talentu ojca, ale jest świetnym koniem jeździeckim, jest delikatna i bystra.

Prowadziłam ją kiedyś po wzgórzach. Dzieciaki rozciągnęły się w tyle. Nagle Carmen stanęła dęba i zarżała. Wiedziałam, że chce mnie przed czymś ostrzec, więc zatrzymałam się. Jakies trzy metry przede mną wypadł z gąszczu wielki grzechotnik i przemknął po szlaku.

- Może powinniśmy uwolnić się od naszych krążowników i wrócić do koni?

- Niezła myśl - stwierdziła.

\*

Idąc pod rękę minęli teren obozu i skierowali się w stronę parkingu dla przyjezdnych gości. Po drodze przedstawiała mu obozowiczów wraz z odwiedzającymi ich rodzicami.

- No, za kilka tygodni będziesz z powrotem w szkole - zagadnął.

- Nie mogę się doczekać. Tęsknię za tobą, naprawdę tęsknię.

- Wzajemnie, dziecińko.

Objęła go w pasie.

- Miałeś wiadomości od Gabrielli? - spytała.

- Dostałem od niej list, jakieś dziesięć dni temu - powiedział, gdy wchodzili już na parking. - Myślałem o wyjeździe do Rzymu na Boże Narodzenie. Chciałbym, abyś ją poznała.

- Jejku, Rzym! To byłoby fantastyczne.

- Zobaczymy.

Wsiedli do Pontiac'a i Jack zapytał:

- Jest tu w okolicy jakieś przyzwoite miejsce, żeby zjeść lunch?

- Nic takiego nie ma.

- A więc, zdaje się, że zajedziemy do Santa Barbara i zjemy w Hotelu Baltimore.

- To daleko stąd, tato.

- Nic nie szkodzi.

\*

Jechali polną drogą na zachód, w kierunku Autostrady Wybrzeża. Jenny zauważyła koniuszek



jedwabnej chustki wystającej spod oparcia. Wyciągnęła ją i głośno odczytała z naszywki:

- „Hermes...” Ładny grosz. - Przytknęła chustkę do twarzy. - I niezłe perfumy. Do kogo należy?

Do sławnej gwiazdy filmowej.

- Znam ją?

- Mam nadzieję, że nie. Skąd to wytrzasnąłaś?

- Jak na glinę nie jesteś zbyt błyskotliwy. Wozisz w samochodzie damskie chustki, a jeśli rzeczona osoba jest kimś, o kim nie możemy rozmawiać, to znaczy, że jesteś nieostrożny.

- Zwiń to i włóż do schowka - uśmiechnął się. - Biedny będzie chłopak, który się z tobą ożeni.

- Dlaczego?

- Zbyt długo kręciłaś się wśród detektywów. Będzie musiał być mistrzowskim przestępcą, żeby cię wykiwać.

- Mój mąż nie będzie miał siły ani skłonności do oszukiwania.

\*

Wieczorny tłum niedzielnych gości w restauracji u Pręga był hałaśliwie ożywiony.

Kucharze w wysokich białych czapach mieszali gęste sosy i obracali na rożnie pieczone łososie. W powietrzu unosił się ciężki aromat czosnku, perfum i opiekanych ryb.

Sherry i Lisa przyjechały wcześniej, aby zapewnić sobie stolik przy oknie. Ich zewnętrzny wygląd ostro ze sobą kontrastował. Sherry nosiła skrojony po męsku szary żakiet, białą koszulę i ciemnoczerwony krawat, nie była umalowana ani nie miała biżuterii.

Lisa Chang była w białej sukni, a długie, jedwabiste, czarne włosy spływały jej na ramiona. Palce obu dłoni ozdabiały trzy turkusowe pierścionki, w uszach zaczezione miała podobne, duże kolczyki. Jej lśniące, migdałowe oczy podkreślone były niebieską kredką.

Jadły palcami smażone kalmary i popijały Chianti.

- Dziś rano dzwonił do mnie Leo - powiedziała Sherry.

- Co mówił?

- Zaczynamy przygotowania do „Wspomnień o Candy”.

- Kiedy?

- Za kilka tygodni. Jadę do San Francisco w pierwszych dniach września z Jimmy Crenem wybrać

plany zdjęciowe.

- Jimmy to świetny operator.

Sherry skinęła głową.

- Chciałabym każde ujęcie oświetlać jak impresjonistyczny obraz; miękko, filtrowanym światłem z odcieniem błękitu.

Lisa otarła serwetką usta.

- Skoro nie ma już Stelli, to kto będzie grać Candy? - zapytała.

- Musimy kogoś znaleźć.

- Żałuję - westchnęła Lisa. - Czasem żałuję, że zostałam naznaczona tą przeklętą orientalną twarzą.

- Twoja buzia jest urocza - powiedziała Sherry, chwytając Lisę za rękę. - Mam przepisany scenariusz. Chcę, żeby był zmysłowy, nie pornograficzny. Twoja rola zostanie rozszerzona. Obiecuję ci.

- A co z Karen?

- Jestem skazana na tę sukę. Po tym wszystkim pozostała jedynym bankowym nazwiskiem.

- Mam nadzieję, że się mylę - stwierdziła Lisa. - Ale dręczy mnie przecucie, że ona przyłożyła rękę do zabójstwa Johna i Stelli.

- Ona jest zdolna do morderstwa - odparła Sherry. - Czai się w niej jakiś rodzaj wyrachowanej nienawiści. Można to zobaczyć na ekranie. Bez względu na to, co tam robi, jej oczy promieniują zimnym, fałszywym blaskiem.

Do restauracji wszedł Jeff Kellerman w towarzystwie atrakcyjnej dziewczyny i natychmiast znaleziono im stolik. Zauważył Sherry i pozdrowił ją. Sherry posłała mu uśmiech, mrużąc:

- Ten kutas... Nie filmuje niczego poza gadającymi głowami. Załamuje mnie, jak on, do cholery, mógł zdobyć takie poważanie u krytyki.

- Wiesz, to stary naciągacz - powiedziała Lisa. - Candy owinał sobie wokół palca.

- Candy ulegała wpływom. Obiecywał jej rolę w normalnym filmie - stwierdziła Sherry popijając wino. - Boże, oddałabym wszystko za szansę robienia normalnego kina.

Kelner podał Sherry łososia, a Lisie kurczaka z różną.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- W jak najlepszym - Sherry uśmiechnęła się.

Jadły niedbale, jakby żadnej z nich nie zależało na zakończeniu kolacji.

- Karen mota tego glinę - powiedziała Sherry

- Jakiego glinę?

- Rainesa.

- Rozmawiałam z nim - odrzekła Lisa. - Powiedziałam mu o seansie. Nic dziwnego, że tak osłaniał Karen. - Lisa obgryzała skrzydełko. - Skąd wiesz, że się do niego dobiera?

- Wspomniała o tym Leo. Karen gra swoją własną grę i jeśli ma coś wspólnego z zabójstwami, to cóż pewniejszego niż trzymanie gliny prowadzącego śledztwo we własnym łóżku?

- Nie mogę uwierzyć, że jakimkolwiek facetowi może wydawać się seksowna.

- To ta jej wielkopańska buźka, te połyskujące siwe oczy. Ona coś w sobie ma, to muszę przyznać - powiedziała Sherry. - Co mnie zadziwia, to raczej fakt, że ona właściwie wierzy w tę Regułę Sziwy.

- Ja też w nią wierzę - odparła Lisa.

- Ty jesteś inna, kochanie. Mimo wszystko to jest wschodnia religia.

- Powiedziane prawdziwie po rasistowsku.

- Czy ktoś pomógł ci bardziej ode mnie?

Lisa spojrzała Sherry głęboko w oczy i uścisnęła jej dłoń.

- Nikt.

Lisa usunęła rękę, gdy kelner napełniał ich kieliszki.

- Czy życzą sobie panie czegoś jeszcze? - zapytał.

- Chciałabym podwójną kawę poprosiła Sherry.

- Zostanę przy winie - uśmiechnęła się Lisa.

Sherry potrząsnęła głową, zakłopotana.

- Karen zawsze mnie onieśmiała. Nienawidzę pracować z nią, ale nie mam wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór - odparła Lisa.

\*

Silvio i Pepe siedzieli w ciemności na pustawym balkonie. W czasach swej świetności to stare kino było miejscem premier pełnych splendoru i bogactwa, a jego historia rozpoczynała się jeszcze w czasach wodewilu. Obecnie sala egzystowała dzięki wyświetlaniu filmów pornograficznych i sprzedaży kaset w hallu. W czasie weekendów, na tej samej scenie, na której kiedyś występowali Jolson, Buster Keaton i W.C. Fields. odbywały się teraz erotyczne pokazy na żywo.

- Co się działo w Cancun? - zapytał szeptem Silvio.
- Nie gap się na mnie - rzucił nerwowo Pepe. - Patrz w ekran.
- To już dwa tygodnie, Pepe. Od dwóch tygodni cisza.
- Nic ci nie poradzę.
- Powiedz mi tylko, czy dobili targu?
- Patrz na tę lufę, tam w dole, w trzecim rzędzie - wyszeptał podekscytowany Pepe jak młóci tego gościa.
- Nie pogrywaj ze mną, Pepe - Silvio rzucił złowrogo.
- Słuchaj, nie mam ci nic do powiedzenia.
- Lepiej żebyś miał.
- Aurelio Estrella został sprzątnięty - westchnął Pepe.
- Kto to jest, do cholery?
- Raczej był. Główny kat Ordoneza. On był też moją wtyczką. Dał mi taśmę z „Ave Marią”.
- Dlaczego?
- Chciał być numerem drugim. „Ave Maria” była pomysłem Cisnerosa i Aurelio chciał go wystawić.
- A dlaczego go stuknęli?
- Nie wiem. Ale kiedy Ordenez i Cisneros wrócili do Barranquilla, Aurelia już z nimi nie było. - Pepe szurnął długimi nogami - Muszę spadać.

Silvio chwycił handlarza za rękę.

- Powiedz mi, czy wojna skończona?

Pepe poczuł uścisk palców Silvia na przedramieniu. Silvio był w niebezpiecznym nastroju. Pepe wiedział, że musi mu coś podrzucić. Rzecz polegała na tym, aby odpowiedzieć nie wchodząc w

szczególne.

- Puść, pieprzony gliniarzu - jęknął. - Słyszałeś o jakichś zabójstwach przez ostatnie dwa tygodnie? Słyszałeś o ludziach z porno, żeby ich rozwalono, albo o handlarzach? To się odpiardol. Jest niedziela wieczór. Nie masz jakiejś baby? Albo domu, dziecka, psa, kota, wszystko jedno? - urwał na moment - Słuchaj, jak będziesz tak ostro jechał, to będą ci musieli zderzaki do trumny przymocować.

- Czy zrobili interes? - powtórzył Silvio.

- Zrobili - westchnął Pepe.

## Rozdział 36

Ciemnozielony Pacyfik mienił się srebrzystymi cętkami. Ludzie na deskach surfingowych pływali po skłębionych falach. Późnym popołudniem ruch na nadbrzeżnej autostradzie był mały. Silvio kierował, a Jack obserwował mijane znaki.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - ostrzegał Silvio. - Nolan kazał ci trzymać się od tego z daleka.

- Chcę po prostu porozmawiać z guru. Cholera, może przyjmę tę wiarę.

- Gówno prawda. Chcesz zniszczyć jego wiarygodność przy Karen Dara.

Niepotrzebnie drażnisz Nolana. Jeśli ona wierzy w tę bzdurę, to nie zmienisz jej poglądów.

- Tu nie chodzi tylko o Karen. Ten guru preparuje głos Candy. Chcę się dowiedzieć, dlaczego kazał mu żądać zemsty. Byłoby to dla nas ważne.

- Dlaczego?

- Jego wyznawcy wierzą, że porozumiewają się z umarłymi. I jeśli taki zmarły duch prosi o zemstę, a uczeń kogoś zabija, to guru ma współdziałanie w morderstwie. Religijny pic to jedna sprawa, nakłanianie do morderstwa to druga.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu obserwując wysoką, kształtną blondynkę, jak taszczyła przez przejście deskę surfingową.

- Myślisz, że Karen stuknęła Traynora i Pierson? - spytał Silvio.

- Nie wiem, ale przyznała, że guru dostarcza opium i trawę, aby pomóc w łapaniu kontaktów z zaświatem. A opium całkiem nieźle rozpieprza myślenie.

- Absolutnie - przyznał Silvio. - Opium jest mordercze. Widziałem nałogowców, którzy po jednej fajeczce przeskakiwali z odrętwienia w dzikie halucynacje.

Przejście opustoszało. Silvio nacisnął gaz i miękko zmieniał biegi. Ujechali na północ jeszcze trzy kilometry, gdy Jack wykrzyknął.

- To jest tam! Zwolnij i zjedź na prawo do tego znaku.

Silvio zredukował bieg i skierował samochód na zjazd.

Skrecając ostrożnie przejechał jeszcze 80 metrów po łuku i zatrzymał się obok zaparkowanego na poboczu Mustanga.

Gdy Jack wysiadł z samochodu, opadł na niego tuman kurzu. Podszedł do Mustanga.

Wsadził głowę w okno i przywitał się z dwoma detektywami NIFTY. Była to ta sama para, która wysiadywała pod fabryką na Los Angeles Street. Starszy, tęgi policjant Stillwell siedział za kierownicą. Jego koszula z krótkimi rękawkami była przesiąknięta potem, a półka pod oknem zawałona niedopałkami papierosów. Młodszemu, Reismanowi, upał zdawał się w ogóle nie dokuczać. To właśnie on robił teatr przed fabryką, zataczając się jak pijany po ulicy i sikając w bramie wjazdowej na oczach kolumbijskich *coqueros*.

- Jak sobie radzicie, chłopcy? zagadnął Jack.

- Gorąco jak w szurzej dupie - mruknął Stillwell.

- Duży ruch?

- Karen Dara przyjechała o dziesiątej trzydzieści pięć. Jedyne obce samochody to czarny Buick z kierowcą w uniformie. Straż przyboczna guru, jak sądzę. Wyjechał około wpół do pierwszej i wrócił parę minut po drugiej.

Pamięć Jacka rozjaśniło odległe światełko.

- Czarny Buick, powiadasz?

- Czarny jak przeciwieństwo białego - Stillwell kiwnął głową. - Chcesz numer rejestracyjny?

- Nie. Dostaliście jakieś zdjęcia?

- Wypstrykany poczet bogatych i sławnych. Żony i przyjaciółki gwiazdorów oraz jedna sławna aktorka. Ten guru ma zamożną klientelę.

- Kiedy was zmieniają? - zapytał Jack.

- Fitz i Santoro będą o piątej. Cantini i Simons siedzą w nocy. Mam nadzieję, że ta Karen jest tego warta.

- Jest warta, jest - Reisman uśmiechnął się. - Widziałem jej filmy.

Jack wrócił do Pontiacu i otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Wsiadaj, *amigo* - powiedział.

Silvio spojrział na niego osłupiały.

- Zaczekaj na mnie z chłopakami. Nie będzie mnie z dziesięć minut.

- O co ci chodzi?

- Daj spokój, Silvio, to moja sprawa.

- Bzdury.

- Wyłaż - upierał się Jack. - Jak adwokat guru złożę zażalenie, nie chcę, żebyś był w to wmieszany.

- Jadę z tobą - stwierdził stanowczo Silvio. - Możesz spotkać się z nim sam na sam, ale on ma tam goryli. Nie marudź, wsiadaj.

Silvio jechał na niskim biegu po stromej, wijącej się w górę drodze, wzbijając za sobą tumany rudego kurzu.

Wjechali na grzbiet wzniesienia nie opodał wierzchołka i zatrzymali się przed dwuskrzydłową bramą z kutego żelaza. Podszedł do nich barczysty strażnik w uniformie.

- Droga prywatna, panowie - rzucił. - Jesteście tu intruzami.

Silvio błysnął odznaką.

- Detektywi Martinez i Raines, brat Meli-Ramdas jest z nami umówiony.

Strażnik przyjrzał się im trzaskając gumą do żucia.

- Sprawdzę to.

Podszedł powoli do budki przy bramie, otworzył drzwi i podniósł słuchawkę telefonu.

Powiedział coś zwięźle, odwiesił ją, przycisnął trzy guziki na tablicy i masywne wrota rozsunęły się.

\*

Rubinowe oko u zwieńczenia stożkowej świątyni Sziwy jaśniało w blasku popołudniowego słońca. Po obu jej stronach stały drewniane parterowe domki i obszerne płócienne namioty.

Silvio wjechał na parking tyłem, tak aby przód samochodu skierowany był na wprost sporego baraku z napisem „Centrum Medytacji”.

- Będę tutaj czekać - powiedział do wysiadającego Jacka. - Nie masz obstawy, więc zachowuj się przyzwoicie.

Jack zauważył paru strażników zaopatrzonych w krótkofalówki i pistolety automatyczne, którzy wylegiwali się przed świątynią. W drzwiach powitała go biało odziana dziewczyna.

- Tędy proszę.

\*

W pokoju nie było żadnych mebli z wyjątkiem małego stolika, na którym piętrzył się stos reklamowych broszur.

Śmigielka wentylatora pod sufitem omotane były nićmi pajęczyny. Na zakurzonej podłodze leżał wytarty, perski dywan. Brudne okna pozamykano. W stojącym powietrzu rozchodził się słodki aromat kadzidełek.

Guru Meli-Ramdas, w turbanie i purpurowej, aksamitnej szacie, siedział na środku dywanu w pozycji kwiatu lotosu. Był drobnym mężczyzną z długą, siwą brodą, miał jasne oczy i skórę w kawowym odcieniu.

- Przynieś bratu Reinesowi stołek - polecił dziewczynie, która ukłoniwszy się, składając dłonie, wyszła z pokoju.

- Herbaty? - zapytał guru.

- Nie, dziękuję.

- Czym mogę panu służyć?

- Kilkoma odpowiedziami.

- Oczywiście. Moje życie jest poświęcone odpowiedziom na pytania. Kosmiczne pytania.

- Moje nie mają takiego ciężaru.

- Wszystko, co pozostaje bez odpowiedzi, jest ciężarem - uśmiechnął się guru.

- Oszczędź mi swej filozofii, bracie. Jestem oblatany w tym interesie od czasu jak Maharishi Saraswati opuścił jaskinię w Indiach i przeniósł swój aśram do Los Angeles. Zrobił

tu szmal jak cholera, ale największy bajer wszechczasów wstawił guru Jim Jones i jego sławne Kool-Aid.

Dziewczyna w białej szacie weszła ponownie i postawiła na dywanie niski stołeczek.

Ukloniła się guru i wyszła.

- Parę tygodni temu przeprowadzał pan seans z Lisą Chang i Karen Dara.

Połączyliście się z duchem zmarłej Candy Lane.

- Duszą zmarłej - poprawił guru.



- Zgoda. Z tego, co zrozumiałem, dusza panny Lane żądała zemsty za swą śmierć.

- To prawda.

- I to żądanie zostało skierowane do Karen Dara.

- To także prawda.

Jack opadł całym ciężarem na stołek. Zaczął się pocić w cuchnącym upale i walczył z sobą, aby powstrzymać rosnącą wściekłość wobec protekcyjnego tonu tego szulera-artysty z oczami jak paciorki.

- Czy od tamtego czasu prowadził pan jeszcze jakieś seanse dla panny Karen Dara?

- Ależ tak. Usiłujemy komunikować się z duszą Candy Lane przynajmniej trzy razy w tygodniu. Nie zawsze nam się to udaje, ale próbujemy.

Jack podniósł się, podszedł do stolika i wziął do ręki broszurę ze zdjęciem guru na okładce.

- Mogę to zatrzymać?

- Oczywiście.

- Czy mógłbym zapalić?

- Wolałbym, aby się pan powstrzymał.

- Powiedz mi, bracie - zagadnął ciepło Jack - czy mieszanka opium i trawy jest wypalana, wstrzykiwana czy połykana?

- Ma pan na myśli rytualne opiaty, których potrzeba dla osiągnięcia innego świata?

- Mówię o nielegalnych narkotykach, które dostarcza pan swoim uczniom.

- Przestrzegam zapisanych poleceń bogini Sziwy. Niektóre religie używają kadzidła, opłatków, wody święconej i wina. Reguła Sziwy stosuje czyste ziołowe opium i nie preparowaną marihuanę. Według mojej wiedzy, żadnego z tych środków nie zabrania się używać w ceremoniach religijnych.

- Obawiam się, bracie, że jesteś w błędzie. Cel nie ma tu znaczenia, oba są zakazanymi narkotykami.

Guru przymrużył wodniste, brązowe oczka i wzruszył kościstymi ramionami.

- Być może mój adwokat źle mnie poinformował.

- Źle poinformował, niezły numer! Rozprowadza pan narkotyki. To przestępstwo warte jest w tym stanie od piętnastu do dwudziestu pięciu lat więzienia. Ale zrobię z panem interes. Chcę, aby przedstawił mi pan tę dźwiękową maszynę, która służy do odtwarzania głosów uleciałych dusz,

oraz przyniósł tu jedno z tych seansowych krzeseł i pokazał Karen Dara ukryte sprężyny. Chciałbym, aby zobaczyła pański kram od kuchni, a w zamian obiecuję nie sporządzać nakazu pańskiego aresztowania.

- Aresztowania? - zapytał z niedowierzaniem guru.

- Za rozprowadzanie i używanie narkotyków - wyjaśnił Jack.

Guru nic nie odpowiedział.

W pokoju zaległa cisza maćona jedynie brzęczeniem much obijających się o szyby brudnych okien.

- Zgoda - guru skinął głową i wyciągnąwszy spod poły dzwonek potrząsnął nim mocno.

Weszła młoda dziewczyna w bieli.

- *Porti* Karen - polecił.

Dziewczyna złożyła dłonie i zniknęła.

- Ujawnianie urządzeń stosowanych podczas seansu nie będzie potrzebne. Otwarcie przyznaję się do ich używania powiedział guru. Widzisz, bracie, duchowy kontakt ze zmarłymi jest przez nie tylko ukierunkowywany. Pomagają wewnętrznej duszy uzyskać ten podniosły transcendentálny stan. Same w sobie nie byłyby użyteczne. Żyjący duch i dusza zmarłego muszą być koniecznie zorkiestrowane. Moim skromnym zadaniem jest połączenie obu tych sił. Jestem jedynie sługą bogini Sziwy.

- Kto nagrał głos Candy Lane?

- Jedna z moich uczennic.

- Dlaczego kazał pan nagrać żądanie zemsty?

- Byłem kierowany przez Sziwę.

- Wiem. Ale ja pytam dlaczego?

- Bogini pragnie, aby jej dzieci były wolne od perwersji.

- Mówi pan o pornografii?

- W przypadku Karen Dara, tak.

- I ta bogini pragnie, aby panna Dara sprzątnęła wszystkich swoich kolegów?

- Och - guru uśmiechnął się. - Interpretuje pan zemstę jako przemoc. To mylne. Dusza Candy Lane błaga w istocie siostrę Karen, aby osiągnęła czystość. Nie należy przyjmować słów zmarłych dosłownie.

- Dlaczego głos Candy nie żądał poszukiwania zemsty od Lisy Chang?

- Jestem tylko sługą Sziwy. Nie kwestionuję jej życzeń.

Jack zrobił kilka kroków po pokoju, po czym zapytał.

- Ile każe pan płacić uczniom za religijną pociechę i narkotyki?

- Och, bracie, powiedziałaś, że nie będziemy mówić o narkotykach.

- Okay, jaka jest pańska stawka?

- To zależy od hojności moich uczniów.

- Ten czarny Buick, którego używają strażnicy, czy przypadkiem nie jechali nim za Karen autostradą, w nocy po pierwszym seansie?

- Możliwe, że jeden z moich ludzi starał się ją chronić, ponieważ jej umysł znajdował się w stanie podniecenia.

- Mówiąc „umysł w stanie podniecenia” myśli pan o nagrzaniu przez opium?

Drzwi otworzyły się i guru wstał.

W progu stanęła Karen, ubrana w białą lnianą szatę. Rzuciła Jackowi lodowate spojrzenie.

- Co ty tu robisz?

Jack zwrócił się do guru.

- Proszę jej powiedzieć.

- Pan oficer życzy sobie, abym poinformował cię, że głos Candy Lane został nagrany przez siostrę Carnelię oraz że ruchy mebli w czasie seansu są powodowane za pomocą urządzeń mechanicznych.

- A także - dodał Jack ocierając z twarzy pot - że Buick, który gonił cię po autostradzie, należał do jednego z tutejszych goryli. Prawdopodobnie napalił się opium, a potem napalił się na ciebie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - uśmiechnął się guru. - To czysta spekulacja.

- Spekulacja czy nie - Jack spojrzał na Karen - mogę się o to założyć. Nie jesteś głupia. Widzisz cały ten pic. Ten mały gnojek karmił cię opium i poczuciem winy w opakowaniu gówna wartej religijnej ceremonii. Dlatego śnią ci się koszmary. A teraz ubieraj się i zjeżdżajmy stąd.

- Musisz mieć cholernie dużo tupetu, żeby tu przyjechać i ciskać się po kątach -

odparła ze złością. - To jest uznane i legalne wyznanie religijne, a ty jesteś tu nieproszonym intruzem.

Co cię, do diabła, obchodzi moje myślenie o tym, jak i dlaczego? Ta sceneria nie ma dla mnie znaczenia. Czuję na seansach obecność Candy i tylko to jest ważne.

- Dobra - Jack zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię. - Może potrzeba ci tej odwagi Sziwy, żeby chodzić po swoich znajomych i kolejno ich rozwalać

- Do widzenia, Jack - odpowiedziała spokojnie. - I odwołaj te gończe psy. Jestem dużą dziewczynką i potrafię zadbać o siebie.

- Cokolwiek rozkażesz - odparł Jack i dodał ironicznie - siostro.

Karen zaczęła, aż wyjdzie, po czym zwróciła się do guru.

- Przepraszam za ten incydent.

- To nic. Świat materialny zamęcza nas wszystkich. Chodź, uklęknijmy i pomódlmy się. Siostra Carnelia przygotuje fajkę. Pomodlimy się o pokój.

Uklękli razem na perskim dywanie i zanucili w esperanto: *Se placas porti paco.*

## Rozdział 37

Światła doliny jarzyły się jak lśniący naszyjnik upięty wokół odległego podnóża gór San Bernardino. Nie zwracając uwagi na wspaniały widok. Leo Whelan chodził po tarasie swego domu w Encino Hills wołając ze złością w słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

- Do cholery, Eddie, czy naprawdę tak trudno znaleźć jakiś miejscowy talencik?

- AIDS! To można znaleźć głos należał do Eda Berlfiena, kierownika produkcji Whelana w San Francisco.

- Czy powiedziałaś „AIDS”? - zapytał z niedowierzaniem Leo.

- Tak. Ludzie boją się występować.

- Powiedz mi, Eddie, odkąd to na świecie nie ma ryzyka? Zresztą, wiesz dobrze, że nikt, kto wcześniej nie przeszedł psychiatrika, nigdy dla mnie nie pracował. Działam dokładnie tak, jak w normalnym filmie - Leo przerwał. - Dobra, więc co z obsadą?

- Ciężko znaleźć jakąś atrakcyjną blondynkę do roli Candy.

Whelan wiedział, że Eddie ma już kandydatkę i zastanawiał się teraz nad ceną, która mogłaby zrównoważyć uderzenie.

- Jak ciężko? - spytał Leo.

- Dziesięć patyków na dzień.

- Jezu... Kto to taki? Madonna?

- Nazywa się Stephanie Storm. Występuje jako tancerka w Gino's. Rewelacyjna. Nogi z Broadwayu, cyc z Playboya, a uśmiech taki, że nawet ajatollah zapomniałby o Mekce.

- Grzeje?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Wyślij mi kilka fotografii.

- Musisz ją sam zobaczyć, Leo.

- Okay. Będę tam za parę tygodni z Sherry Nichols i Jimmy Cranem.

Nastąpiła przerwa. Leo wyciągnął z kieszeni sportowego kombinezonu cygaro i odgryzł końcówkę.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał Eddie.

- Zapalam cygaro, Leo wydmuchnął dym w stronę tarasowych lamp i rzucił w słuchawkę.

- Potrzebny mi zamek, Eddie.

- Co?

- Zamczysko. Do filmu, który ma iść po historii Candy Lane.

- Dlaczego akurat zamek?

- Chcę zrobić kasowy film na wysoki połysk, porno, które przebiję się w świecie normalnego kina. Historia oparta jest na opowiadaniu Edgara Allana Poe „Maska szkarłatnego moru”.

- Nie znam.

- To się dzieje w osiemnastym wieku. W okolicy panuje zaraza, coś jak AIDS, tylko gorsza. Dwór królewski i możni zamelinowali się w zamku. Fosa jest wypełniona wodą. Nie mogą wyjść, nie mogą nikogo wpuścić. Czas upływa, a ta wystrojona arystokracja dziwaczeje i wariuje. Są osaczeni w zamku, czas ucieka. Muszą coś z tym zrobić. Otacza ich śmierć.

Muszą być kostiumy, biżuteria, te fryzury Madame du Barry, peruki i meble w stylu Ludwika XV.

- Masz prawa na ten tekst? - dopytywał się stłumiony głos.

- Nie martw się o prawa. Pierdol prawa! Znajdź mi zamek.

- Znajdę coś u żabojadów. Pomysł dobry, ale tytuł mi śmierdzi.

- Mamy jeszcze kupę czasu, żeby martwić się tytułem, do cholery.

- Nikt ci nie przyjdzie na film, który się nazywa „Maska szkarłatnego moru”. Musisz wykombinować tytuł.

Leo westchnął.

- Mam roboczą nazwę, Eddie. Ale morda w kubel.

- Milczę jak grób. No jaką?

- „Zamczysko zwane pożądaniem”.

Zaległa cisza, po czym Eddie wykrzyknął:

- Sensacyjne! To jest tytuł wart dwudziestu pięciu melonów!

- Cieszę się, że kupujesz. A teraz znajdź zamek i nie zgub tej panienki, Stephanie Storm.

- Jest pod kontrolą.

- Cześć, Eddie.

Wcisnąwszy guzik Leo przerwał połączenie. Podszedł do małego stolika i zostawił

tam aparat. Odłożył cygaro na popielniczkę i spojrzął na zegarek. Była 21.45. Musiał się ogolić i ubrać. Limuzyna Jeffa Kellermana mogła nadjechać w każdej chwili. Reżyser urządzał w swym domu w Coldwater Canyon party z okazji rozpoczęcia nowego filmu. Leo dostarczył mu kilka piesczoszek dla umilenia wieczoru, a w rewanżu Kellerman zaprosił

Whelana na galę.

Leo był w euforycznym nastroju, otrząsnąwszy się po lawinie morderstw i kłopotów w interesach.

Sidney Davis opowiedział mu o spotkaniu w Cancun. Rozejm został zawarty. Ordonez zaprzeczył swemu udziałowi w morderstwach w Los Angeles. Ale tego Leo nie był pewien.

Te zabójstwa i kokainowe podpisy nosiły dziwne znamiona, wspólne kolumbijskim zamachowcom. Leo przypominał sobie oszukującego handlarza, którego gardło zostało nacięte, a przez otwory przetknięto krawat wiążąc go na jabłku Adama. To morderstwo nazwano „kolumbijskim krawatem”. Ale dokonane zabójstwa aktorów porno nie obchodziły już Whelana. Rozejm stał się faktem, a produkcja mogła być wznowiona.

Był wdzięczny, że oszczędzono Karen Dara. Pozostała jedyną żyjącą gwiazdą i jej obecność w przyszłych filmach gwarantowała pojawienie się koników pod kinami oraz olbrzymią sprzedaż kaset.

Kilka tygodni temu Karen powiedziała mu o swym związku z Jackiem Rainesem.

Przestrzegła go, aby zachował tę wiadomość w sekrecie. Nie chciała zaszkodzić pozycji Rainesa.

Mówiła o tej sprawie, aby Leo dowiedział się, że nawet policja łamie sobie głowę nad tymi morderstwami oraz że powinien podjąć kroki dla własnej ochrony. Leo podziękował

za wiadomości, lecz ten telefon wzmógł jego zdenerwowanie. Być może była to jego własna obsesja, ale w jej radzie dźwięczała powleczone lukrem groźba. Karen zawsze wzbudzała w nim niepokój. Była zagadką, którą maskował lodowaty uśmiech.

Podniósł swe cygaro i ruszył do sypialni, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Szoferskie nasienie, zawsze są wcześniej - mruknął pod nosem tocząc się do drzwi.

Zerknął przez wziernik. Nieco zaskoczony westchnął, odryglował zamek i otworzył.

- Wejdz, zrób sobie drinka. Jestem już spóźniony, ale...

Rozległ się głuchy trzask. Leo wpadł na półkę z książkami, czując, jak we wnętrzu jego brzucha rozpałał się pożar. Płomienie i dym uderzyły go znowu. Chwycił się za brzuch i zawył, gdy spod palców trysnął gejzer krwi. Osunął się po ścianie w dół, wpatrzony w wylot lufy, która przybliżała się wolno, aż w końcu docisnęła galaretowatą miazgę sterczących wnętrzności.

- Dlaczego? - stęknął Leo. - Dlaczego?

Lufa rzygnęła ogniem. Echo wystrzałów odbijało się od ścian. Ciałem Whelana trzykrotnie targnęły drgawki i Leo zwałił się na bok. Z ust wyciekła mu strużka krwi, plamiąc deski podłogi. Otwarte oczy zaszyły mgłą. Ostatnim obrazem, jaki mignął w jego zamierającym mózgu, był widok padającego śniegu.

## Rozdział 38

Ambulans lekarza sądowego, furgonetka z daktyloskopii oraz laboratorium fotograficzne odjechały z miejsca zbrodni o 2.50 w nocy. Na kolistym podejździe przed domem Whelana parkowały nadal samochody prasy wraz z Pontiakiem Jacka, policyjnym autem patrolowym. Toyotą Gabriela Torresa i dziwną w tym zestawieniu, lśniącą, czarną limuzyną. Ekipy telewizyjne ustawiły rząd reflektorów w oczekiwaniu na wywiad z Rainesem przed kamerami. Dziennikarze skupiali się w małych grupkach, paląc papierosy i dyskutując.

Wewnątrz wozu transmisyjnego telewizji leżała na kanapce Gloria Hunnicutt. Miała nadzieję, że tym razem Raines będzie bardziej rozmowny niż ostatnio. Była wściekła, że zmusił ją do zdobywania wiadomości poprzez Brody'ego. Nie z tego powodu, że miała coś przeciwko podkreśnianiu zasuszonego detektywa drobną operacją, ale było to kłopotliwe i w pewnym sensie pomniejszało prestiż.

Raines i Silvio byli w sypialni gospodarza, przeglądając resztę szuflad i szafek. Silvio zasunął z hukiem dolną szufladę olbrzymiej komody. Jack wyszedł z wnęki z ubraniami.

Spojrzeli na rozłożyste łóżko.

- Zdaje się, że to wszystko - rzucił Silvio.

Leżała tam księga kasowa, stos nieważnych czeków i gruby oprawny w skórę notes z telefonami.

Notes zawierał nazwiska reżyserów, techników, agentów oraz dystrybutorów filmowych z Cleveland, Chicago, San Francisco i Nowego Jorku. Jedyne nazwiska, które wiązały się ze sprawą, należały do Angela Maffatorego, Jeffa Kellermana, Sherry Nichols, Karen Dara, Lisy Chang i Candy Lane.

- Chodźmy pogadać z Gabbym - powiedział Jack.

Weszli do salonu i zauważyli szofera, chodzącego nerwowo po tarasie.

- Trzymamy tego faceta już całą noc - zauważył Silvio.

- Przeżyje.

\*

Torres przypatrywał się kredowemu obrysowi ciała. Ciemne plamy krwi na drewnianej podłodze kontrastowały ostro ze śnieżnobiałym rysunkiem serca przebitego strzałą.

- Dziwne - powiedział. - Candy Lane, John Traynor i Stella Pierson zostali zabici strzałami w głowę z broni automatycznej. Ich śmierć była natychmiastowa. A do Whelana strzelano z trzydziestki ósemki, pięć razy w brzuch. Ktoś chciał sprawić mu dużo bólu. To powolna, straszna śmierć. Wątroba, trzustka, nerki i żołądek rozrywają się, a serce nadal pracuje. Potrzeba sporo czasu, zanim wpadnie się w śpiączkę.

- Czy z tego, co mówisz, wynika, że zabójca specjalnie wybrał Whelanowi śmiertelną torturę?

- Na to wygląda.

- A co z walentynką? - zapytał Silvio.

- Aha - Torres podchwycił z ożywieniem. - Chemik powiada, że to stuprocentowo czysta kokaina, śmiertelna w użyciu. Kilka wdechów i masz apopleksję oraz zakrzep wieńcowy. Poraża mózg.

- Skąd ktoś mógłby zdobyć stuprocentowy śnieg? - zapytał Jack.

- Tylko z rafinerii - odrzekł Silvio. - Przed rozrzedzeniem i paczkowaniem.

- To wskazywałoby na robotę Kolumbijczyków - zgadywał Jack.

- Być może - odparł Gabby. - Ale walentynka pojawia się od początku. Dla mnie to podpis seryjnego mordercy. Ale znowu - westchnął - zabójca mógł ją robić dla zmylenia.

- Możesz ustalić moment śmierci? - spytał Jack.



- Bez problemu. Szofer znalazł go zaraz po dziesiątej. Wezwał pogotowie. Przyjechali po piętnastu minutach. Whelan był w rozumieniu klinicznym jeszcze żywy. Sanitariusze zaaplikowali mu morfinę. Zmarł na intensywnej terapii godzinę później. Powiedziałbym, że rąbnięto go kilka minut przed przyjściem szofera między dziewiątą czterdzieści pięć a dziesiątą wieczór.

- Skąd wiesz tak dokładnie?

- Gdyby został bez morfiny dłużej niż piętnaście czy dwadzieścia minut, przeszedłby szok metaboliczny i umarł - Torres zatrzasnęła lekarską torbę. - Sprawdź trajektorię kul u balistyków. Ale to wygląda na standardowego Smith & Wessona.

- Karen Dara ma trzydziestkę ósemkę - zauważył Silvio.

- Zobaczcie, czy pozwoli wam ją sprawdzić - zaproponował Torres. - Wyglądacie, chłopcy, jak duchy. Jedźcie do domu się przespać.

Przysadzisty lekarz opuścił ich, krocząc z torbą w ręku ociężale ku drzwiom.

Wyglądał jak staroświecki doktor, który wychodzi z domu pacjenta po nocnej wizycie.

- Lepiej zadzwoń do Nolana - powiedział Jack.

- Jest prawie czwarta rano.

- Obudź go. Powinien dowiedzieć się o tym, zanim włączy poranny dziennik.

- Okay - Silvio skinął głową i poszedł do telefonu we wnęce.

Jack zbliżył się do szofera, który siedział teraz w fotelu obitym białą skórą i popijał koniak.

- Nazywasz się Adalan Hasbani?

Na czoło szofera wystąpiły kropelki potu, a jego czarne oczy strzelały nerwowo po pokoju.

Pytałem, czy nazywasz się Adalan Hasbani? - powtórzył Jack.

- Tak, tak, Hasbani. Wszystko już powiedziałem policji.

- Zajmuję się tą sprawą, więc musisz ze mną rozmawiać.

- O której przyjechałeś?

- Tuż przed dziesiątą. Nigdy się nie spóźniam. - W jego wymowie brzmiał wyraźny arabski akcent.

- Kto cię przysłał?

- Pan Kellerman.

- Mówisz o Jeffie Kellermanie?

- Tak, tym reżyserze filmowym - ostatnie słowo wymówił jak „filmowym”. Otarł czoło rękawem. - Miałem zabrać pana Whelana i przywieźć do pana Kellermana.

- Była jakaś okazja?

- Przyjęcie.

- Pracujesz dla Kellermana?

- Nie. Pracuję dla Cinema Transportation.

- A teraz skup się. Chcę wiedzieć dokładnie, co się zdarzyło, gdy przyjechałeś.

Szofer przełknął łyk koniaku i przygryzł dolną wargę.

- To trudno opowiedzieć. Ale postaram się być dokładnym. Drzwi były otwarte.

Zawołałem pana Whelana, powtarzając kilka razy, ale nie było odpowiedzi. Wszedłem i zobaczyłem przewróconą lampę. Czuć było gryzący zapach, jakby dymu.

- Mówisz o spalonym prochu?

- Tak. Podeszedłem do lampy i wtedy - zadrżały mu usta - zobaczyłem pana Whelana.

Leżał na boku. Cały przód miał zalany krwią i żółte wnętrzności wystawały mu z brzucha.

Krew ciekła mu z ust. Zobaczyłem ten rysunek serca przebitego strzałą. Nie byłem w stanie się ruszyć. Stałem tak przez chwilę.

- Dotykałeś czegoś?

- Nie, sir.

Silvio wyszedł z gabinetu i skinął Jackowi.

- Co dalej? - wypytywał Jack spoconego szofera.

- Wybiegłem do limuzyny. Zadzwoiłem z telefonu w samochodzie pod dziewięć-jeden-jeden. Dałem im adres. Czekałem w wozie, aż przyjedzie policja i karetka.

- Kiedy podjeżdżałeś na wzgórze, czy zauważyłeś jakieś samochody jadące w dół?

- Był jeden.

- Jaki?

- Przejechał szybko. Było ciemno.

- Pracujesz przy samochodach, jasno czy ciemno, przecież możesz rozróżnić Toyotę od Mercedesa.

Szofer poruszył się niepewnie na fotelu.

- To był duży samochód osobowy.

- Do ciężkiej cholery - ryknął Jack. - Osobowy nic, kurwa, nie znaczy. Zagraniczny czy amerykański?

Silvio wiedział, że Jack był na granicy wytrzymałości. Miał nadzieję, że szofer powie cokolwiek, co by go uspokoiło.

- Amerykański - odezwał się niepewnie szofer. - Tak, to był amerykański, może Lincoln.

- Mógł to być Cadillac?

- Mógł.

- Widziałeś kierowcę?

- To była kobieta.

- Biała, czarna? Stara, młoda?

- Nie... nie... nie jestem pewien - mamrotał szofer. - Tylko że to była kobieta. Biała, nie bardzo stara.

- Zbieraj się, Hasbani.

Szofer wstał.

- Mogę już iść?

- Zostaw nam telefon i adres.

- Dawałem już policji.

- Gdzie się urodziłeś?

Mężczyzna łypał oczami to na Jacka, to na Silvia.

- Ja... ja urodziłem się w Teheranie.

- Kiedy przyjechałeś do Stanów?

- Dwa lata temu.

- Masz kartę pobytu?

- Błagam. Ja mam... mam wizę... turystyczną wizę.

- Jak to się stało, że jesteś kierowcą przedsiębiorstwa?

Silvio chwycił Jacka za ramię, odciągnął na bok i powiedział stłumionym głosem:

- Gdybyś każdego w tym mieście zapytał o kartę pobytu, to wymiotłoby wszystkich.

- Mam dość tych ludzi, którzy odbierają robotę młodym Amerykanom. Mamy w tym mieście sto tysięcy czarnych bez pracy.

- Daj spokój. Mamy na głowie wielokrotne morderstwa. Nielegalnymi imigrantami niech martwią się ludzie od paszportów. Kiedyś też takim byłem.

Jack spojrział przez chwilę na Silvia, po czym zwrócił się do szofera.

- Jedź do domu, Hasbani. Ostrzegam cię, żebyś nie rozmawiał z prasą przed domem.

Wsiądź do samochodu i wracaj do garażu. Zrozumiałeś?

- Tak, sir - przerwał. Dziękuję panu, panie oficerze. Zamierzam złożyć wniosek o obywatelstwo. Moją rodzinę zamordowano w Teheranie. Mój ojciec był bankierem. Byliśmy wykształconymi, wytwornymi ludźmi. Nie chcę być w to zamieszany.

Szofer wyszedł. Jack zbliżył się do baru, nalał sobie na trzy palce szkockiej i łyknął jednym haustem.

- Co myślisz o tym samochodzie? - zapytał Silvio.

Jack wzruszył ramionami.

- Tysiące ludzi mieszka tu na wzgórzach.

- Ale szofera minął duży amerykański samochód, parę minut po zabójstwie. Karen jeździ Cadillakiem.

- To jest do sprawdzenia. To, co mnie interesuje, to śmiertelna koka. Chodźmy stąd.

Silvio przeszedł prosto do Pontiaca, podczas gdy Jack składał zwięzłe oświadczenie dla prasy. Dziennikarze protestowali zawiązani, lecz późna godzina robiła swoje i poddali się prędko. Jack ruszył do samochodu, gdy z wozu transmisyjnego wyłoniła się Gloria Hunnicutt. Uśmiechnęła się, częstując go papierosem.

- Nie, dziękuję. Nigdy nie odpuszczasz, co?

- Niektórzy oskarżają mnie o stosowanie niesmacznych metod dla uzyskania informacji. Ale moja prawdziwą tajemnicą sukcesu jest dyscyplina. Jestem nieustrudzona.

- To niewątpliwie prawda. Muszę to stwierdzić.

- Mógłbyś stwierdzić coś jeszcze? - spytała kokieteryjnie.

- Dlaczego nie? Ale będzie to z „anonimowego, lecz wiarogodnego źródła”. Zgoda?

- Absolutnie.

- Morderstwo Leo Whelana powiela okoliczności śmierci Candy Lane, Johna Traynora i Stelli Pierson.

- Z walentynką włącznie?

Jack potwierdził.

- Wraz z inicjałami P.C.

- Czy jeszcze coś powinnam wiedzieć?

- Tak. Whelan wybierał się na party do Jeffa Kellermana.

- Dlaczego Kellerman zapraszałby Leo Whelana na elitarne przyjęcie w Beverly Hills?

- Jesteś bystrą dziewczyną. To ty mi powiedz.

- Przypuszczam, że Whelan zapewniał dodatkową oprawę.

- Nie przeczyłbym takiemu wnioskowi.

- Nie przepadasz za Kellermanem, co?

Jack spojrzał na rozwidniające się niebo.

- Zostawmy to, Gloria. Jestem wykończony, kochanie.

- Masz jakichś podejrzanych?

- Ani śladu.

- A gdyby coś, to dasz mi znać?

- Traktuj dobrze Nolana, to i ja cię dobrze potraktuję.

- To mógłby być początek pięknej przyjaźni.

- Oszczędź mi dialogów z „Casablanki” - Jack uśmiechnął się blado. - Wciąż są jeszcze sprawy, o których sądzę, że powinno się je uszanować.

## Rozdział 39

- Okay, okay - mruknął Nolan. - Miałeś rację.

- Nie powiedziałem ani słowa - odparł zmęczony Jack.

- Pierwszy dziś rano zadzwonił komisarz - ciągnął Nolan. - Powiedział „Kupiliśmy twoją teorię o kolumbijskich zamachowcach, John. Uznaliśmy, że aktorzy są wstępnymi ofiarami wojny pomiędzy Kolumbijczykami a mafią”. A teraz - Nolan spojrzał na detektywów - teraz komisarz wbija nam nóż. Powiada, że każde dziecko mogło przewidzieć, że mamy do czynienia z wielokrotnym mordercą, że stoi za tym jakiś maniak moralności publicznej. - Nolan zerknął na Silvia. - Komisarz powtórzył to, co ty powiedziałaś mi parę tygodni temu. „Znajdź tego mordercę, John. Bo dzisiaj to aktorzy porno, jutro sprzedawcy samochodów, a za tydzień politycy”. - Nolan przerwał spacer po pokoju i wykonał wściekły gest rękami. - Potem dostałem telefon od tego zasańca Davisa. „Co się dzieje, John? Miesiąc temu twój człowiek Silvio Martinez pobił Whelana, a dzisiaj Leo Whelan nie żyje. Czy ty chronisz obywateli, czy ich wykańczasz?” - Nolan zapadł w swój fotel i przypalił wygasłe cygaro. - Nie zamierzam robić wam awantury, chłopcy. Wiem, że byliście na nogach całą noc. Wiem, że macie dość. Ale musimy rozgryźć tę sprawę. Bogu dzięki, że to babsko Hunnicutt potraktowało nas dzisiaj delikatnie.

- Może powinniśmy wciągnąć Brody’ego? - zaproponował Jack. - Jest najlepszym kryminologiem miastowych zaułków, jakiego mamy. To przecież on rozgryzł sprawę tego mordercy z autostrad w siedemdziesiątym dziewiątym.

- Kazałem mu już przeczytać akta - odparł Nolan.

- Szkoda - westchnął Silvio. Przez jakiś czas nieźle nam szło.

- Pewnie. Żarło jak cholera - zgodził się Nolan. - To była nirwana. Zrobiliśmy sensacyjne wykrycie narkotyków. Zabójstwa aktorów zatuszowała wojna. Grzała się atmosfera. A te urzędaszy z magistratu kłaniały się i nadszakiwały.

- A my siedzieliśmy sobie - dodał Silvio - i patrzyliśmy, jak tamci kąpią się we własnej krwi.

- Dokładnie - przyznał Nolan. - Byliśmy na wakacjach, niech to szlag.

- Niezupełnie - wtrącił Jack i rzucił Nolanowi na biurko broszurę ze zdjęciem guru.

- Co to jest, do cholery?

- Publikacja, która wysławia cnoty guru Meli-Ramdasa.

- Jeździłeś tam wbrew moim rozkazom?

- Tak, jeździłem, John. Chciałem, żeby dowiedział się czegoś o swoim szwindlu, o tych głównianych seansach, o spreparowanych głosach zmarłych, które mogły nakłaniać jego uczniów do morderstwa. Chciałem wiedzieć, dlaczego głos Candy kazał Karen Dara szukać zemsty.

Nolan przeglądnął reklamówkę Sziwy i zagadnął ukryty w kłębie dymu. - Czy myślisz, że guru nakłaniał Karen Dara do morderstwa?

- To możliwe - Jack wzruszył ramionami. - Przeprowadziłem wywiad na temat brata Meli-Ramdasa. - Jack odczytał z teleksu: Meli-Ramdas vel Kassim ben Gafga, narodowość pakistańska. Złapany przez francuskie Deuxieme Bureau na handlu narkotykami w Marsylii.

Odsiedział dwa lata, wyjechał z Francji i przybył do Stanów w siedemdziesiątym ósmym.

Kierował sektą religijną w Portland, w stanie Oregon i zniknął, gdy pani Belgrave oskarżyła go o zmuszanie jej córki do niewolniczej służby. W osiemdziesiątym pierwszym założył

świątynię na wzgórzu koło Zuma Beach - Jack zwrócił się do Silvia. - Masz te zdjęcia?

Silvio kiwnął głową kładąc na biurku papierowy kopertę.

- Te zdjęcia zostały zrobione przez naszą ekipę obserwacyjną.

Nolan wyjął klisze i zaczął je przeglądać.

- Rany Boskie, to jest całe „Who's who” wśród kobiet w przemyśle rozrywkowym -

przerwał, spojrzawszy na Jacka. - Co powiedział ci brat Meli-Ramdas, kiedy ostrzegłeś go przed nakłanianiem do morderstwa?

- Powiedział, że błędnie interpretuję słowo „zemsta”. On przyrównuje ją do czystości.

- Konfrontowałeś z tym Karen Dara?

Jack skinął głową.

- Kazała mi się wynosić. Traktuje narkotyki i urządzenia trickowe jako nieistotne.

Jedyne znaczenie ma dla niej duchowy kontakt z duszą zmarłej.

Nolan zabębnił nerwowo po stole.

- Interesujący jest ten Cadillac zjeżdżający ze wzgórza parę minut po morderstwie.

- Ten Cadillac to zjawia - odparł Jack. - Szofer był tak zdenerwowany, że mógł go minąć nawet czołg.

- Być może, ale Karen Dara jest dla mnie główną podejrzaną.

- Dlaczego miałyby torturować Whelana? - zapytał Silvio. - Sposób jego zabójstwa różnił się od pozostałych. Do Whelana strzelano pięć razy. Komuś należało na tym, aby pocierpiał. Zresztą - dodał Jack - po raz pierwszy zobaczyliśmy stuprocentową kokę, śmiertelne stężenie.

Rozległo się brzęczenie i Nolan wcisnął guzik na konsolce.

- Tak?

- Zastępca Barnes dzwoni z biura burmistrza.

- Jestem na spotkaniu - warknął Nolan i podniósł się. - No to co robimy? Coś musimy zrobić.

- Zamierzamy odwiedzić Angela Maffatore - odezwał się Jack.

- Maffatore - Nolan wyszeptał jego nazwisko, jakby należało do jakiegoś starożytnego bóstwa. - Po kiego?

- Ponieważ jest teraz razem z Sidneyem Davisem.

- Skąd to wiesz?

- Dzwoniłem do biura Davisa. Mamy szansę przesłuchać ich razem.

- Na jaki temat?

- Powiedz mi, Silvio.

- Pepe powiedział mi, że dwa tygodnie temu Maffatore spotkał się z Ordonezem w Cancun. Rozmawiali o morderstwach gwiazd porno. Powinniśmy dowiedzieć się, co oni o tym wiedzą.

- Chcesz mi powiedzieć, że do rozwiązania tej pętli zabójstw potrzebujemy pomocy Angela Maffatore?

- Co za różnica? - odparł Jack. - Cały czas wykorzystujemy ich informatorów.

- A co z Karen Dara?

- Zamierzam zobaczyć się z nią dziś wieczorem. Musimy przetestować jej trzydziestkę ósemkę.

- Myślisz, że użyłaby własnej broni, aby zabić Whelana?

- Nie, ale nie możemy niczego założyć.

- Czy ciągle jest pod stałą obserwacją?

Jack potwierdził.

- Była całą noc w świątyni.



- Więc jak mogłaby rąbnąć Whelana?

- Być może są tam jakieś boczne wyjścia. Nie możemy otoczyć całej góry.

## Rozdział 40

Wysoko sklepiony i pozbawiony okien gabinet Angela Maffatore wydawał się przeniesiony do dwudziestowiecznego Bel-Air z czasów Wielkiej Inkwizycji. Hiszpańskie, barokowe meble stały wprost na surowej, drewnianej podłodze. Na ścianach wisały ekspresyjne płótna umęczonego Chrystusa przed i po ukrzyżowaniu.

Sidney Davis i Don Angelo siedzieli naprzeciw siebie przy długim, wysłużonym, dębowym stole. Starzec wezwał Davisa do willi wkrótce po otrzymaniu wiadomości o morderstwie Leo Whelana. Maffatore sączył sherry, wpatrując się oskarżycielsko w wytwornego adwokata.

- Nie mogę pojąć - odezwał się Maffatore - dlaczego wciąż ignorujesz indiańską mentalność Ordoneza.

- Pamiętam o pańskiej teorii krwi i rasowych przeznaczeń. Być może coś w tym jest -

odparł Sidney. - Ale Ordonez nie jest zwykłym Indianinem. Spotkał go pan i słuchał, jak mówi. Przedstawia się jako mesjasz, święty.

- Nigdy nie spotkałem świętego, któremu mógłbym zaufać.

Sidney uderzył w bolesny, zatroskany ton.

- Szanuję pańskie stanowisko względem Ordoneza. Ale po co płynąłby tysiąc mil morskich dla zawarcia układu, a potem, w dwa tygodnie później, zabijałby Whelana? Sieci handlowe Ordoneza zostały rozbite. Rafinerie w Stanach leżą w ruinach. Jego plantatorzy, jak on sam przyznaje, są na niego wściekli. Dlaczego miałyby podtrzymywać wojnę, która szkodzi rynkowi amerykańskiemu, wartemu sto miliardów dolarów?

- Właśnie wymieniałeś przyczyny, dla których ten kolumbijski szaleniec kazał zabić Whelana.

Sidney pokręcił głową, luzując krawat.

- Niech mi pan wybaczy, Don Angelo, może staczam się w niedowład umysłowy, ale nie pojmuję pańskiego rozumowania.

- Zastanów się przez chwilę - odparł Maffatore. - Interes Ordoneza jest w rozsypce.

Przyłożyli mu ostro. Kiedy człowiek siedzi na zgliszczach, to co ma do stracenia? Jego zdziaczały umysł domaga się zemsty. Chce nas rzucić na kolana. Więc zabija Leo. Dalej rozwala naszych głównych ludzi. A kogo my możemy rąbnąć? Nie mamy obiektów. Ale zajmie się tym cała nasza krajowa organizacja.

- Przepraszam, ale trudno mi się z tym zgodzić. Whelan został zabity przez tego samego lunatyka, który zamordował Candy i resztę. Wniosek jest bardzo prosty. Podobna jest metoda: kokainowa walentynka oraz fakt, że każda z ofiar знаła zabójcę. Wszyscy otwierali mu drzwi. To nie są ludzie Ordoneza.

- Myślisz po amerykańsku - stwierdził Maffatore. - Dzielę się z tobą doświadczeniami całego życia, a ty mnie nie słuchasz.

- Nie usiłuję się przeciwstawiać - odparł spokojnie Sidney. - Jest pan moim klientem.

Przedstawiłem panu moją opinię. Byłoby mi łatwiej zgadzać się, ale to oznaczałoby nieuczciwość.

Maffatore spojrział na malowidło skrwawionego Chrystusa w koronie cierniowej, kroczącego z wielkim drewnianym krzyżem po Via Doloresa. Starzec wstał powoli, podszedł

do barku i dolał sobie sherry.

- Mangano dzwonił dziś rano - powiedział. - Rada uważa, że Ordenez wmanewrował

mnie w ten układ. Mangano twierdzi, że to Kolumbijczycy sprzątnęli Whelana. Myśli, że niedołącznieję.

Sidney wstał, obszedł stół i objął ramieniem kościste barki Maffatorego.

- Nie żywię do pana niczego prócz szacunku i sympatyzuję z pańską pozycją. Ale proszę zadać sobie pytanie, dlaczego nie zabili Whelana w czasie trwania wojny? Był

przecież kluczową postacią. Dlaczego czekali aż zapadnie rozejm?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział Maffatore.

W drzwiach stanął lokaj.

- Przyszli detektywi Raines i Martinez.

Maffatore spojrział na Davisa.

- W porządku - stwierdził Sidney. - To jedna z tych rzadkich okazji, kiedy naszym celom odpowiada współpraca z prawem.

Maffatore skinął na lokaja.

- Wprowadź ich.

Jack i Silvio wkroczyli do ponurego gabinetu możnowładcy. Obaj ociekali potem, przychodząc z

zalanego pustynnym żarem miasta.

- Zdejmijcie marynarki - zaproponował uprzejmie Maffatore, a lokajowi polecił: -

przynieś chłopcom mrożonej herbaty.

Maffatore usiadł naprzeciw detektywów. Sidney nadal stał.

- Znacie mojego adwokata Sidneya Davisa? - zapytał.

- Spotkaliśmy się wcześniej - odpowiedział Jack. - To mój współpracownik Silvio Martinez.

- A więc, co mogę dla was zrobić, panowie? - zagadnął Don Angelo.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać o morderstwach pańskich gwiazd porno i wczorajszym zabójstwie Leo Whelana.

Sidney podszedł do stołu i powiedział.

- Wyjaśnijmy parę faktów, poruczniku. Mój klient jest cichym współnikiem w Galaxy Films Distribution Company należącym do Leo Whelana. Nie jest zaangażowany w produkcję filmów pornograficznych.

- Oszczędź mi tych świętoszkowatych pierdoł - odparł Jack. - Mamy zestawienie działalności Don Angela w przemyśle pornograficznym poczynawszy od jego powstania.

Lokaj wniósł mrożoną herbatę w oszronionych szklankach. Każda przybrana była liściem mięty.

Odesławszy go, Maffatore powiedział.

- Pan Davis ma absolutną rację. Ograniczyłem inwestycje w filmach erotycznych. Nie ma tu nic nielegalnego.

- Mam w dupie wszystkie te interesy - stwierdził Jack. - Staram się wytropić maniaka, wielokrotnego mordercę. Przyszliśmy prosić pana o pomoc.

Maffatore wzruszył ramionami.

- Wiecie tyle co ja. Galaxy Distribution robiła na tych aktorach masę forsy. Mocno ucierpieliśmy przez ich śmierć.

- Czy spotkał się pan z Rafaelem Ordonezem w Cancun, dwa tygodnie temu? - zapytał

Silvio.

Sidney przerwał, zanim Don Angelo otworzył usta.

- Mój klient spędził krótkie wakacje w hotelu Camino Real w meksykańskim Cancun.

- Twój klient, do cholery! - wykrzyknął Jack. - Przekroczyłeś granicę już dawno, panie adwokacie! Zadajesz się ze znanymi przestępcami. Mam wystarczająco dużo dowodów, żeby rozpocząć postępowanie w sprawie pozbawienia cię uprawnień adwokackich. Ale nie interesuje mnie reformowanie tego zawodu. Wpadłem w zawszoną pułapkę. Robię dochodzenie w skomplikowanej sprawie i jak na ironię, jeżeli ją rozgryzę, to twój klient będzie mógł z powrotem prowadzić interesy w porno. W rezultacie pracuję dla Don Angela, chociaż nie sprawia mi to najmniejszej przyjemności.

- Świetnie - odparł Davis. - Proponowałbym teraz uzgodnić kilka podstawowych zasad, które umożliwią dalszą rozmowę. To spotkanie jest nieoficjalne. Mój klient jest zatroskanym obywatelem, który otworzył swój dom dla panów po to, aby dopomóc wam i waszemu wydziałowi w przeprowadzaniu dochodzenia w sprawie wielokrotnych zabójstw.

Następnie, jego adwokat nie był obecny w czasie dyskusji - Sidney spojrział na Don Angela. -

Będę na tarasie.

Maffatore skinął głową i Sidney wyszedł.

- To dobry chłopak - rzekł starzec. - Czasami trochę za nerwowy, ale to dobry chłopak.

- Proszę powiedzieć nam o Cancun - zaczął spokojnie Silvio.

- Rozmawialiśmy, Ordonez i ja. Mówiliśmy o wielu rzeczach.

- Był z nim Cisneros? - naciskał Silvio.

- Och - Maffatore uśmiechnął się. - Sporo pan wie, panie Martinez.

- Wiem, że zawarł pan rozejm z Cisnerosem w osiemdziesiątym pierwszym, w tym samym hotelu.

- Doprawdy?

- Tak. Kolumbijczycy zakazali wam handlu. Zrobili z was pralnię.

- Jak pan zdobył te wszystkie informacje?

- Miałem szczęście korzystać z usług bardzo ofiarnej agentki, dzielnej, młodej kobiety, którą zamordowali zamachowcy Ordoneza.

- No tak, przeszłość to przeszłość - westchnął Maffatore. - A wracając do ostatniego spotkania w Cancun, to widziałem się z Ordonezem i wyjaśniliśmy nasze problemy.

- Rozmawialiście o zabójstwach aktorów? - spytał Jack.

- Tak. Obaj zgodziliśmy się, że to robota trzeciej siły, kogoś, kto wmanewrował naszą organizację w otwartą wojnę.

- Wierzy pan w to? - zagadnął Silvio.

- Mniej więcej.

- Ma pan jakąś koncepcję, kim mogłaby być ta trzecia siła?

- Osobiście uważam, że to jakiś maniak, strażnik moralności publicznej.

- A więc - stwierdził Silvio - wyklucza pan Kolumbijczyków?

- Jeśli chodzi o nich, to nie wykluczam niczego.

- To zabrzmiało jak z doktora Goebbelsa - Jack uśmiechnął się. - Nie pomyślałbym, że taki człowiek jak pan, człowiek znający życie, mógłby być rasistą.

- Nie jestem rasistą, poruczniku. Jestem realistą. Gdy zapytałem Ordoneza dlaczego jego zamachowcy zabijają niewinnych ludzi, odpowiedział: „Jesteśmy Kolumbijczykami”.

- Proszę mi powiedzieć, Don Angelo - Jack po raz pierwszy użył tego szacownego tytułu. - Czy śmierć Leo bardzo pana dotknęła?

- Ludzie interesu są do zastąpienia. To utrata gwiazd boli. Ta młoda dziewczyna, Candy Lane, była fenomenem. Z dnia na dzień podbiła wyobraźnię publiczności. Nie ma drugiej takiej. Ale szczęśliwie mamy jeszcze Karen Dara.

- Jest pan stanowczo przekonany, że Ordonez nie przyłożył ręki do tych zabójstw? -

powtórzył Jack.

- Postawmy sprawę w ten sposób, poruczniku. Kiedy ma się nieszczęście robienia interesów z Kolumbijczykami, niczego nie można być pewnym.

- Dziękujemy, że poświęcił pan nam czas.

- To była przyjemność.

\*

Maffatore przymrużył oczy w jaskrawym świetle, gdy wszedł na taras i przyłączył się do Sidneya siedzącego pod baldachimem przy ogrodowym stole.

- Błądzą po omacku - stwierdził Don Angelo - ale zgadzają się z tobą. Sądzą, że zabójstwa były dokonane przez kogoś innego.

- Mają jakiś trop?

- Żadnego. Zadzwoń do Ordoneza. Powiedz mu, że nie oskarżamy go o śmierć Whelana. Nie chcę,

aby szykował się do nowej wojny. Jeżeli będziemy walczyć znowu, uderzę na niego błyskawicznie. Chciałbym, aby był zaskoczony.

- Skontaktuję się z Ohlendorfem - powiedział Sidney.

- Lepiej, żebyś porozmawiał bezpośrednio z Ordonezem.

- Nie zgadzam się. Jeśli ktoś powinien z nim rozmawiać, to pan.

- Nie... Jeżeli ja zadzwonię, zabójstwo Whelana stanie się zbyt ważne. Ordonez pomyśli, że go podejrzewam.

- Proszę pozwolić mi zadzwonić do Ohlendorfa - zaproponował Sidney.

Maffatore spojrział na kłęby pary unoszące się nad basenem poniżej tarasu.

- W porządku westchnął. - Pogadaj z Niemcem, a kiedy go uspokoisz, powiedz mu, że Ordonez ma kapusia tutaj, w Los Angeles.

- Skąd pan to wie?

- Martinez wiedział wszystko o naszym spotkaniu w Cancun: czas, miejsce, wszystko.

Jest weteranem wojny w Miami. Utrzymuje wśród Kolumbijczyków agenta, prawdopodobnie to handlarz.

Rozległo się nagłe szczekanie irlandzkiego setera, który sadził przez trawnik wprost ku Maffatoremu. Zatrzymał się i oparł przednie łapy na piersiach starca.

- Spokojnie, Red, spokojnie - zamruczał. Pies opuścił łapy, a starzec pochylił się i objął go za szyję.

- Widzisz, Sidney, ten pies mnie kocha. To jest czyste. To jest uczucie, któremu można ufać.

\*

Jack i Silvio opuścili dom pod czujnym okiem dwóch strażników i przeszli wolno do samochodu.

- Byłeś zbyt uprzejmy dla tego gnojka - stwierdził Silvio.

- Być może, ale rozumiem takich ludzi jak Maffatore. Był imigrantem wykarmionym na piersi mafii. Nigdy nie poznał innego systemu. Jeżeli kogoś nie cierpię, to facetów typu Davisa. Wykształcony, bystry, mający powodzenie. Człowiek, który ma wybór. Człowiek, który zna reguły.

Rozdział 41

Karen rozsunęła szklane tarasowe drzwi. Świeży podmuch morskiego wiatru niósł ze sobą lekko słonawą woń.

- Drinka? - zapytała.

- Zimna wódka byłaby niezła.

Okropnie wyglądasz.

- Leo Whelan - westchnął.

- Ludzie powinni zostać obdarowani łaską bycia mordowanym o rozsądnej godzinie -  
stwierdziła, przygotowując drinki.

Skinął głową i przyjrzał się propagandowemu plakatowi z dziewczyną stojącą buntowniczo na madryckiej barykadzie.

- Ty rzeczywiście masz słabość do tej dziewczyny, nieprawdaż?

- Może to był wpływ mojego wuja, nie wiem, ale zawsze żałowałem, że mnie tam nie było.

- Nie żałuj. To była skorumpowana wojna, ubarwiona przez Hemingwaya. Republikę Hiszpańską zdradzili Chamberlain, Roosevelt i Stalin. - Podała mu wódkę i uniosła swą szklanekę z mieszanką ginu i tonikiem.

- Zdrowie.

- Zdrowie.

Zapaliła Gauloisa.

- Przykro mi, że tak się na ciebie wściekłam, ale byłeś bez sensu.

- Tak i nie. Istnieje paragraf w sprawie nakłaniania do morderstwa.

- Nie jestem głupia, Jack. W każdej religii istnieje pewna doza szaleństwa. Ale ty spijasz śmietankę i nic cię dalej nie obchodzi.

- Mogę jednego? - zapytał wskazując na paczkę Gauloisów.

- Częstuj się.

Zapalił pękatego papierosa.

- Pozwól, że przedstawię ci kilka szczegółów z życia brata Meli-Ramdasa.

Podeszła do sofy, usiadła i założyła nogę na nogę, kołysząc niecierpliwie stopą zawisłą w powietrzu.

- Meli-Ramdasa jest karany przestępca - rozpoczął Jack. - Został złapany na handlu narkotykami w Marsylii. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Kassim Ben Gafga. W Stanach przebywa nielegalnie.

Prowadził swoją hucpę Sziwy w stanie Oregon, ale rozwścieczona matka jakiejś młodej dziewczyny wygoniła go z miasta.

- Każdy nowy przywódca religijny, począwszy od Jezusa aż do Josepha Smitha, był wyganiany z miasta.

- Słyszałem o pierwszym, a kim był ten drugi?

- Ustanowił religię mormonów i zlinczowano go za przysparzanie kłopotów. Wiem, że trudno ci to pojąć, ale tak się zdarzyło, że odnajduję w nauce Sziwy wyraźne ukojenie.

- Czy możemy porozmawiać o ubiegłym wieczorze?

- O jakiej porze tego wieczoru?

- Między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą.

- Wiesz, gdzie byłam. Twoje gończe psy musiały ci to zrelacjonować. Byłam w świątyni. Może to potwierdzić brat Meli-Ramdas.

- Może z pewnością - odparł z sarkazmem. - Czy ktoś jeszcze cię tam widział?

- Odpieprz się, Jack. - Wstała, podeszła do baru i naląła sobie nowego drinka.

- Jeżeli nie chcesz ze mną współpracować, jakiś palant z centrali wręczy ci nakaz sądowy, skuje kajdankami i zabierze do aresztu Sybil Brand, gdzie wezmą twoje odciski, przebiorą i wsadzą do celi.

- Nie zamordowałam Leo Whelana ani nikogo innego i obrażają mnie twoje groźby.

- Wprost przeciwnie. Staram ci się pomóc i byłbym wdzięczny, gdybyś pozwoliła mi przetestować twojego Smith & Wessona.

- Po co?

- Jest to marka broni, z której zabito Whelana.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że użyłam swojego własnego rewolweru do zamordowania Leo?

- Nie.

- Ale musisz to sprawdzić?

- Zgadza się.

Odstawiła szklanekę, odwróciła się raptownie i dumnym krokiem wyszła z pokoju.



Jack sącył swego drinka i przyglądał się badawczo hiszpańskiemu plakatowi. Nieodparcie przemawiał do wyobraźni. Nieomal czuł gryzącą woń prochu i słyszał gwizd kul.

- Łap - stanęła we wnęce i rzuciła rewolwer. Upadł mu pod nogi. Schylił się i podniósł go, wsuwając lufę za pasek.

- Bądź ostrożny - powiedziała lodowato. - Jest naładowany.

Zadzwonił przeraźliwie telefon. Podeszła do baru i podniosła słuchawkę odwracając się do niego tyłem.

- Tak, przeczytałam scenariusz. Jest w porządku. Ale ja w tym filmie grać nie będę. -

Nastąpiła cisza, a Karen słuchała głosu rozmówcy. - Robisz to na własne ryzyko - wykrzyknęła ze złością i rzuciła słuchawkę.

- To była Sherry Nichols. Zaczynają przygotowania do „Wspomnień o Candy”.

- Rozumiem, że rezygnujesz z tej epopei.

Karen skinęła głową.

- Wciąż jeszcze mam kilka wątków moralnych oporów, których nie chciałabym przełamać. Sherry zagroziła mi włączeniem tej sceny z ostatniego filmu.

- Której sceny?

- Tej sekwencji z Candy i ze mną na kolistym łożu. Wydaje mi się, że jest ci znana.

Podeszła do otwartych drzwi tarasowych i wyjrzała na plażę oraz szumiący ocean. Po chwili odwróciła się i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Czy rzeczywiście myślisz, że byłabym zdolna do wielokrotnych morderstw?

- Nie, ale nie pomyślałbym również, że mogłabyś występować w porno.

- Odpowiedz na pytanie.

- Pracuję w zawodzie, który jest znany z niespodzianek, a teoretycznie jesteś główną podejrzaną.

- Dlaczego?

- Mamy całą noc, żeby to przedyskutować.

- Doprawdy? Uważasz, że z twojej strony to w porządku kochać się z wielokrotnym mordercą?

- A co, do diabła, chcesz, żebym powiedział?

- Nic, Jack. Absolutnie nic. Jeśli bardzo ci tego potrzeba, to ci to dam. Nazwijmy to usługą dla ludności.

Podeszła do niego blisko.

- Wiesz, co ja myślę? Myślę, że ci odbiło na moim punkcie i to cię dręczy. I prawdopodobnie żałujesz, że spaliśmy ze sobą.

Objęła dłońmi jego twarz, lekko i pośpiesznie musnęła wargami jego usta, a potem wpiła się w nie głęboko. Po czym odepchnęła go szepcząc:

- A teraz wynoś się stąd.

Zamknęła za nim drzwi, zaryglowała zamki i założyła łańcuch. Wracając do salonu czuła w sobie sprzeczne emocje. Pragnęła, aby został, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu było dla niej ważne, aby zachować wobec niego godny dystans.

Zasunęła i zamknęła na klucz drzwi tarasowe, następnie zgaszyła światło. Spoglądając na migoczące lampy mola w Venice i oświetlone księżycem morze przypomniawszy sobie noc, kiedy spacerowali razem po bezludnej plaży. Ale sentymentalizm był luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić.

Weszła do sypialni i wyjęła z torebki skręta. Żałowała, że nie ma opium, ale trawa też mogła zrobić swoje. Zapaliła ją, zatrzymując dym w płucach. Zaciągnęła się tak jeszcze pięciokrotnie i poczuła raptowne działanie narkotyku. Wsunęła kasetę do magnetofonu. Neil Diamond śpiewał „You Don't Send Me Flowers”. Była to ulubiona piosenka Candy.

Wysłuchiwała paru pierwszych akordów, po czym wysunąwszy górną szufladę biurka wyjęła z niej złoty wisior w kształcie serca. Odwróciła go na dłoni i łyzy zakreśliły się jej w oczach, gdy dostrzegła wygrawerowaną dedykację: „Dla P.C. z miłością - Candy”.

## Rozdział 42

Z tropikalnej gęstwiny wypłynęły poranne mgły, złocąc się w słonecznym blasku.

Kuzyni stali na wyrębie, obserwując, jak na szczycie dwunastometrowej konstrukcji szkieletu montowany jest element nowo zaprojektowanego magazynu. Wymiary budowli równe były wielkości dwóch boisk piłkarskich. Kolumnada drewnianych beczek ustawionych od podłogi do sufitu ciągnęła się przez całą długość hali. Indiańscy rzemieślnicy przycinali do nich wieka z grubych tafli szkła. Do szklanych pokryw przymocowywano zatrzaski, które po doczepieniu z czterech stron do krawędzi beczek, tworzyły z nich szczelne komory.

- Kiedy to zostanie ukończone, szczury już nie zagrażą naszej amerykańskiej gotówce.

- Ale jaki pożytek z trzymania pieniędzy w dżungli? - zapytał Cisneros, opalony i w dobrej kondycji.

Ordonez uśmiechnął się, a w szklach jego okularów błysnęły promienie słońca.

- To tymczasowa przystań.

Ruszyli spacerkiem w stronę białego Rollsa stojącego na poboczu leśnej drogi.

- W zeszłym miesiącu Kurtowi udało się wyprać osiemdziesiąt milionów - stwierdził

Ordonez. - Amerykańscy bankierzy byli zaskakująco uczynni.

- Dlaczego by nie? - Pedro wzruszył ramionami. - Dostają dwanaście procent za przyjęcie pieniędzy, a jak ich złapią, kara jest niewielka.

Ordonez pozdrowił grupę Indian rozładowujących bele liści koki.

- A co z tym Whelanem? - zapytał Cisneros.

Ordonez zatrzymał się i odwrócił do kuzyna.

- Wyglądasz na nowo narodzonego po powrocie z Lozanny. Dlaczego się tym martwisz?

- Maffatore chce z tobą rozmawiać.

- W jakim celu? Wiadomość od Davisa była jasna. Don Angelo uznaje, że nie przyłożyliśmy ręki do morderstwa Whelana. - Ordonez ruszył dalej. - O czym tu rozmawiać?

- Byłby to z twojej strony gest dobrej woli.

Ordonez potrząsnął głową.

- Nie rozumiem sycylijskiej mentalności. Don Angelo uzna mój telefon nie za przejaw kurtuazji, ale za dowód współudziału w tym, co się stało.

- Dlaczego on nas podejrzewa? - zastanawiał się Cisneros. - Poza wszystkim, jest w naszym interesie, żeby jego przemysł pornograficzny rozwijał się pomyślnie. Mamy sześćset milionów dolarów, które czekają na wypranie.

- W sycylijskiej głowie logika ustępuje miejsca zemście - odparł Ordonez.

- Jeżeli to prawda, to zapewne szuka pretekstu do wojny.

- Pozwólmy mu zrobić, co zechce. Do diabła z tym. Straciliśmy naszych najlepszych handlarzy. Główne rafinerie w Stanach są w ruinie. Do kogo miałyby strzelać? Musimy odbudować strukturę i zrobimy to. Ale nie ma pośpiechu. Otwiera się dla nas Europa Zachodnia. A w tym czasie Amerykanie niech płacą po trzy stówy za gram.

- Ale możemy stracić przeciętnego klienta. Średniaka nie stać na tak wyśrubowaną cenę.

- Jak człowiek dał się złapać, to i pieniądze znajdzie. Nie jest z nami źle. Wybieramy się na wakacje. Pojedziemy do Leticii i popłyniemy „Jacarandą” w dół Amazonki do Manaus.

Będziemy łowić 250-kilowe zębacze, popijać Dom Perignon i kochać się z Brazylijkami. Z

Manaus polecimy do Rio. Zarezerwowałem apartament prezydencki w Copacabana Palace.

Spotkamy się tam z Kurtem. Sprowadza ze sobą grupę europejskich handlarzy. Trzymam wszystko w garści, kuzynie.

Zatrzymali się przed jaszczurką, która przemknęła w poprzek drogi.

- Jest jeden problem - odezwał się Cisneros, gdy ponownie ruszyli. - Davis powiedział, że mamy w Los Angeles kapusia.

- Ponieważ zlikwidowaliśmy Ramona i Julito, informatorem musi być Pepe Montoya -

stwierdził Ordonez. - Jeśli to zostanie potwierdzone, zafundujemy mu kolumbijski krawat. A w wolnej chwili wyślij Davisowi jakiś podarunek za tę wiadomość.

- Ciągle chodzą mi po głowie zabójstwa w Los Angeles - Cisneros uparcie wracał do tematu.

- Namawiam cię, żebyś o tym zapomniał. To ich sprawa. Amerykanie są znani ze swych maniackich zabójców i tanich hamburgerów, jak Sowieci z parad i łagrów. Jeśli chodzi o te dwa mocarstwa, to tyle. Dlatego my mamy taką cudowną szansę. Nic nie zdoła nas powstrzymać.

## Rozdział 43

Na chodniku przed jednopiętrowym domem zgromadził się niemy tłumek kobiet i dzieci. Trzypasmowa ulica, biegnąca wzdłuż eleganckich domów po lewej stronie autostrady do Santa Fe, dzieliła Beverly Hills na połowy.

Kobiety przytykały chusteczki do ust i nosów, na próżno starając się uchronić przed przyprawiającym o mdłości odorem, który wydobywał się z wnętrza domu. Tłumek zaszemrał, gdy z auta wysiadł starszy jegomość. Wiekowy gospodarz domu zamrugał oczami w jaskrawym słońcu. Człapiąc do wejścia powąchał unoszącą się w powietrzu woń i jego pamięć przywołała dawny koszmar.

Herman Mittleman zakupił ten dom w 1968 roku z odszkodowania, jakie otrzymał od rządu Niemiec Zachodnich. Mittleman był ocalałym więźniem osławionego obozu Bergen -

Belsen, a na lewym przedramieniu wciąż nosił wytatuowany numer ewidencyjny. Trzy i pół

roku temu wynajął dom Sherry Nichols i uznawał tę młodą kobietę za idealnego lokatora. Jej czeki nigdy się nie spóźniały, a przedstawiane uwagi dotyczyły drobiazgów.

Mittleman spędził długi weekend w San Diego i po powrocie odtworzył z taśmy telefonicznego automatu szereg wezwań od sąsiadów panny Nichols. Treść tych interwencji była podobna: na ulicę

wydobywał się cuchnący odór.

Otworzył frontowe drzwi i wszedł do hallu. Światła były zapalone. Uderzenie ciężkiego, zepsutego powietrza zapało mu dech. Starzec natychmiast rozpoznał woń gnijących zwłok. Przyłożył do nosa chustkę i powoli przeszedł przez hall do sypialni.

## Rozdział 44

Sidney Davis siedział za biurkiem trzymając przy uchu słuchawkę telefoniczną, w której grzmiał głos Angela Maffatore.

- Ostrzegałem cię - chrząknął. - Nigdy nie wierz dzikusowi, a zwłaszcza takiemu, który myśli o sobie, że jest świętym. Dwa tygodnie temu podaliśmy sobie ręce. A potem stuknęli Whelana i teraz Sherry Nichols. Jak mam teraz ruszyć z interesem? Została nam jedyna gwiazda, Karen Dara. Jesteśmy bez producenta i bez reżysera.

- Don Angelo - Sidney odezwał się ze spokojem. - We wszystkich wiadomościach podają, że jej śmierć była spowodowana przedawkowaniem narkotyków.

- Jakie to, do cholery, ma znaczenie, czym ją zabili? Nie żyje i tyle!

Bogate doświadczenie Sidneya w kontaktach z rozstrojonymi nerwowo klientami pomagało mu zapanować nad rosnącą w nim złością.

- Sugeruje pan, że policja skłamała prasie?

- Masz krótką pamięć, Sidney! Policja nazwała śmierć Candy Lane samobójstwem.

Maffatore zaczął rozwodzić się o krwi i indiańskich dzikusach z dżungli. Sidney zaczekał, aż dokończy tyradę, po czym spokojnie odpowiedział.

- Nie podważam pańskiej intuicyjnej nieufności do Ordoneza, lecz nie jest on absolutnie zainteresowany w zakłócaniu naszej produkcji. Przeciwnie, w jaki sposób będziemy mogli wypracować jego narkodolary nie prowadząc działalności?

- Powiadam ci, że Ordonez rąbnął Whelana i Nichols!

- Nie zgadzam się. W moim mniemaniu nie zabił nikogo z naszych ludzi i nie przygotowuje się do wojny. - Sidney zdjął nogi z biurka i oparł się o nie łokciami. - Ordonez jest na wakacjach. W czasie, kiedy my tu rozmawiamy, on płynie sobie z Cisnerosem w dół

Amazonki.

Zaległa cisza. Maffatore rozważał uwagi Sidneya.

- Skąd to wiesz? - zapytał.

- Powiedział mi Ohlendorf. A przy okazji przekazał podziękowanie od Ordoneza za nasz cynk w sprawie informatora w L.A. - Sidney czuł, że jego umiejętność perswazji powoli kruszy Maffatorego.  
- Moja rada - ciągnął - to czekać spokojnie i niech policja się nad tym głowi.

- Łatwo ci powiedzieć - odparł nieco udobruchany Maffatore. - Dzwonił Mangano.

Vince sądzi, że daliśmy się zrobić.

Sidney poczuł, że zbliża się rozstrzygający moment rozmowy. Zbyt długo trwał w unижonej pozycji. Raines właściwie ocenił jego pozycję. Rzeczywiście, stał się nieoficjalnym, lecz aktywnym członkiem podziemnej organizacji. „Niech się dzieje, co chce” - pomyślał. -

„Nadszedł czas jasnego postawienia sprawy”.

- Słyszysz mnie? - jęknął Maffatore. - Vincenzo sądzi, że ten dzikus zrobił mnie na cacy.

- Któregoś dnia Vincenzo może obudzić się z kolumbijskim krawatem na szyi.

- Coś ty powiedział?

- Myślę, że wyraziłem się jasno.

- Uważaj, do kogo mówisz. Skąd tyś się urwał, żeby pozwalać sobie na takie odzywki?

- Powiem, skąd się urwałem. Moje powiązania z panem przekraczają granice stosunków klient - adwokat. Jest faktem, że pełnię rolę pańskiego doradcy. W porządku. To mój wybór. I przyjmuję pełną odpowiedzialność za moje decyzje zawodowe. Ale pan również ma wybór. Albo moje opinie będą akceptowane, albo proszę poszukać sobie kogoś innego.

Mówię to z serca, bo żywię do pana głęboki szacunek. Wiem, że jest pan sterany życiem i wyczerpany, ale to pan rządzi, Angelo - po raz pierwszy Sidney opuścił szacowne „Don”. -

Radzę przeciwstawić się Manganowi i radzie, bo inaczej wejdziemy, powtarzam, „my”

wejdziemy w nie kończący się konflikt z Ordonezem. A w tym konflikcie nie będzie zwycięzców.

Zaległo długie milczenie, zanim Don przemówił.

- W porządku, Sidney. Pozwólmy policji na razie się tym zająć. Ale jeżeli jeszcze ktoś z naszych ludzi zostanie zabity, zrywamy wszelkie układy.

Sidney odwiesił słuchawkę z wyraźnym uczuciem ulgi i dumy. W końcu zdobył się na życiową decyzję, którą nosił w sobie od dawna. Czekwały go poważne niebezpieczeństwa, ale i otwierały się nieograniczone możliwości. Macki Cosa Nostra, Związku Sycylijskiego były rozpostarte wzdłuż całej drogi do Owального Gabinetu prezydenta. Całe swoje życie hodował

w sobie ambicje polityczne. Będzie musiał wykazać się niezwykłą przezornością, ale było to, do

licha, nieporównanie bardziej ekscytujące niż trzymanie aktora za rączkę o trzeciej nad ranem. Rzucił okiem na sztandarowy tytuł w „Herald-Examiner”: REŻYSERKA PORNO

ZMARŁA Z PRZEDAWKOWANIA. W artykule wspomniano o fakcie, że policja nie wykluczyła ewentualności upozorowania samobójstwa oraz tego, że Sherry Nichols mogła stać się piątą ofiarą mordercy ludzi związanych z pornografią.

Szybko przerzucił strony do części finansowej. Kurt Ohlendorf doradzał mu, w geście dobrej woli, kupić kanadyjskie złote monety z liściem klonu. Były dyrektor Reichsbanku służył w swoim czasie kilku zbrodniczym panom, lecz co do finansów ten Niemiec o trupim wyglądzie był prawdziwym czarodziejem. Sidney zapisał w notatniku, aby zadzwonić do swego brokera. Podniósł się, podszedł do okna i spojrzął w dół, na uliczny ruch wzdłuż Sunset Boulevard.

„Tak” zadumał się. „W niepewnych czasach złoto jest najpewniejszym towarem”.

## Rozdział 45

Pod sufitem gabinetu Nolana kłębił się dym cygar i papierosów. Napięcie w pokoju było nieomal dotykalne. Nolan, Jack Raines, Silvio Martinez, Phil Brody i doktor Eugene Harris psycholog sądowy, słuchali z przejęciem raportu Gabriela Torresa z oględzin zwłok Sherry Nichols. Wyczerpany do cna lekarz zwinął arkusik z notatkami, umieścił cygaro w popielniczce i ciągnął zmęczonym głosem:

- Denatka przyjęła dużą ilość kokainy o śmiertelnym stężeniu, co spowodowało natychmiastowy atak serca i zgon na skutek zakrzepu tętnicy wieńcowej. W pobranych próbkach skóry denatki znajdowała się wydzielina śluzu pochwowego, wskazująca na odbycie stosunku lesbijskiego podczas wieczoru, w którym nastąpiła śmierć.

- A co z walentynką? - dopytywał się Nolan.

- Testy chemiczne wskazują, że gatunek koki odpowiada temu, który przyjęła i pod każdym względem podobny jest do kokainy znalezionej w miejscu śmierci Whelana.

- Ustaliłeś moment zgonu? - zapytał Jack.

- Rozkład ciała sprawił, że jest to trudne, ale w moim przekonaniu śmierć nastąpiła późnym wieczorem w ubiegły czwartek, z pewnością nie mniej niż cztery dni przed odkryciem ciała.

Nolan strzepnął popiół z cygara i spojrzął na doktora Harrisa, który stał przy wielkim oknie przyglądając się w zamyśleniu powodzi miejskich świateł.

- Doktorze - Nolan wytrącił go z zadumy.

Harris odwrócił się ku zebranych. Był to przystojny, łysiejący mężczyzna, którego łagodne, brązowe oczy promieniowały wiecznym optymizmem.

- Na wstępie pozwólcie poprzedzić moje uwagi stwierdzeniem, że psychologia sądowa to

stosunkowo młoda dziedzina nauki. Rezultaty badań nad patologią wielokrotnych morderców w ostatniej dekadzie wskazują na podobieństwo pewnych reguł postępowania. W

zasadzie większość tych ludzi jest zdrowa umysłowo. Tworzą mitologiczne „głosy”,

„muzykę”, „szatańskie śpiewy”, aby pokryć tym kompletny brak świadomości. Popycha ich do zbrodni frustracja seksualna, pragnienie rozgłosu lub zemsty, a w niektórych przypadkach kombinacja wszystkich trzech motywów. Atakują w sposób, który wydaje się przypadkowy, jednakże ich ofiary prawie zawsze noszą podobne, symboliczne cechy. Theodore Bundy zabijał czarnowłose dziewczęta w wieku gimnazjalnym, które czesały się z przedziałką na środku. Był to wygląd nastolatki, która odrzuciła jego zaloty w liceum. Dusiciele z Hillside wybierali młode dziewczyny z obfitym biustem. Okaleczenia i tortury skupiały się na piersiach, wskazując silną, edypalną nienawiść do kobiet. Cofając się do historii, Kuba Rozpruwacz mordował starzejące się prostytutki. Można dość bezpiecznie domniemywać, że ośrodkiem patologii była jego matka.

Słuchacze niecierpliwie poprawiali się na krzesłach, gdy doktor ze spokojem wyszedł

na środek pokoju.

- Jednakże obecne zabójstwa ludzi związanych z pornografią nie odpowiadają zwykłemu schematom kojarzonym z wielokrotnymi mordercami - ciągnął Harris. -

Wielokrotni mordercy niemal zawsze stosują tę samą broń, dajmy na to rewolwer, nóż, młotek, siekiere lub truciznę. Ponadto kaleczą albo naznaczają ofiary. W naszym przypadku mamy pięć ofiar zabitych z różnych rodzajów broni, z wyjątkiem Sherry Nichols, która zamordowana została śmiertelnie stężoną kokainą. - Doktor zrobił pauzę, po czym stwierdził:

- Według mojej opinii żadne z zabójstw nie było motywowane seksualnie.

- Dlaczego nie? - zapytał Brody.

- Brak okaleczeń, różnorodność wieku, płci, fizyczne zróżnicowanie ofiar wydają się wykluczać takie motywy.

- A czy te zabójstwa coś łączy? - spytał Nolan.

- Zdecydowanie. Łączy je znanstwo wykonania i staranne zaplanowanie. Ofiary i zabójca znały się wzajemnie. W moim przekonaniu nasz zabójca jest jednostką zdolną do maskowania ogromnie namiętnej furii. Zakończyłbym wnioskiem, że on lub ona jest motywowana wyłącznie przez zemstę.

- Zemsta za co lub przeciwko komu? - zapytał Silvio.

Harris uśmiechnął się.

- Na to pytanie, mój przyjacielu, nie ma dobrej odpowiedzi.

Nolan podniósł się i powiedział:



- Dziękujemy panu za pomoc, doktorze.

- Powtarzam, psychologia sądowa jest niedoskonałą dziedziną nauki. Przedstawiłem panom moją zawodową diagnozę, ale przestrzegałbym przed wyciąganiem zbyt pochopnych wniosków.

Harris skierował się do drzwi, gdy wstał Torres.

- Idę z panem, doktorze.

Nolan usiadł, podniósł na chwilę wzrok ku lampom w suficie, po czym spojrzał z ukosa na trzech detektywów.

- Okay. Punkt pierwszy: Ofiary i zabójca znali się i łączyły ich więzi zawodowe.

Zabójca ma dostęp do wysokoprocentowej kokainy i wie, jak używać broni. W przypadku Sherry Nichols zabójca dokonał lesbijskiego aktu płciowego. Diagnoza Harrisa wskazuje jako motyw zemstę. Jediną podejrzaną, która odpowiada tym wszystkim kategoriom, jest Karen Dara.

- Przeprowadziliśmy test jej trzydziestki ósemki - powiedział Jack. - Jej tor wystrzału nie odpowiada pociskom wystrzelonym do Leo Whelana.

- No to co z tego? - odparł Nolan. - Mogła zdobyć jakiś inny na sobotnią noc, wyjechać ze świątyni Sziwy boczną drogą i przejechać przez Coldwater do Beverly Hills.

Odwiedziła Sherry, zabalowała z nią, dała w prezencie kokę i wyjechała opuszczając ją w stanie ataku serca. Karen Dara musimy zgarnąć.

- Już poleciłem chłopcom z obstawy umieścić ją w areszcie dla ochrony.

- Kiedy? - zapytał zdziwiony Nolan.

- Rozmawiałem ze Stiliwellem przed rozpoczęciem tego spotkania.

- Jesteś pewny, że była tam na górze, w świątyni?

- Według Stillwella siedzi tam od tygodnia. - Jack przerwał. - Czy zdajesz sobie sprawę, że postępujesz wbrew radzie Harrisa?

- Co masz na myśli? - spytał Nolan.

- Ostrzegał cię przed pochopnymi wnioskami.

Nolan spojrzał na Jacka i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Wszedłeś w bliskie stosunki z tą kobietą i to osobiste zaangażowanie zakłóciło twój obiektywizm.

- To bzdura, John. Zawsze uważałem, że jest potencjalną podejrzaną, ale nikt jak dotąd nie

zapropował logicznego motywu.

Nolan bębnił przez chwilę palcami po stole, po czym zwrócił się do Brody'ego.

- Rozpracowywałaś wędrownego mordercę i tego z autostrad. Co o tym myślisz?

Brody wzruszył ramionami.

- Musiałbym spotkać się z tą panią. Ale patrząc z góry, to wszystko wygląda zbyt zgrabnie, za gładko. Wielokrotni mordercy nie działają po liniach prostych. W żadnym z miejsc obecnych zabójstw nie natknęliśmy się na odciski palców, które odpowiadałyby którymś z posiadanych w kartotece. Wędrowiec i morderca z autostrad byli po wcześniejszych wpadkach za małe przestępstwa na tle seksualnym. Ta kobieta jest absolutnie czysta. Jest wykształcona, niezależna finansowo. A z tego, co słyszałem i czytałem, jest stosunkowo zrównoważona psychicznie.

- Każdy, kto występuje w filmach pornograficznych, jest nienormalny.

- To osobiste uprzedzenie, John - stwierdził Brody. - Nie ma poparcia ani w faktach, ani w prawie.

- Czekaście! - wykrzyknął Silvio i zwrócił się do Jacka. - Czy kiedykolwiek przeglądałeś jej kartotekę?

- Sprawdziłem w wydziale komunikacji, w izbie skarbowej, rejestrze wyborczym, ubezpieczalni i w pomocy społecznej. Ani w dokumentach stanowych, ani w federalnych nie ma żadnych danych wskazujących na przeszłość kryminalną.

- Ale czy sprawdziłeś jej prawdziwe nazwisko? - zapytał Silvio. - To, z którym się urodziła. Ci ludzie z porno używają pseudonimów.

- Jej dokumenty stanowe sięgają wstecz do 1974 roku - powiedział Jack. - Miała wtedy 22 lata. Nawet gdyby używała wcześniej innego nazwiska, to co byśmy, do cholery, odkryli?

- Mogła być skazana jako nieletnia - stwierdził Nolan. - Mogła odsiadywać wyrok.

Mogła naruszyć prawo jako dziecko. Kto, wie.

- On ma rację - powiedział Brody.

- A jak to sprawdzicie? - pytał Jack. - Jeżeli jej prawdziwe nazwisko brzmiało Mary Jones i była w Ohio University albo w jakiejś wyższej szkole w Columbus, to jak połączycie Mary Jones z Karen Dara?

- Spokojnie - rzucił Nolan przyciskając guzik interkomu.

- Tak, sir? - odezwała się sekretarka.

- Daj mi Irę Kasstrina ze służby wywiadowczej. Znajdziesz jego numery do domu i do biura w

komputerze. Powiedz mu, że pilne.

- Tak, sir.

Nolan zwolnił guzik, mówiąc:

- Oni mają wyciągi z paszportów na dyskach. Mogą prześledzić ich wydawanie od początku. Obywatele są zobowiązani dostarczyć świadectwo urodzenia, gdy po raz pierwszy wyrabiają paszport.

\*

Jack krążył po pokoju.

Silvio palił, pocierając nerwowo nadgarstki.

Brody gapił się w okno.

Nolan kiwał się w przód i w tył na fotelu, który skrzypiał przy każdym ruchu.

Mijający czas dłużył się w nieskończoność.

Nagle w głośniku rozległ się głos sekretarki.

- Ira Kisstrin jest na linii.

Nolan podniósł słuchawkę.

- Cześć, Ira. Słuchaj, wybaczone, że zawracam ci głowę, ale jesteśmy w dołku. Muszę sprawdzić historię paszportu kobiety o nazwisku Karen Dani. - Nolan zrobił pauzę i przeliterował: - D-A-R-A. Zgadza się. Musimy prześledzić losy jej dokumentów od samego początku. - Chwila przerwy. - Z tego, co wiem, urodzona w kraju, w stanie Ohio. Każ swojemu człowiekowi zadzwonić pod ten numer. To bezpośrednia linia. - Nolan strzepnął do popielniczki popiół z cygara. - Jestem twoim dłużnikiem, Ira. Wiem, że u ciebie jest po dziesiątej, ale to ważne. W porządku... Cześć, Ira. - Nolan odłożył słuchawkę i powiedział: -

Kwestia paru minut.

- Mam złe przeczucia - powiedział Jack.

- Dlaczego? - spytał Brody.

Jack wzruszył ramionami.

- Po prostu intuicja. Coś jak drgający nerw. Nie potrafię wytłumaczyć.

- Niby czego, do diabła?! - zawołał Nolan.

- Mam niejasne przeczucie, że siedzimy przy niewłaściwym końcu zapalonego lontu.

- Kurwa mać! - ryknął Nolan. - Przecież to ty wszystko rozbabrałeś. Próbowałem ci wytłumaczyć, żebyś to odpuścił. Mogłem zwrócić się do komisarza, aby zorganizował

specjalną grupę dochodzeniową.

- Wiem - odparł Jack. Masz rację, rozbabrałem. Ciągle porównywałem Candy z moją córką, a od czasu, jak spotkałem jej ojca, wciągnęło mnie. Ta sprawa zaczęła być moją własną.

Zadzwonił telefon. Nolan porwał za słuchawkę, drugą ręką chwycił pióro i trzymał je w pogotowiu nad notatnikiem.

- Mówi John Nolan. Tak, proszę mówić, panie Bellwood. Rozumiem. Zaczynamy od najświeższego zapisu. Nolan powtarzał głośno dane, robiąc jednocześnie notatki. - 14

października 1981, paszport wydany w Los Angeles, nazwisko Karen Dara, 23 lipca 1976, paszport wydany w San Francisco, nazwisko Karen Dara. 2 kwietnia 1971, paszport wydany w Dayton w Ohio, nazwisko Karen Dara, które legalnie zmieniła na podstawie oryginału aktu urodzenia, przedstawionego przez osobę zainteresowaną... - Nolan spojrział na detektywów i zrobił dramatyczną pauzę przed stwierdzeniem - wystawionego na nazwisko Paula Cahill.

Literując C-A-H-I-L-L. Dziękuję, panie Bellwood. Jestem wdzięczny za pańską pomoc.

Nolan odłożył słuchawkę, pochylił się w przód i powtórzył triumfalnie:

- Paula Cahill. Oto wasza P.C.

Nagłą ciszę w pokoju przerwało natychmiast głośne brzęczenie na konsolce telefonicznej Nolana.

- Co jest, Mary?

- Sierżant Stillwell zgłasza się do porucznika Rainesa.

Jack obszedł biurko i podniósł słuchawkę.

- No co, Frank?

Słuchał przez chwilę, po czym westchnął.

- No dobra, weźcie guru Meli-Ramdasa do aresztu ochronnego i przyjeżdżajcie.

Jack wyłączył się i powiedział:

- Stillwell, Reisman i dwóch z patrolu drogowego przeszukało świątynię, namioty oraz domki, ale nie znaleźli Karen Dara. Guru twierdzi, że była obecna na spotkaniu modlitewnym.

- Oczywiście wyjechała stamtąd boczną drogą - stwierdził Nolan.

Jack spojrzał na Silvia.

- Jedź do Lisy Chang i trzymaj dom pod obserwacją. Spotkamy się tam później. Phil, idziesz ze mną.

- Dokąd jedziemy?

- Do Venice. Dara jest albo w drodze do domu, albo jedzie do Lisy Chang.

- Jeśli jest naszym mordercą - zastrzegł Brody.

Nolan rąbnął pięścią w stół.

- Tutaj nie ma żadnych jeśli! Sprowadźcie ją.

- Nie mamy nakazu aresztowania - odparł Jack. - Wszystko, co mogę zrobić, to przedstawić jej dowody i kazać Philowi, żeby zaprotokółował przesłuchanie.

- A jak się zaprze? - spytał Brody.

- Trzymać ją pod nadzorem - polecił Nolan. Skontaktuję się z prokuratorem i do jutra w południe będę miał dla niej nakaz aresztowania pod zarzutem popełnienia pięciu morderstw.

## Rozdział 46

Noc była bezksiężycowa, lecz ocean jaśniał odbitym blaskiem świateł prywatnych łodzi. Kołysały się one w szerokim półkolu, przycumowane do rzeźnicie iluminowanego mola w Venice. Tłum widzów zgromadził się wzdłuż deptaka, obserwując przemarsz szkolnej orkiestry kierującej się na molo.

Gdy dwaj detektywi podeszli do frontowych drzwi domu Karen, Jack zapytał:

- Co się tam dzieje, u licha?

- Obchody jakiegoś święta - stwierdził Brody. - Orkiestry dęte, fajerwerki.

- Ale co oni obchodzą?

- Cholera ich wie.

Jack nacisnął guzik dzwonka.

- Pozwól, że ja zacznę - powiedział.

Karen otworzyła drzwi, stojąc w świetle na ganku wyglądała na przestraszoną i pobladłą na zapadłych policzkach. Nie przywitała ich ani nie zareagowała w inny sposób na ich obecność. Zwyczajnie odwróciła się i wpuściła ich do salonu.

Na drzwiach tarasu zasłony były częściowo zasunięte, ograniczając widok na plażę i ocean.

- To mój kolega, sierżant Phil Brody - przedstawił Jack, Skinęła mu głowę.

- Chcę, abyście obaj przyjęli do wiadomości, że zgodziłam się na to przesłuchanie, bo mam dość podejrzeń i śledzenia mnie. I również - spojrzała na Jacka - to może cię zdziwić obawiam się o swoje życie. A teraz zadawajcie pytania.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby sierżant Brody protokółował?

Podeszła do baru, mówiąc:

- Pan Brody może pisać sobie nawet powieść.

- Jutro przedstawiciel szeryfa wręczy ci nakaz aresztowania - powiedział Jack. -

Zostanie wydany na podstawie oskarżenia o dokonanie pięciu morderstw.

- Założę coś odpowiedniego - łyknęła trochę dżinu i westchnęła. - Rozumiem, że są ku temu jakieś podstawy.

- Stwierdziliśmy, że twoje prawdziwe nazwisko brzmi Paula Cahill.

- No to co? - odparła nieporuszona.

- Na wszystkich walentynkach widniały inicjały P.C.

- Czy coś jeszcze?

- Potrafisz obchodzić się z bronią. Prawdopodobnie masz dostęp do koki o śmiertelnym stężeniu, której użyto do zabójstwa Sherry Nichols. I znałaś wszystkie ofiary.

Pokręciła głową i patrząc w swą szklankę wyszeptała:

- Rany boskie.

- W ramowym czasie śmierci Candy byłaś, jak twierdzisz, w domu, lecz nie masz na to dowodu. Twierdzisz, że byłaś w domu, gdy zabito Traynora i Pierson, ale znowu bez potwierdzenia. W chwili morderstwa Whelana byłaś prawdopodobnie w świątyni Sziwy, ale wychodzą stamtąd boczne drogi, więc nasz zespół obserwacyjny mógł cię przeoczyć.

- Jaki był mój motyw zabicia Candy?

- Zazdrość albo, być może. morderstwo z litości. Bogini Sziwa mogła polecić ci, abyś uwolniła Candy od jej nieszczęść.

- Świetnie. Robię Candy przysługę zabijając ją, a potem staję się aniołem zemsty, ponieważ ją

zamordowałam - przerwała. - Co pan o tym myśli, panie Brody?

- Przysłuchuję się.

Przeszła przez pokój, rozsunęła na bok zasłony i przyjrzała się zbiegowisku na molo.

Stłumiony wybuch fajerwerku wywołał cudowny deszcz szkarłatnych gwiazd.

Odwróciła się od okna, przeszła przez salon i usiadła w głębokim skórzanym fotelu.

- Mam zacząć od początku?

- Jak tylko ci się spodoba.

- Dziękuję - popijała drinka, mówiąc: - Tej nocy, kiedy skończyliśmy z Candy kręcić ostatni film, wróciłam do domu i zadzwoniłam do niej. Niepokoiłam się o nią. Wiedziałam, że kupiła sobie broń.

- Jak się dowiedziałas?

- Powiedziała mi.

- Kiedy?

- Na party u Kellermana, w poprzednim tygodniu. Wzięła dużo koki i groziła samobójstwem. Tamtej nocy, po skończonych zdjęciach, myślałam o rewolwerze i jej depresji. Dzwoniłam do niej dwukrotnie, ale włączała się tylko taśma. Zdecydowałam, że pojedę do Malibu.

- O której?

- O pierwszej, pierwszej piętnaście w nocy. Jej samochód był zaparkowany nieporządnie, a wszystkie światła zapalone. Dzwoniłam kilka razy, ale nikt nie otwierał.

Zeszłam po schodkach i zbliżyłam się do domu od strony plaży. Candy stała na tarasie. Była naga i trzymała obiema dłońmi mały rewolwer. Widząc mnie, odprężyła się, chociaż była nagrzana, kompletnie zaśnieżona. Staralam się ją nakłonić, żeby oddała mi broń, ale odmówiła. Zdołałam wyjąć jej z torebki pięć tysięcy dolarów. Wiedziałam, że wydałaby je na kokę. Prosiłam ją, abym mogła zostać z nią na noc. To była długa, bezładna rozmowa.

Powiedziała, że mnie kocha, ale kazała mi wyjść. To był ostatni raz, kiedy ją widziałam. Przy okazji, kiedy jej ojciec wróci z Europy, zastanie czekający na niego przekaz na pięć tysięcy dolarów.

- Czy twierdzisz, że Candy narysowała walentynkę, a potem popełniła samobójstwo? -

zapytał Jack.

- Tak. Serce przebite strzałą z literami P.C. było jej ostatnim pożegnaniem ze mną.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego, kiedy pierwszy raz cię przesłuchiwałem?

- Nie sądziłam, że ktokolwiek mi uwierzy.

- Dlaczego nie?

- Daj spokój, Jack, traktuj mnie poważnie. Dla zgłodniałych oskarżycieli motywy są łatwe do wynalezienia. Chcesz kilku posłuchać? Candy i ja byłyśmy seksualnymi degeneratkami. Byłam o nią chorobliwie zazdrosna. Byłyśmy narkomankami. Zastrzeliłam ją w furii. Mam kontynuować? - Odgarnęła falę włosów z czoła. - Czułam się po prostu zbyt słaba, aby przyznać, że byłam z nią przy końcu.

Jack skinął głową.

- Okay... powiedzmy, że Candy popełniła samobójstwo. Potem brałaś udział w narkotykowych seansach. Słyszałaś jej głos żądający zemsty. Metodycznie sprzątnęłaś Traynora, Stellę, Whelana i Nichols.

- To tylko hipoteza i ty o tym wiesz.

- To, co ja myślę, nie ma tu znaczenia. Istnieją ludzie na stanowiskach, którzy są przekonani, że stałaś się aniołem zemsty. Wielokrotni mordercy znani są z tego, że słuchają głosów. Zresztą miałaś wyraźny powód, aby zabić Whelana i Nichols. Mieli zamiar wmontować twoją scenę miłosną z Candy do nowego filmu, który, jak sądzisz, zerował na pamięci o niej. Byłem tutaj, kiedy zadzwoniła Sherry. Powiedziałaś: „Robisz to na własne ryzyko”.

- I ty uważasz to za śmiertelną pogroźkę?

- To jest pogroźka.

- Miałam na myśli to, że podejmę prawne działania, aby uniemożliwić im wykorzystanie tej sceny. Mój kontrakt z Whelanem zawiera odpowiedni zapis, a ja mam cholernie dobrego adwokata.

Odstawiła szklankę i powiedziała:

- A teraz, myślę, czas, żebyś sobie stąd poszedł. Jesteś zerem. Bezwstydnym skurwysynem. Obrażałeś mnie, kochałeś się ze mną, drwiłeś z moich uczuć religijnych, a teraz przychodzisz tutaj z miną zatroskanego przyjaciela i oskarżasz mnie o wielokrotne morderstwo. - Jej głos obniżył się, a w oczach zalśniły łzy. - Smutne jest to, że ci ufałam Naprawdę. Nie oskarżam ciebie. Oskarżam siebie samą. Naiwnie uwierzyłam w coś, co nigdy nie istniało. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Musiałam się cofnąć do dziecięcych urojeń. Jak mogłam kiedykolwiek oczekiwać, że potraktujesz mnie inaczej niż przystanek na samotną noc. - Westchnęła głośno. - A teraz, proszę zabrać pana Brody'ego razem z jego notatnikiem i wrócić do tych ludzi na wysokich stanowiskach.

Jej oczy jaśniały beznadziejnym buntem, takim, jaki towarzyszy przegranej sprawie.

Taki sam tragiczny bunt wyrażała dziewczyna z hiszpańskiego plakatu.



\*

Jack i Phil idąc w stronę Pontiacu zauważyli migającą kaskadę szkarłatnych gwiazd, która rozkwitła na tle ciemnego nieba, na krótko oświetlając flotyllę prywatnych łódek krążących wokół mola. Marynarskie melodie orkiestry szkolnej unosił oceaniczny wiatr.

Brody usiadł za kierownicą, a Jack zajął miejsce obok. Skręcili za rogiem w prawo i wjechali w wąską uliczkę ciągnącą się wzdłuż odrapanych czynszówek.

Brody ujechał jakieś piętnaście metrów. Raptem nacisnął gwałtownie hamulec, odkręcił szybę i wyłączył silnik.

- Coś nie tak? - zapytał Jack.

- Myślę, że ona mówi prawdę.

- Nie znasz jej. Ona jest aktorką i nie mówię tu tylko o pornografii. Nie daj się zwieść jej chłodnej, smutnej elegancji, Zrobiła mnie w kozią dupę pierwszej klasy. Porozwalała tych ludzi. Może nie była z prawnego punktu widzenia przy zdrowych zmysłach, ale ona jest morderczynią.

- Mylisz się. Nie trzymasz się faktów. Zapomnij o tym, jak wygląda. Zapomnij, że to z nią robiłeś. Zapomnij o tym, kim jest i co robi. Zapomnij o naciskach Nolana, żeby zakończyć tę sprawę. Ja mogę mieć jakąś przewagę, bo mam dystans i przyglądam się faktom, a fakty się nie kleją. Po pierwsze, gdyby ona zabiła Candy, dlaczego pisałaby własne inicjały na walentynce? Karen jest bystra, bardzo bystra. Przewidziałyby, że prędzej czy później ustalimy jej prawdziwe nazwisko. Zresztą nie miała powodu, aby zabijać Candy. Kochała ją. Starła się jej pomóc. Wyjaśniła brak pięciu tysięcy. Przyznała, że kontaktowała się z duchem zmarłej. Sądzę, że czuje się w jakiś sposób odpowiedzialna za samobójstwo Candy.

Muskularny młodzieniec na motocyklu, z ładną blondynką uczepioną jego pleców, przejechał z hałasem w dół ulicy.

- Nie mylisz się za bardzo - powiedział Jack. - Jednej nocy spacerowaliśmy razem po plaży. Mówiła wtedy dokładnie to samo. Powiedziała, że Candy ufała jej, a ona ją zawiodła. -

Jack zapalił cygaretkę, zaciągnął się głęboko i westchnął: - Ale mogła jeszcze pozabijać innych. To pewne jak w banku, że Karen i reszta tej bandy nie kochali się wzajemnie.

- To jest przypuszczenie niczym nie poparte. Nie ma takiego sposobu, żeby Karen rozwalala ich, rysowała walentynki i zostawiała własne inicjały. To się nie trzyma kupy.

Zabójca używał walentynki i inicjałów kopiując pierwowzór, żeby nas zmylić.

- Ale Karen właśnie na to mogła liczyć - upierał się Jack.

- Tak jak każdy inny z zespołu produkcyjnego Whelana. Poza walentynkami te zabójstwa nie mają żadnych typowych symptomów, które kojarzy się z maniakami. Ja widzę tutaj profesjonalistę. Traynor

i Stella Pierson zostali zastrzeleni kulami rozpryskowymi, a to rzadko spotykane. Whelan był jedyną ofiarą torturowaną. W przypadku Sherry Nichols dajesz się zmylić faktem, że przed wążaniem tej śmiertelnej koki miała lesbijski wieczór. Uważam to za zbieg okoliczności. Może Lisa Chang zrobiła sobie wcześniej numer z Sherry? Zabójca poczekał, aż Chang opuści dom, potem sam wszedł i wręczył Sherry kokę jako podarunek.

Jack palił nerwowo cygaretkę.

- Ale Karen ciągle pasuje. Ona też mogła zabawić się z Sherry i dać jej śnieg.

- Kiedy ostatni raz widziałeś handlarza, który by opylał stuprocentowo czystą kokę?

Można ją dostać tylko u źródła.

- Wróciłeś z powrotem do Kolumbijczyków - powiedział Jack. I być może się nie mylisz. Zaczęli to ludzie Ordoneza i pomimo rozejmu w Cancun jadą dalej.

- Jest taka możliwość, nikt nie jest w stanie wybadać tych kurewskich Kolumbijczyków. Ale to przymiarka. Nie chcę ci mącić. Wszystko, co mam do powiedzenia, to to, że te zabójstwa nie pasują do maniaka ani do stukniętego stróża moralności. Były zbyt dobrze pomyślane.

- Brody wypluł przez okno okruch tytoniu. - Nie mam pojęcia, kto rąbnął tych ludzi i dlaczego, ale stawiam moją wypłatę, że Karen Dara nie jest twoim mordercą. I jeżeli Nolan wyda ten nakaz, to będziemy wyglądać jak banda wałów. To jest moja opinia, ale twoja jest sprawa.

We wnętrzu samochodu zaległa cisza. Wiatr niósł odgłosy fajerwerków i muzyki.

Jack poczuł nagle, jak oblewa go zimny pot i gdzieś od dna żołądka zbiera mu się na wymioty.

- Wracajmy, Phil.

\*

Przejechali kilka przecznic, parkując wprost pod domem Karen, i wysiedli z samochodu.

Karen stała w drzwiach tarasu i patrzyła na nich. Nagle szyba pękła na kawałki jak pajęczna sieć i twarz Karen eksplodowała.

- Wejdz tam, Phil! - wrzasnął Jack. Sam odwrócił się ku plaży i spostrzegł ciemną sylwetkę uciekającą spod niskiego muru.

Jack wyszarpnął swą trzydziestkę ósemkę i rzucił się pędem przez ulicę. Przeskoczył

murek i zauważył, jak uciekająca postać rzuca w morze coś, co przypominało strzelbę. Jack strzelił w biegu. Broń podskoczyła mu w dłoni. Spudłował. Biegająca sylwetka pędziła wzdłuż brzegu, kierując się w stronę mola w Venice.

Jack, wyrzucając spod nóg fontanny piachu, przeciął plażę na ukos i podążył w tamtym kierunku.

Petardy wystrzeliwane z barki na morzu wylatywały z wizgiem w niebo, wybuchając przepięknymi kolorami. Tłum na molo wydawał z siebie westchnienia podziwu, obserwując olśniewające barwy rakiet na tle czarnego nieba.

Jack zbliżył się do mola. Biegł bez trudu, gnany siłą doznanego wstrząsu.

Uciekająca postać zniknęła w ciemnej czeluści pod mołem. Jack zbliżał się. Potrafił

już dostrzec, jak fale podpływające pod pomost uderzają o betonowe podpory. Jakaś turystyczna łódź wycieczkowa kręciła się niebezpiecznie blisko mola. Rozbawione towarzystwo na pokładzie kierowało swą uwagę ku morzu, oczekując nowego wystrzału sztucznych ogni.

Jack słyszał odległe zawodzenie syren. Wiedział, że Brody zawiadomił już posterunek i pogotowie, choć było za późno, aby uratować Karen.

Uciekinier rzucił się w fale pod pomostem i zniknął za betonowymi słupami. Jack biegł zygzakiem. Od mola dzieliło go jeszcze dziesięć metrów ubitego piasku. W głębi ciemnej niszy zauważył żółty błysk i obok niego, po prawej, trysnął w górę piach.

Jack skoczył w ciemną toń pod pomostem i objął lewą ręką słup w chwili, gdy runęła na niego fala. Przywarł do filaru, chroniąc się za nim i czekał, aż oczy przywykną do mroku.

Na morzu rozbłysły potężne rakiety, oświetlając molo. Ich odbłask przeniknął matowymi smugami pod pomost.

Jack trząśł się zanurzony po pas w zimnej wodzie, zęby szczękały mu bezwiednie.

Trzymając broń w górze, ponad falami przyływu wpatrywał się gorączkowo w betonowe słupy. Z góry dochodziły go przerywane wybuchy fajerwerków, które mieszały się z marynarskimi melodiami orkiestry i warkotem silników turystycznej łodzi.

Wiedział, że zabójca czai się za którymś za słupów, nie dalej jak trzy metry od niego.

Za tą granicą poziom wody sięgał powyżej głowy zamachowca. Obliczył odległość do środkowej podpory i zaczekał, aż napływająca fala ustąpi. Wziął głęboki oddech i trzymając trzydziestkę ósemkę ponad głową runął w wodę. Bijąc wściekle nogami przepłynął pięć metrów i otoczył słup lewym ramieniem. Woda sięgała mu po szyję. Rozejrzał się w gęstym mroku i wycelował broń nieco w bok od słupa po prawej. Jego puls galopował, nad lewym okiem czuł rwący, ostry ból. Był zamroczony wysiłkiem. Skrzywił się w dzikim uśmiechu, słysząc dzwonięcie własnych zębów. Czuł się, jakby wpadł w potrzask, w koszmar rodem z Salvadora Dali - patriotyczna muzyka, aplauz widowni obserwującej pokaz fajerwerków, złowieszczy warkot łodzi na jałowym biegu, wznosząca się czarna toń, trujący odór spalin... i mroczny, okrągły słup, za którym czai się wielokrotny morderca. Łapał z trudem powietrze.

Na końcu mola zamajaczył grzbiet nowej fali, która przewaliła się uderzając o betonowe podpory. Jack przywarł do słupa, gdy fala cofała się z szumem. Ustępując pociągnęła go za sobą, lecz zdołał utrzymać swą pozycję.

Nagle huknął strzał i żółty błysk rozjarzył ciemność. Kawałek betonu odprysnął o centymetry nad jego głową, a czoło natychmiast zapiekło boleśnie po uderzeniu małymi odłamkami. Zza słupa po prawej wydobywał się obłok dymu. Złożył się i nacisnął spust. Huk wystrzału zadzwonił w uszach, nozdrza wypełniła ostra woń prochu. Od strony plaży potężniał ryk syren.

Krzyknął w wodną czeluść:

- Słyszysz to? Te gliny będą pływać razem z nami! Wyłaź!

Potężna fala przyływu rozbiła się o słupy, wyrzucając bryzgi wodnego pyłu.

Zobaczył, jak ciemna postać, wychynąwszy zza filaru, unosi się na wodzie w smudze światła dochodzącego z łodzi wycieczkowej przy pomoście. Postać rzuciła się do słupa szukając schronienia, lecz nie mogła uciec przed górnym światłem. Jej twarz była teraz łatwa do rozpoznania.

Jack zamarł w niedowierzaniu. Serce biło mu szaleńczo, jakby miało rozsadzić piersi.

Dłoń trzymająca rewolwer zadrżała. Kolejna fala zwilżyła jego spieczone gardło. Pełnym haustem zaczerpnął morskiej wody. Jego oczy wpatrywały się w oświetloną twarz.

Obejmując słup, z wyciągniętą bronią, tkwił po piersi w wodzie Silvio Martinez.

Silvio zawołał przekrzykując łódź:

- Musiałem to zrobić! Musiałem coś zrobić, żeby te skurwysyny wzajemnie się zabijały!

Jack patrzył na Silvia z niemym przerażeniem, jak gdyby to diabeł wynurzył się z oceanu.

- Musiałem nakręcać tę wojnę! - wrzeszczał Silvio. - Zatruwają kraj, ten kraj, który mnie przyjął! Robiłem to dla Ameryki! Robiłem to sam! Kazałem im się zabijać - mafii i Kolumbijczykom! Niech się wzajemnie mordują!

Wszystko zgadzało się z przerażającą jasnością. Oczy Silvia jarzyły się szaleństwem.

- Słyszysz mnie, Jack?! - krzyczał znowu. - Wszystko sam, cholernie sam!

Jack otworzył usta i nabrał powietrza do płuc, desperacko usiłując wydobyć z siebie głos.

- Sil... Silvio mocował się. Wreszcie, powoli odzyskując mowę, zawołał: - To już koniec! Nie możesz pozabijać wszystkich. Nikt nie może tego zrobić sam! Wyrzuć broń i chodź ze mną!

W tej samej chwili z rewolweru Silvia wydobył się żółty błysk i huknął strzał. Jack poczuł gorące smagnięcie kuli na policzku. Silvio wypalił ponownie i usunął się w ciemność, znikając pod filarem,

tuż obok warczącej łodzi. Jack wymierzył w niego, lecz nie potrafił

zmusić się do strzału.

Ponad nimi otyły kapitan wycieczkowej łodzi wypijał czwarte martini. Na rufie tańczyła pijana para. Ładna, ciemnowłosa dziewczyna wystrzeliła korek z szampana i spijała pianę wprost z butelki. Orkiestra na górze grała „Hello, Dolly”.

- Hej, ludzie, słyszeliście? Coś jakby strzelało! - zawołał kapitan.

Dziewczyna oblizwała pianę z ust i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, ale jak zbliżysz się tą łajbą jeszcze bliżej mola, to pomyślę, kurwa, że jestem na „Titanicu”.

Zwalisty, łysiejący kapitan nalał sobie z termosu następną porcję martini i wytarł dłoń o hawajską koszulkę.

- Zabieram się z nią - mruknął, ruszając chwiejnym krokiem do sterówki.

Pod pomostem Silvio oparł się kolejnej fali i dwukrotnie wystrzelił. Bryzgi wody rozprysły się o centymetry od twarzy Jacka. Nie powstrzymywany już dłużej myślą czy emocjami wymierzył w kontur postaci Silvia. Huk rozniósł się pod pomostem, odbijany echem od słupa do słupa. Głowa Silvia unosiła się na powierzchni wody między filarami a rufą łodzi.

- Zostały ci jeszcze dwa strzały! - zawołał. - Ja mam pół magazynka!

Pijany kapitan łodzi odstawił swoje martini na półkę nad tablicą kontrolną i ignorując wszelkie zasady bezpieczeństwa żeglugowego pchnął w przód obie dźwignie motorów.

Wskazówka obrotomierza skoczyła natychmiast do 1500. Lśniaca łódź drgnęła i wyrwała do przodu. Gdy łopaty obu śrub uderzyły w wodę, tańczący na tylnym pomoście runęli na pokład.

Nikt z nich nie słyszał skowytu Silvia, gdy wciągany był przez obracające się śruby.

Patrząc bezradnie, Jack usłyszał ostatni krzyk znikającego pod wodą. Silniki wyrzuciły czarną chmurę spalin i łódź odpłynęła.

Jack puścił słup i popłynął w stronę uspokajających się spienionych kręgów.

Na niebie wybuchła rakietą i morze rozświetlone zostało wspaniałym, zielonkawym blaskiem.

Jack spostrzegł wierzch torsu Silvia w zagłębieniu pomiędzy toczącymi się falami.

Zmienił kierunek i popłynął w tę stronę, szybko pokonując dystans. Oczy Silvia były otwarte.

Jego ciało zostało rozerwane tuż powyżej pasa. Fontanna krwi, wydobywając się z przeciętego tułowia, oblewała Jackowi twarz i dłonie. Pracując jedną ręką i uderzając zawzięcie nogami osiągnął grzbiet fali i poczuł, jak jest unoszony i popychany w stronę brzegu. Płynął na fali tak długo, aż jego kolana otarły się o dno. Wciąż trzymając ramię Silvia, stanął na nogach i chwiejnie ruszył ku plaży.

Stał tam przez chwilę, jak ranny morski potwór: wyrzucony na brzeg, umazany krwią, z trudem łapiący oddech. Obejrzał się w morze i spostrzegł barwny wybuch sztucznych ogni.

Ludzie po obu stronach pomostu oklaskiwali pirotechniczny pokaz. Szkolna orkiestra grała „Hooray for Hollywood”.

Odwróciwszy się zobaczył błyskające czerwone, białe i niebieskie światła samochodów policyjnych, skupione przed wejściem do domu Karen.

Spojrzał w dół na krwawe szczątki Silvia. Przypominały mu nieszczęsnego artylerzystę, który wszedł w pole minowe. Trzymając ramiona Silvia ciągnął przecięte na pół

zwłoki pod górę, ku wzniesieniu pod palmami, w pobliże niskiego muru.

Stał tam przez chwilę, słuchając własnego oddechu. Nie był w stanie poruszyć się ani myśleć, ale pragnął, żeby ktoś przykrył Silvia. Czas upływał poza jego kontrolą i nie mógł

stwierdzić, jak długo tak trwał, nim usłyszał tupot nóg.

Brody przeskoczył murek i podbiegł do niego zasapany.

- Ona nie żyje. Jack - powiedział i zamilkł, przypatrując się jego twarzy. - O rany, ty krwawisz!

- Odpryski betonu. Jestem cały.

Wtedy Brody dostrzegł karykaturalne szczątki Silvia, leżące na piasku u jego stóp.

Brody przeżegnał się.

- O Jezu - jego twarz stała się kredowa. Jęknął: - O Jezu Chryste!

- Został przecięty na pół przez śruby łodzi wycieczkowej - powiedział ochryple Jack. -

Powinienem namierzyć go po Whelanie. Zastrzelił go, ponieważ Whelan nazwał go indiańskim dzikusiem. Wtedy też po raz pierwszy pojawiła się stuprocentowa koka. Silvio wziął ją z transportu „Ave Marii”. Ten sam śnieg dał Sherry Nichols. Miał dostęp do wszystkich ofiar. Ale ja powinienem namierzyć go już po Whelanie.

- To ciężkie oskarżenie - odparł Brody. - Jak możesz ze swego kolegi robić zabójcę?

- Zaczął mordować po samobójstwie Candy - ciągnął monotonicznie Jack. - Używał

walentynek, żeby wyglądało na zabójcę maniaka czy obsesyjnego strażnika moralności.

- Ale dlaczego zabijałby aktorów porno?

- Żeby podtrzymać wojnę między Ordonezem a Maffatore. Wrzeszczał „Robiłem to dla Ameryki!”, „Robiłem to sam!”.

Brody spojrzał na zwłoki Silvia i powiedział:

- Boże Wszechmogący, umrzeć w taki sposób!

- Silvio został zabity długi czas temu - westchnął Jack. - Pewnej gorącej nocy w Miami. - Umilkł na dłuższą chwilę. - Daj papierosa.

Jack zaciągnął się i poczuł mocne uderzenie nikotyny.

- Zapomnij o tym, Phil. To jest funkcjonariusz policji zabity podczas pełnienia obowiązków służbowych.

Oczy Brody'ego rozszerzyły się.

- ...obowiązków służbowych... - wymamrotał. - Jak ja to powiem? Jak wytłumaczymy Karen? Jak wytłumaczymy Silvia?

- Wezwaliśmy Silvia przez radio, żeby spotkał się z nami w domu Karen. Został

zabity, wspomagając mnie w czasie pościgu za nieznanymi zamachowcami, według wszelkiego prawdopodobieństwa Kolumbijczykami, którzy sprzątnęli ostatnią gwiazdę porno.

- O rany, Jack, ja nie wiem...

- Nolan to kupi. Prasa to kupi. Może nawet kupi Maffatore. Trwająca wojna między tymi gnojkami będzie zadośćuczynieniem dla Silvia. Jakie to, cholera, ma znaczenie?

Brody przyglądał się Jackowi przez dłuższą chwilę, po czym westchnął:

- Okay.

- Dzięki, Phil.

- Za co? Przecież tak to było.

- No tak... Weź koc, przykryj go.

\*

Jack zszedł w dół ku brzegowi i ruszył wzdłuż plaży w stronę miejsca, gdzie on i Karen objęli się po raz pierwszy. Przypomniawszy sobie blask jej bladozielonych oczu, miękką linię policzków, delikatną szorstkość ust i zapach perfum. Przypomniawszy sobie lekkie drżenie jej głosu, gdy mówiła: „Przez całe życie szukałam takiej magicznej osoby, takiego kogoś, komu można by było to wszystko opowiedzieć, a on słuchałby nic nie mówiąc, ale wiedziałabym... po prostu wiedziałabym, że wszystko zrozumie”.

Migoczące mrowie czerwonych, białych i niebieskich gwiazd eksplodowało na ciemnym niebie, zatrzymawszy się na kilka sekund przed kolejnym wybuchem oszałamiających niebieskich światełek, które spadając kaskadą w dół ciemniały i znikaly.

Ruszył z wolna w powrotną drogę do mola. Nagle zatrzymał się raptownie, zauważywszy lśniący, metalowy przedmiot, wystający z piasku. Ukląkł, podniósł go i oczyścił jego powierzchnię. Patrzył na odznakę DEA ze złotym wizerunkiem orła w zwieńczeniu i służbowym numerem Silvia wygrawerowanym pośrodku. W tym momencie Jack pomyślał o nim jak o żołnierzu poległym w obojętnej dla świata wojnie. Powstrzymywał

łzy, gdy wkładał odznakę do kieszeni.

Na molo orkiestra zaintonowała skoczną przeróbkę „Stars and Stripes Forever”.



# Table of Contents

[Rozpoczni](#)